

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok IV • Nr 2 (13)

2018



J. Andrzejczak
A. Bernat
Z. Beszczyńska
K. Biernacki
J. Binkowski
T. Bochwic
T. Bołdak-
-Janowska
K. Boruń-
-Jagodzińska
K. Choiński
D. Cirlić-
-Straszyńska
J.M. Cywińska
B. Ćosić
A. Dutka-
-Mańkowska
V. Gál
G. Gortat
L. Hughes
M. Iwanowska-
-Ludwińska
J. Jagiello
A.T. Kijowski
J.A. Kobierski
K. Konecka
M. Kordowicz
K. Kuczkowski
G. Kurylewicz
R. Lasota
A. Lizakowski
J. Marciniak
G.G. Márquez
R. Milligan



J. Moskwa
P. Müldner-Nieckowski
P. Nepveu
M. Niedźwiedzka
W.A. Niewęglowski
J. Pankiewicz
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
K. Piechowicz
M.K. Piekarska
E. Polak-Pańkiewicz
K. Rodowska
Baśka eR.
K. Rudziński
A.S. Sawicki
K.S. Schreyer
J. Seipp
R. Sobieszczański
S. Stalmach
M. Strękowska-
-Zaremba
J. Strękowski
K. Sutarski
A. Syska
A. Szymańska
J. Śleszyński
K. Świegocki
G. Walczak
P. Wojciechowski



Mieczysława Buczkówna



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok IV Nr 2 (13) 2018

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,
Michał Dąbrowski, Manuła Kalicka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski

Korekta

Krzysztof Beśka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Trzynastego! 3

Polemiki – korespondencja 4

Nagrody literackie 6

Literackie Drogi Krzyżowe. 8

Ks. Wiesław Al. Niewęglowski

Droga we wszystkie strony. 12

Piotr Müldner-Nieckowski

Droga Krzyżowa – Prolog, Stacja I .. 14

Alicja Patey-Grabowska

Stacja I. Gehenna katyńska 15

Piotr Wojciechowski

Stacja III. Sonet o Pierwszym

Upadku, Lament nad Józefem 16

Muriel Kordowicz

Stacja IV. Opasz mnie tęczę 18

Jacek Moskwa

Stacja V 18

Jerzy Binkowski

Stacja IX. Złoty ciężar snu 20

Krzysztof Piechowicz

Stacja XI. Kolbe 20

Anna Bernat

Stacja XIII 21

Alicja Patey-Grabowska

Stacja XIV. Zmartwychpowstali ... 22

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Stacja XIV 23

Agnieszka Syska

Stacja XV. zaśnieć 24

Andrzej Tadeusz Kijowski

Zmartwychwstanie czyli na
końcu jest LITERATURA 26

DLA DZIECI - MŁODZIEŻY

Zofia Beszczyńska

Jak znaleźć czarownicę? 28

Wiersze bez sensu 34

Anna Dutka-Mańkowska

Koniś i inne wiersze. 37

Joanna Jagiełło

Czacha się buntuje 40

Jak ziarnka piasku 43

Alicja Patey-Grabowska

Indyk, Leśny doktor. 47

ESEJE

- Kazimierz Świągowski**
Gnothi seauton cz. 2 49

KRYTYKA

- Jerzy Binkowski**
Krystyna Konecka 57
Janusz Andrzejczak 60
Ewa Polak-Pańkiewicz 63
Adam Lizakowski
Langston Hughes 68
Krystyna Rodowska
Gabriel García Márquez 78
Jan Strękowski
Krzysztof Biernacki,
Sławomir Stalmach 90

POEZJA

- Janusz Andrzejczak**
Pustka 93
Jerzy Binkowski
Ukochanie, Na śnieżnobiałym..... 95
Małgorzata Iwanowska-Ludwińska
Lato, Stara kręgielnia. 97
Andrzej Tadeusz Kijowski
Marzenia, Bobry, Zamek 99
Gabriela Kurylewicz
Piosenka morska i inne wiersze. . . 102
Jerzy Marciniak
gasnąć w płomieniach..... 106
Piotr Müldner-Nieckowski
A więc widzisz, Cenzura... 108
Alicja Patey-Grabowska
Opowiedz miłość i inne wiersze . . 110
Maria Jolanta Piasecka
haiku 112
Baśka eR.
to już niczego nie zmieni 114
Krzysztof Saturnin Schreyer
Wrony, Gra fair 115
Jerzy Seipp
Tryptyk bolesny 117
Jerzy Śleszyński
Zemsta nietoperza,
Dobrze już było 120
Ryszard Sobieszczański
Most świętych i inne wiersze 122

Andrzej Stembarth Sawicki

- Znaki, Rondo con variazioni 124
Kazimierz Świągowski
Do nienarodzonej, Ciało,
Zwierzęta zodiakalne 126

PROZA

- Janusz Andrzejczak**
Na skraju brzeziny mgła 129
Teresa Bochwic
Rynsztok 132
Tamara Bóldak-Janowska
Patriotyzm i matriotyzm 138
Krzysztof Choiński
Wiosna 1915: spotkania 144
Jolanta Maria Cywińska
Trzy kroki od miłości,
dwa kroki od śmierci. 149
Rafał Lasota
Jeździec diabła 154
Magdalena Niedźwiedzka
Królowa Bona 160
Jacek Pankiewicz
Parę słów na temat, który jakby
nikogo nie dotyczył 164
Jan Krzysztof Piasecki
Rwanie 169
Małgorzata Strękowska-Zaremba
Letni flirt 173
Adriana Szymańska
Życie na gałązce 179
Grzegorz Walczak
Sąd Ozyrysa 192

PRZEKŁADY

- Danuta Cirić-Straszyńska**
Bora Ćosić 198
Joanna Jagiełło
Rose Milligan 202
Krystyna Rodowska
Pierre Nepveu 204

WYWIADY

- Vilmos Gál**
Wywiad z Konradem Sutarskim . . 208



Małgorzata Karolina Piekarska

Trzynastego!

Trzynastka to w naszej kulturze symbol pecha. Piątek trzynastego uważany jest za najgorszy dzień w roku, ale czy numer trzynasty „Podglądu” może być pechowy? Naszym zdaniem nie.

Po pierwsze wpuszczamy na łamy dysputę i literacką polemikę, a to zawsze ożywia pismo. Po drugie informujemy o kolejnych nagrodach, a to przecież jest bardzo miłe. Wreszcie po trzecie, podziwiając za oknami piękną pogodę, wierzymy, że nadchodzące wakacje będą udane. Zachęcamy więc do twórczego odpoczynku przy lekturze. Zwłaszcza że jak śpiewała Kasia Sobczyk, „Trzynastego piękniejszy jest świat!”; a tekst tej powszechnie znanej piosenki jest utworem poetyckim autorstwa zmarłego przed czterema laty Janusza Kondratowicza.

Nasza trzynastka to dowód na poważne okrzepnięcie redakcji, autorów i czytelników. A zawartość numeru jest z kolei dowodem na to, jak jesteśmy różnorodni literacko, tematycznie i stylistycznie.

Zachęcam do lektury.

Zapraszam do polemiki.

13...

Polemiki – korespondencja

Szanowna Pani,
Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes Oddz. Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

WYRZEKAM SIĘ!!!

W związku z przyjęciem w szeregi członków SPP oraz wpuszczeniem na łamy kwartalnika literackiego „Podgląd” tfu!...rców dopuszczających się brudnopisarstwa skatologicznego – godnego co najwyżej Cloaca Maxima – i nie znajdując w tym związku dla siebie wolnego czystego miejsca w skalanym tym faktem Stowarzyszeniu – przez pamięć dla szlachetnych przesłanek Jego Czcigodnych Założycieli, niniejszym, wyrzekam się z nim współudziału w tak haniebnym procederze.

Szanowna Pani Prezes – wiem, że nie odpowiada Pani bezpośrednio za fakt przyjmowania nowych członków do Stowarzyszenia, ale już jako Redaktor naczelna przewodnicząca Zespołowi redakcyjnemu kwartalnika mieniącego się literackim, bierze Pani pełną odpowiedzialność za to, co na jego łamach jest godnym się znaleźć, a co nie. Skatologiczna „literatura” szaletowa – na pewno nie jest tego godna, nawet pomijając względy estetyczne!!!

Proszę Panią Prezes o opublikowanie treści tego listu na łamach wymienionego kwartalnika „Podgląd”.

Z wyrazami szacunku
Krzysztof Rudziński

Szanowny Panie,

Przyjmuję do wiadomości Pana oburzenie, ale:

W naszym kraju nie istnieje cenzura, a tym bardziej nie istnieje ona w naszym Stowarzyszeniu.

Założenia kwartalnika są takie, że członkowie opłacający składki mają prawo do publikowania w nim swoich tekstów.

Niemal w każdym numerze znajduje się jakiś tekst, który z różnych względów budzi niesmak lub sprzeciw innych autorów. Na przykład ze względu na poruszaną tematykę, stosowany język czy styl.

Wydaje nam się, że nie jest możliwe, by w tak zróżnicowanym i bogatym światopoglądowo środowisku było wydawane pismo, w którym wszystkim wszystko będzie się podobało.

Kwartalnik „Podgląd” jest jak mikroskopijna księgarnia. Nie wszystko, co znajduje się w księgarni, mamy ochotę sobie kupić zabrać do domu.

Z poważaniem

Małgorzata Karolina Piekarska

Dziesiąta edycja

Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego

Dnia 21 marca 2018 r. odbyło się posiedzenie Kapituły Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego, podczas którego wyłoniony został laureat nagrody za najlepszy tomik poetycki wydany w 2017 r.

W obradach jury uczestniczyli:

Wojciech Kaliszewski – poeta, krytyk literacki, nauczyciel akademicki,
Piotr Szewc – poeta, krytyk literacki, redaktor działu poezji miesięcznika „Nowe Książki”,
Przemysław Dakowicz – poeta, krytyk literacki, nauczyciel akademicki,
Grzegorz Zegadło – dyrektor Książnicy Pruszkowskiej,
Jan Rodzim – wydawca poezji ks. Jana Twardowskiego,
Stanisław Grabowski – sekretarz Kapituły, poeta, krytyk literacki,
ks. Janusz Adam Kobierski – przewodniczący Kapituły, poeta, krytyk literacki.

Jurorzy zwrócili szczególną uwagę na następujące książki:

1. Zbigniew Chojnowski, *Widny kres*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2017;
2. Łukasz Jarosz, *Stopień pokrewieństwa*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017;
3. Bogusław Kierc, *Jatentamten*, wyd. „Forma”, Szczecin 2017;
4. Krzysztof Kuczkowski, *Ruchome święta*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2017;
5. Joanna Kulmowa, 37, wyd. „Iskry”, Warszawa 2017;
6. Piotr Mitzner, *Ulica tablic*, tCHu doM wYdawniczy, Warszawa 2017;
7. ks. Jan Sochoń, *Strzałka czasu*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2017.

Laureatem Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego został **Krzysztof Kuczkowski**, autor książki *Ruchome święta* (Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2017).

Ponadto Medal im. ks. Jana Twardowskiego za całokształt twórczości przyznany został **Adrianie Szymańskiej**.

Gratulujemy!

Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się 3 czerwca br. (niedziela) o godz. 17. 00 w Pałacyku Sokoła w Pruszkowie, ul. Kościuszki 41.

Podczas finału Konkursu zaprezentowany zostanie program poetycko-muzyczny pt. „Nie płacz w liście”, oparty na twórczości ks. Jana Twardowskiego.

ks. Janusz Adam Kobierski

NAGRODY Feniksa i Empiku

Miło nam poinformować, że książka „Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo” autorstwa **Grzegorza Gortata** z ilustracjami Marianny Sztymy otrzymała „Feniksa Specjalnego”, nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Katolickich. Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Bajka.



Autor: Grzegorz Gortat
Tytuł: Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo
Ilustracje: Marianna Sztyma
Wydawnictwo: Bajka
Rok wydania: 2017
ISBN 978-83-65-47919-8
Stron: 128

Cieszymy się także, że książka „Dom nie z tej ziemi” autorstwa **Małgorzaty Strękowskiej-Zaremby** z ilustracjami Daniela de Latour zwyciężyła w plebiscycie Empiku na Najlepszą Książkę Dziecięcą 2017. Publikację wydało wydawnictwo Nasza Księgarnia.



Autor: Małgorzata Strękowska-Zaremba
Tytuł: Dom nie z tej ziemi
Ilustracje: Daniel de Latour
Wydawnictwo: Nasza Księgarnia
Rok wydania: 2017
ISBN 978-83-10-13080-8
Stron: 240

Literackie Drogi Krzyżowe



Kościół pw. Św. Brata Alberta i św. Andrzeja Apostoła przy placu Teatralnym w Warszawie

W roku 2018 mija czterdziesty rok istnienia Duszpasterstwa Środowisk Twórczych (DŚT).

Powołano je w 1978 dzięki staraniom księdza Wiesława Aleksandra Niewęglowskiego – kapłana i pisarza, członka-założyciela SPP. Kilka lat wcześniej w kościele akademickim pw. Św. Anny już odprawiano msze dla twórców, prowadzono sławne w stolicy prezentacje jednego wiersza, wieczory prozy i poezji religijnej, organizowano Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej z udziałem wybitnych artystów, mistrzów słowa, pisarzy i aktorów. Czasy były burzliwe, dojrzała wtedy potrzeba powołania duszpasterstwa ludzi kultury. Wielu z naszych, nieżyjących już, koleżanek i kolegów uczestniczyło dzielnie w pracach wspólnoty w najtrudniejszym, ale i najbujniejszym okresie działalności DŚT – w okresie stanu wojennego, kiedy to kościół był oparciem, schronieniem dla wartości, wolne-

go słowa, wspierał także potrzebujących pomocą charytatywną. Nazwiska niektórych znajdziemy na pamiątkowych tablicach posadзки przed wejściem do kościoła na pl. Teatralnym. Duszpasterstwo przez lata zmieniało miejsce posługi – mieściło się na Przyryнку w parafii Nawiedzenia NMP, w kościele seminaryjnym pw. NMP i św. Józefa Oblubieńca, w którego seminaryjnych salach „rodziło się” Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, a wreszcie w odbudowanym, dzięki inicjatywom Duszpasterza, kościele pw. Św. Brata Alberta i św. Andrzeja Apostoła przy pl. Teatralnym.

Teraz chcemy tylko krótko przypomnieć, że losy Stowarzyszenia były ściśle związane z warszawskim Duszpasterstwem Środowisk Twórczych. Dzieje DŚT i zasługi ks. Wiesława doczekają się zapewne kiedyś obszerniejszego opracowania, na razie zainteresowanych odsyłamy po dane, daty, nazwiska i szczegóły do Księgi Jubileuszowej wydanej w 2004 roku na 25-lecie DŚT. Wśród refleksji, wspomnień i świadectw znajdujemy tam

wypowiedzi naszych członków – np. Piotr Wojciechowski nie tylko pisał o osiągnięciach rektora ks. prałata Niewęglowskiego, ale i także, nie bez gorczy, charakteryzował środowisko, już po roku 1989:

Trzeba spotkania z Papieżem w Teatrze Wielkim, aby zobaczyć – ilu nas jest – twórców, artystów, pracowników wszystkich dziedzin sztuki i mediów. Tysiące. Na rekolekcje tyle ich nie przyjdzie, na niedzielnej Mszy ich tylu nie ma, a jak się zrobi spotkanie, jak się zaprosi na Drogę Krzyżową – to już garstka. Niezawodni są w jednym wypadku – gdy umrą i trzeba ich grzebać po chrześcijańsku.



Pisarze z Oddziału Warszawskiego SPP w oczekiwaniu na rozpoczęcie Drogi Krzyżowej w Kościele Środowisk Twórczych przy placu Teatralnym

Ponieważ ten numer „Podglądu” zamykamy w okresie wielkanocnym, warto wymienić jedną z dziedzin, w które włączali się literaci. Właśnie Nabożeństwo Drogi Krzyżowej. Odprawiał je i organizował przez wiele lat ks. Wiesław Al. Niewęglowski, po jego odejściu na emeryturę robi to zwykle obecny rektor ks. Grzegorz Michalczyk, a w tym roku [2018 – *przyp. red.*] w jego zastępstwie pisarzom przewodził ks. Andrzej Luter.

Przytoczmy fragmenty artykułu Artura Stelmasiaka z „Niedzieli” z 2008 roku:

(...) we wnętrzu świątyni przy pl. Teatralnym próżno szukać Drogi Krzyżowej, jaką znamy choćby z innych kościołów. Na jednej ze ścian po prawej stronie ołtarza, widać wmurowany potężny blok skalny. – Chcieliśmy,

aby najbardziej przypominał kamienie wśród których wędrował Chrystus. Dlatego skalę sprowadziliśmy z samego Egiptu – wyjaśnia ks. prałat Wiesław Niewęglowski, rektor kościoła twórców. Na kamieniu wyryta jest mapa Jerozolimy z czasów Chrystusa. Gdy podejdziemy bliżej, dostrzegamy skalne pęknięcie – to droga przez Mękę, którą przed dwoma tysiącami lat szedł Bóg-Człowiek. – Moim zamiarem było, aby wierni mogli podczas nabożeństwa niejako obserwować Mękę Pana z lotu ptaka, kiedy to Jego kolejne upadki są dokładnie zaznaczone na planie Jerozolimy – podkreśla krajowy duszpasterz środowisk twórczych.

Effekt jest zaskakujący. Każdy, kto odwiedza kościół twórców, może jak palcem po mapie prześledzić ostatnią ziemską drogę Chrystusa.

Duszpasterz środowisk twórczych wskazuje na kamienną drogę krzyżową i nazywa ją relikwiarzem Męki Pańskiej (...) Każda stacja tego relikwiarza zawiera w sobie jeden z kamieni przywiezionych z Jerozolimy. Sam je przywozłem. Czegoś podobnego nie ma w całej Polsce – mówi ks. Niewęglowski.

Od początku w naszym duszpasterstwie wprowadziliśmy zwyczaj, że nabożeństwo w kolejnym tygodniu, w każdy piątek Wielkiego Postu prowadzi inne środowisko twórców. Prowadzą ją plastycy, muzycy i śpiewacy, dziennikarze prasy, radia i telewizji, aktorzy i literaci, architekci i historycy sztuki, tłumacze i wydawcy.

Z natury temat cierpienia, ofiary i zbawienia jest tak poruszający i głęboki, że nigdy się nie wyczerpie. Nie mamy niestety dostępu do dokumentacji i tekstów dawniejszych nabożeństw Drogi Krzyżowej prowadzonych przez literatów, przypomnimy więc tylko te z ostatnich lat. Organizowane, inicjowane, koordynowane, układane były przez różne osoby – samego Duszpasterza, Grażynę Strumiłło-Miłosz, później Agnieszkę Syską, Piotra Müldner-Nieckowskiego, Piotra Wojciechowskiego. Mają one różny charakter – bywają zbiorem rozważań i refleksji wypowiedzianych przez samych autorów, bywają czytaniem słów autorów nieobecnych i twórców zmarłych. Są głoszone przez pisarzy i aktorów (Maciej Rayzacher, Krzysztof Kumor). Były też rozmyślenia przygotowane na podstawie homilii Jana Pawła II na temat cierpienia i śmierci, które wybrała Agnieszka Syska. Droga Krzyżowa miała też charakter dość odważny – poetyckiej Drogi, w której poszczególne stacje są inspiracją dla bardziej osobistych tekstów lub wybrane teksty „nieortodoksyjnie” nawiązują do stacji męki Pańskiej. Przedstawiano m.in. wiersze Ernesta Brylla, Muriel Kordowicz, Alicji Patey-Grabowskiej, Anny Kamieńskiej, Zdzisława Łączkowskiego, Ludmiły Marjańskiej, ks. Janusza



Drogę Krzyżową prowadzi ks. Rektor Grzegorz Michalczyk

Pasierba, ks. Jana Twardowskiego, a także przekłady poetów zagranicznych – Złoty Kocić, Anastaza Opaska, Momčilo Nastasijevića. W ostatnich latach Drogi odbywały się z udziałem (osobistym lub jako autorów) pisarzy Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich m.in.: Anny Bernat, Jerzego Binkowskiego, Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej, Ernesta Brylla, Danuty Ćirlić-Straszyńskiej, Andrzeja Tadeusza Kijowskiego, Jacka Moskwy, Piotra Müldner-Nieckowskiego, Krzysztofa Piechowicza, Agnieszki Syskiej, Piotra Wojciechowskiego (przepraszamy, jeśli ktoś nam umknął). Pozwalamy sobie, jako przykłady różnorodnego traktowania tematu, przywołać (niektóre) teksty poświęcone (niektórym) Stacjom, a także te odnoszące się do samego zjawiska i głębi nabożeństwa.

(opracowała kbj)

DROGA KRZYŻOWA

(fragmenty z lat 2000-2018)

Ks. Wiesław Al. Niewęłowski

Droga we wszystkie strony

Ostatnia droga

Dla mnie
czternaście kolorowych wymuskanych obrazków
sceny pełne ekspresji w ceramice na ścianach
kościółów i kaplic.

Dla Ciebie
długa droga z „belką śmierci”
na ramionach przez wąskie uliczki

Dla mnie
jedno z wielu wydarzeń w historii
Dla Ciebie
Jedyne wydarzenie życia

Dla mnie
pobożna pamiątka
Dla Ciebie
ostatnie godziny pełne jak kłosa podczas żniwa

Dla mnie
zwykły gest przyklęknienie
dla Ciebie
rozbite do krwi kolana na kamieniach
Dla mnie
strumień chaotycznych myśli
Dla Ciebie
strugi krwi i bólu

Dla mnie
stan smutku
Dla Ciebie
udręczenie ciała i ducha bez granic

Dla mnie
strzępy wołań i przekleństw na drodze
dla Ciebie
pełnia upodlenia i nienawiści

Dla mnie
Dla Ciebie

Co pomyślę zbyt rozumne
Co odczuwam zbyt łatwe
Co wypowiem zawsze za małe

Kiedy przywieram twarzą do ziemi
najlepiej widzę Ciebie
Czytam na kamieniach
To nie cierpienie a miłość zbawia

Twoja droga krzyżowa nie skończyła się
Idzie daleko poza Jerozolimę
w czas i przestrzeń
Rozchodzi się tuż
za bramą Świętego Miasta we wszystkie strony
zamieniając starożytne uliczki na gościńce i trakty
na polne drogi i górskie ścieżki
na ulice kamiennych miast i autostrady

Od tamtej pory biegnie
przez wszystkie dni i noce nieprzerwanie

Przechodzi przez
Rozdarte ciało człowieka
podzielone serca
rozwiedzione małżeństwa

rozbite rodziny
przez szeregi bezrobotnych i źle uposażonych
przez nędzne baraki i zasobne mieszkania
przez szpitale więzienia i domy poprawcze
przez pracę i jej brak
idzie przez pola bitew i miejsca kataklizmów
i tam gdzie najmniejsza część cierpienia

Kiedy spotykam je
pomóż mi zrozumieć
że im więcej cierpię tym bardziej jesteś ze mną.

*Z książki ks. Wiesława Al. Niewęglowskiego
„Droga Krzyżowa na drogach świata”*

Piotr Müldner-Nieckowski

Droga Krzyżowa – Prolog

Ja, jeden z gapiów. Stoję w tłumie, który nie ma twarzy. Czuję swoją twarz, czuję, że jestem twarzą w motłochu bez twarzy, a jednak w nim stoję. Mój lęk przed bólem pozwala stać w tłumie i tracić twarz. Motłoch zasłania, motłoch mnie wchłonał, motłoch wessał, motłoch wije się po wzgórzach. Stoję w bezimiennym tłumie bierny i przerażony. Poruszam rękami i wargami, jak inni poruszają. Dla tego tłumu Bóg jest literą bez znaczenia. Ty, Jezu, jesteś dla tłumu tylko pustym znakiem zabawy. Tłum się śmieje, a ja wraz z tłumem, choć bardzo boleję. Jak kropla do wody w naczyniu, należę do tłumu na placu. Jestem bezwładny i nie jestem sobą. Robię to, co motłoch, a więc nic nie robię, wstrząsa mną rehot. Cieszę się tym, co widzę, tak jak tłum się teatrem tym cieszy. Nęcą obrazy bieli wypalonych skał, czerwieni serc wyrwanych, z rysunkami w czerni, która jest znakiem zła i niemocy. Chcę mieć twarz na nowo, Panie Jezu, ale jeszcze nie potrafię.

Stacja I. Pan Jezus na śmierć skazany

Mówimy sobie: na nic nie mamy wpływu, my, szarzy ludzie wokół pałacu. To łatwe słowa wszelkich tłumaczeń. Mocny człowiek, przysłany przez człowieka władzy, jest wszechwładny przez to, że nic nie możemy, że nam nic nie wolno. Silniejszy jeszcze przez naszą wygodę: za jedno słowo możemy dołączyć do skazanych, za jeden czyn zawisnąć, jak owi krzyżowani. Pan Bóg się zgodził, Jego Syn postanowił, lecz wyrok wydał potężny człowiek, choć słaby wiedział, że nie wie, co robi. Jednym ruchem palca, jednym słowem „winien”. Decyzję o losie można zmyć w miednicy, lecz los zostaje na wieki w przestrzeni. Panie Jezu, dziś byśmy tak nie chcieli, lecz to się stało i nie ma odwrotu. Nic nas nie tłumaczy z księgi przemocy na język ramion, że nimi wzruszamy. Czy był choć jeden, kto podniósł rękę, że nie daje zgody?

Alicja Patey-Grabowska

Stacja I. Pan Jezus na śmierć skazany

Gehenna katyńska

Ojcu

Jaka myśl
gdy klęczałeś
przeszyła ci czaszkę

Jaki obraz
przed oczy
gdy głód lufy
w tył głowy

A uczucia:
gniew

bezsilność
żał
rozpacz
w jednym błysku sekundy

Nie ma świadków?
A niebo
przenikliwe i groźne
Drzewa długo szumiały
by wykrzyczeć tę zbrodnię

Słońce
raną zachodzi
ku pamięci
POTOMNYCH

Piotr Wojciechowski

Stacja III. Jezus upada pierwszy raz pod krzyżem

Wmawiamy sobie, że nasze drobne wady, niewierności, grzechy powszednie, to nic wielkiego. Wystarczyły, aby powalić Jezusa na ziemię.

Sonet o Pierwszym Upadku

Gołe drzewa, gdy w niebo rosną i w powietrze,
W lustrze wód ku czemu wyciągają ręce?
Człowiek opuścił Boga w potrzebie największej
A Bóg opuści Syna zanim śmierć nadejdzie.

Byle się nie wyrócić, jak wziąłem, doniosę
Tak myślał w Bogu człowiek i poprawiał brzemię
Lecz Bóg się na mnie potknął. To ja byłem ciosem.
Co Stworzyciela ziemi powalił na ziemię.

On pada po ciężarem – jak film zatrzymany;
Pada od lat tysięcy Bóg przez nas popchnięty
I żadnej mu modlitwy nie ścielę pod rany.

I nie podeprę ręką tej Hostii przeświętej,
Chustą krwi nie osuszę przeze mnie przelanej,
Ogłoconym drzewom spowiadać się będę.

Lament nad Józefem

Gdzieś ty był zakochany cieślo
Kiedy twoich nieszczęście dosięgło
Jezus nie wziął po tobie warsztatu
I do drzewa dał się przybić katu
Twoja Miriam z Nazaretu miła
Stoi w tłumie, głowę opuściła
Nie chce widzieć krwi ani cierni
A ty cicho wyszedłeś z księgi
W jaką otchłań w jakie pustki święte
Po tym dziwnym życiu poszedłeś
Gdzieś ty był, gdy konał Syn Boży
Co za twego syna uchodził
Gdy zasłona w świątyni się darła
Czyś już miał
pewność Zmartwychwstania?
Te trzy dni – gdzieś ty je przemodlił
Gdzie przeklęczał ciemność Golgoty?
Czyś już wiedział, co ci Jezus szepnie?
Już po wszystkim tato, już lepiej.

Muriel Kordowicz

Stacja IV. Pan Jezus spotyka swoją Matkę

Opasz mnie tęczą

Mojej Mamie

Moja Mama ma gwiazdy we włosach,
srebrną Sukienkę i złote, księżycowe Pantofelki.
Przegląda się w oczach Boga i pyta, czy pasują do Jego
Miłości. Opasz mnie tęczą Twojego
Uśmiechu. Ta sukienka nie jest zbyt
Radosna. Ach, ta odrobina ziemskiego
Smutku, nawet Ci w nim
Do twarzy. Nie martw się, pomogę Ci dojść
Do początku. Czujesz, Twoja dusza rozkwita pod moim
Spójrzeniem. – Dziewczynka z cieniem
Modlitwy, Gołębicy We włosach, Niosąca w sobie
Światło. Kobieta z cierniami
W stopach, cień
Światła idący
za Światłem,
Ku Światłu.

Jacek Moskwa

Stacja V. Szymon Cyrenejczyk pomaga nieść krzyż Jezusowi

I przymusili niejakiego Szymona z Cyreny, ojca Aleksandra i Rufusa, którzy wracając z pola właśnie przechodził, aby niósł krzyż jego.

Pewien człowiek prosto z pola
przyszedł do Jeruzalem w interesach.
Dziwny orszak zagroził mu drogę

na wąskiej i zatłoczonej ulicy:
 żołnierze, płaczące kobiety,
 paru fanatyków z nienawiścią w oczach
 i skazaniec, który nie miał już sił,
 aby dźwigać na plecach drzewo hańby.
 Żołnierze szukają kogoś, kto zdejmie
 z niego ciężar.
 Nie robią tego z litości,
 muszą dotrzymać terminu egzekucji.
 Wybierają pierwszego z brzegu,
 bo wygląda dosyć krzepko.

Pewien człowiek prosto z pola
 Przyszedł do Jeruzalem w interesach.
 Zarobił swoje w historii zbawienia,
 zdanie w Ewangelii.
 Za darmo poznał ciężar drzewa hańby.
 Oto cała tajemnica.
 Krzyż jest zbyt ciężki dla Boga,
 który stał się człowiekiem.
 Jezus potrzebuje solidarności.
 Powiedziano nam wtedy:
 „Jeden drugiego brzemiona noście” (Gal. 6, 2)

Solidarność.

Powiedziałeś:
 „Jeśli kto chce pójść za mną,
 niech się zaprze samego siebie,
 niech weźmie krzyż swój
 i niech mnie naśladuje” (Mk 8, 34)
 Jak mam to zrobić?
 Boję się cudzej nienawiści.
 Boję się bólu.
 Boję się samotnej śmierci.
 Boję się strachu.
 Jezule, bądź miłościw mnie słabemu.

Jerzy Binkowski

Stacja IX. Pan Jezus upada po raz trzeci

Złoty ciężar snu

Modlitewny puls w sercu szybkobieżnego drzewa sandałowego
W pustce powietrza pomiędzy kamieniami milowymi pustyni
[mego miasta
Jeszcze tylko czternaście kroków na granitowo śmiertelne wzniesienie
Jeszcze w krajobrazie dłoni zadrży kilka głązów kilka bloków skalnych
Łzy milczą gdy opadają i grunt pod nimi płonie jak w kominku drwa
Złoty ciężar snu skrył w sobie ściśnięte wrogo pola nieznajome
Gdy wiatr bezcielesny całą obojętność daremnie wywyższając
Kładzie głowę na brzegu blasku i raz jeszcze bez uprzedzenia
[myśl otwiera

Krzysztof Piechowicz

Stacja XI. Pan Jezus przybity do krzyża

Kolbe

*Jedynie z jego celi nie dochodziły krzyki,
Przekleństwa, żaden płacz –
(z Zeszytów Oświęcimskich)*

Dokonało się
Prawie
Po wszystkim

Nie ma
Lęku i bólu

Nie ma powietrza
Ognia ziemi
Wody

Nie ma

Wody ziemi
Wody –

Jest głód
Z rozwartych ust
Bogu wydzierany

Strzęp
Słów

Dudniących w próżni
Jak ćwieków wbijanie

*Chleba naszego powszedniego
Naszym winowajcom.*

Anna Bernat

Stacja XIII. Jezus zdjęty z krzyża

Panie,
na Twojej ziemi
gorzkie żale
ukrzyżowanie

Panie, nie jestem godzien,
nie umiem wypowiedzieć:
wola Twoja
niechaj się stanie

Panie, nie jestem godzien,
abyś przyszedł do mnie
w zgiełku złego

lękam się
siebie samego

**Panie, nie jestem godzien,
abyś przyszedł do mnie,
ale powiedz tylko Słowo**
w Twoim Słowie
na obraz i podobieństwo
Człowiek

**Panie nie jestem godzien,
abyś przyszedł do mnie,
ale powiedz tylko Słowo,
a będzie uzdrowiona dusza moja –**
na Twojej ziemi, Panie
słodkie żale
zmartwychwstanie

Alicja Patey-Grabowska

Stacja XIV. Pan Jezus do grobu złożony

Zmartwychpowstali

I skargi
potrząsające struny drzew
echem jak świder
rozłupujące korzeń

szepty modlitw dzieci i wdów
o zmiłowanie
o wybaczenie
myśli o pomście

I skargi chorałem
przebiły niebo
aż Miłosierdzie wzniosło Dłoń

Stanęli w szeregu
ZMARTWYCHPOWSTALI
z ziemi
jak z księgi

Słowo
stało się ciałem

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Stacja XIV. Złożenie do grobu

Zatoczyli kamień, zasypali dół,
wygladzili cement, dopasowali i przyśrubowali płytę, zatrzasnęli drzwi.
Trudna chwila, bo wtedy tak łatwo
nachylić ucho na „rozsądny” szept: *„to koniec”*,
oczy skłonić ku szarfom z bezwzględny słowem „ostatnie”
(dajmy szansę – a może potem będą już tylko powitania i rozstań
[nie będzie?])

Dogodna chwila na kuszenie:
*„i na co to wszystko, ten ból, poświęcenie, praca,
skoro już nic, ponad to, co tu widzą oczy, ponad to, co słyszą uszy”*
Jak wtedy wzniesić oczy i uszy? Ponad dudnienie ziemi o wieko,
ponad śpiewy wielbiące naiwnie jałowy odpoczynek,
tak sprzeczny z pełnią dziecięcej radości w raju.
Gdzie ma odpoczywać;
tam, w innym wymiarze? tu, na „polu garncarza”?
– myślimy, o kimś, komu tak chciałoby się biec, skakać, tworzyć,
[tańczyć.
Trudna próba.

Dwa tysiąclecia temu, wczoraj, dziś.
Wahanie
przy każdym „Credo”.

Agnieszka Syska

Stacja XV. Zmartwychwstanie

zaśnięcie

Jan zasnął
pod sercem

i tak pozostał

we śnie ujrzał

kopalny bóg świeci żebrami

ujrzał

i pozostał

zstąpił do kopalni złota
górnicy podświetlają
serce

wydobywają odjęte od ust pierwszej
wieczery

złocą się głodne spragnione głodne

wydobywają odjęte od ust ostatniej

wstąpił
serce

miłość bez ruchu
jak ręka na piersi przez sen
nienawiść

mówiłem przez sen
przez niego

złociłem się

gdy on już przechodził mimo
głodniałem
drzwi zamkniętych

sen jakie te drzwi zamknięte dla głodnych

drzwi zamkniętych

mówiłem
przez niego

był przezroczysty jak sen zmartwychwstania

mówiłem

jestem żebrem
twojego

jestem piersią pod którą złożyłeś serce

kością
twojego

zmartwychwstania które przeszło przez popiół

kością

Andrzej Tadeusz Kijowski

Zmartwychwstanie czyli na końcu jest LITERATURA

Tak naprawdę szedł sam. Grzmiało. Była z nim Matka i Maria Magdalena. No i najmłodszy Jan.

Reszta towarzyszy rozpieczętowała się ratując głowy. Ulitowała się dziewczyna, którą mijał. Weronika. Wytarła mu twarz. Ruszyli dalej. Każde w swoją stronę. Wieść o śmierci Nazaryjczyka nie wywołała w mieście specjalnego poruszenia.

Nie ogłaszali jej heroldowie głównego nurtu.

Gdy lamentował, wzywał Ojca, co i raz ktoś go napominał: – Nie rozpaczaj tak. Nie jesteś jedyny.

Rzeczywiście wokół umierało wielu. Koło Niego dwu zmarło, tego samego dnia. Następnego ktoś wyskoczył z okna, innego żona zdradziła, ktoś z rozpaczyny oszalał. Kogoś z chaty wygnano. Inny własne pozabijał dzieci.

Ot czasem ktoś przypomni – wiecie, że ukrzyżowany ten gadatliwy syn znanego Cieśli Józefa.

Szczerze mówiąc z tymi Palmami poprzedniej niedzieli to też przesada. Jakie tam tłumy. Ten i ów zapamiętał go znad jeziora. Przystojny był, uśmiechały się do niego dziewczyny.

Teraz już się nikt nie uśmiecha. Poza nim, który żyje marzeniem. Bo on tylko w siebie, w Ojca i w przyszłość świata wierzy.

Wie, że nieprędko, nie nazajutrz lecz kiedyś przypomni go Paweł.

Wie że będzie potrzebny. Już słyszy te słowa, które anioł podyktuje Ewangelistom.

Zrozumiał, że wolność, to zgoda na śmierć. To pogrzeb, to grób, pamięć o zmarłych czy... zmarłym. Jego Wieczna Pamięć.

Wychował się w Egipcie. Rodzice o Piramidach opowiadali.

Kamienie są najtwardsze lecz się kruszą. Przykazania mają być trwalsze od kamiennych mojżeszowych tablic.

Woła: *Eli, Eli, lama sabachthani?*

Głosi, bo wie, że od kamienia trwalsza jest pamięć. Pamięć to słowa.

Tak – Bóg jest słowem.

– Na początku było słowo. Zapamiętaj to Janie.

A jego przyszłość, ludzkości zbawienie, ZMARTWYCHWSTANIE – to ten pomnik trwalszy od spiżu.

Zakończenie? – Jak kto woli: zmyślenie, bajka, prawda lub...
LITERATURA.

Zofia Beszczyńska

Jak znaleźć czarownicę?

Pewna dziewczynka imieniem Klara chciała spełnić swoje Marzenie. Ktoś jej powiedział, że do tego jest potrzebna czarownica. Tylko jak ją znaleźć?

Głupio pytać o to mamę albo babcię. Bo jeśli będą chciały wiedzieć więcej? I w końcu wyciągną z człowieka wszystko, kawałek po kawałku. Podobnie z koleżankami. A przecież Marzenie powinno należeć tylko do swego właściciela.

Tym bardziej że miała ich kilka. To znaczy:

– być dorosłą, żeby nikt jej niczego nie kazał ani zakazywał i nikogo nie musiała słuchać;

– umieć fruwać;

– spotkać Księcia z Bajki;

– zamieszkać w Pałacu z Bajki.

Gdyby mogła porozmawiać ze zwierzętami! One na pewno znają różne czarownice i wiedzą, gdzie ich szukać! Podobne rzeczy można znaleźć w bajkach. Klara czytała je, gdy była mała, ale nie nauczyła się dużo. Wiedziała tylko, że najważniejsze jest czarownicę rozpoznać. Bo nie zawsze mieszka w chatce na kurzej łapie albo domku z piernika.

Zajrzała do Internetu.

Jak rozpoznać czarownicę? – spytała.

Którego bachora rozdeptać teraz jak karalucha? – zastanawia się od rana do wieczora. Kiedy czarownica rozprawi się z kolejnym dzieckiem, jest szczęśliwa jak łakomczuch, co zjadł talerz truskawek. Szanująca się wiedźma powinna upolować przynajmniej jedno dziecko tygodniowo. Inaczej ma chandrę.

Klara poczuła się dziwnie. Nie o to jej chodziło.

Jak rozpoznać czarownicę, a jak Półczarownicę? Czarownica ma na prawej dłoni gwiazdę. Natomiast Półczarownica ma połowę gwiazdy.

Eee... pewnie dziecko to pisało. A co maluch może wiedzieć o życiu?

Na szczęście są też książki.

Jak rozpoznać czarownicę? – spytała pierwszą z brzegu.

Czarownice mają włosy zaplecione w trzy warkoczki – przeczytała.

Jakiego koloru? – chciała wiedzieć Klara, ale książka zamilkła.

Sięgnęła po następną.

Czarownice mają różnobarwne oczy.

Dobre i to. Ale może coś poważniejszego?

Poważniejsze książki stały na wyższych półkach. Trudno! Wystarczą dwa krzesła jedno na drugim i ścierka do kurzu.

Czarownicom wystaje spod spódnicy czarne piórko.

Ale z bajek Klara pamiętała, że przede wszystkim trzeba wyjść na rozstaj dróg, a tam zaraz się spotka Kogoś Odpowiedniego. Z braku rozstaju dróg wyszła na najbliższe skrzyżowanie ulic. I tam spotkała Felka, rudego i piegowatego jak ona.

Czy można kogoś takiego spytać o znalezienie czarownicy?

I rzeczywiście Felek nie wiedział o sprawie nic, ale bardzo się przejął. Czarownica? Czysty odlot!

Klara, obrażona i z zadartą brodą, już odchodziła na poszukiwanie innego rozstaju dróg (albo skrzyżowania ulic), gdy pod jej nogami smyrgnął czarny cień.

– Ja wiem, ja wiem! – miauknął.

Był to Czarny Kot, niby przynoszący pecha. Po chwili dał kolejnego susa i pomknął przed siebie. Klara za nim, a Felek za Klarą. Nigdy nic nie wiadomo.

Biegli niedługo i wkrótce przybiegli do chatki czarownicy (Czarny Kot miauknął i zniknął, jakby go nigdy nie było. Tylko w powietrzu mignęła złota korona).

Chatka była niby zwyczajna, ale mieściła się w drzewie. W pniu drzewa. Jesionu, klonu? Lub brzozy, tej z parku.

Czarownica wyszła na próg i łypnęła czerwonym okiem.

– Czego? – burknęła. Jej trzy warkocze wiły się jak węże.

Klara poczerwieniała, ale tylko trochę.

– Mam Marzenie – szepnęła.

– Hm... – mruknęła czarownica. – Jasne. I pewnie chcesz, żebym je spełniła. A co mi dasz w zamian?

Dziewczynka zdziwiła się. Chyba nieuważnie czytała bajki.

Czarownica nie spuszczała z niej oka.

– Niech ci będzie, wejdź do środka – powiedziała.

Nie idź! – chciał zawołać Felek, ale nie zdołał. Czyjaś pachnąca dłoń zasłoniła mu usta.

W środku było miło i przestronnie. Pod sufitem suszyły się zioła. W kominie buzował ogień, a obok leżał Czarny Kot, czasem majtając ogonem. Pośrodku, na drewnianym stole leżały jabłka, pierniki i orzechy. A na ścianach wisiały dyplomy:

Dla Bambuli –
Najlepszej czarownicy
Wszech czasów! –
Wdzięczni klienci

CERTYFIKAT

Stwierdza się, iż rzeczona
CZAROWNICA BAMBULA
(alias Kocia Łapa, Sowie Pióro, Wężyluska etc., etc.)
posiada niezbędne uprawnienia dla odprawiania
Czarów i Uroków!

Podpisano:

XXX

YYY

ZZZ

– Sabat Czarownic, Góra Walpurgi, Sowie Drzewo

Oraz:

Dziękujemy Ci, Bambulo!
Zuzia
i Maciuś

Klara patrzyła na to z otwartymi ustami.

Po pierwsze: skąd tyle miejsca we wnętrzu parkowego drzewa (nieważne czy jesion to był, czy klon, czy brzoza, czy wierzba)?

– Hm – chrząknęła Bambula. – Hej, ty tam...

– Mam na imię Klara – przedstawiła się Klara.

– Super, a ja Bambula – przedstawiła się Bambula.

– No więc... mam Marzenie – wyznała dziewczynka.

– Tak, wiem oczywiście.

– Oczywiście – powtórzyła Klara.

Kot miauknął.

– Które wybierasz?
 – Które... co? – spłoszyła się dziewczynka.
 – Marzenie, oczywiście! – wrzasnęła czarownica. Spódnica wokół jej nóg zafalowała.

– Eee... sama nie wiem – wymamrotała Klara. – Być księżniczką? Umieć fruwać? Poznać Księcia z Bajki?

– Hm, sporo tego. A co mi dasz w zamian?

– Eee...

– Dobra, chodź tu.

Wyciągnęła do dziewczynki szponiastą dłoń, pokrytą brodawkami jak skóra ropuchy. Na grzbiecie jednej widniał tatuaż w kształcie gwiazdy. Właśnie ta dłoń mocno chwyciła rękę Klary. I popchnęła ją w kąt izby.

Na okrągłym stoliku z jedną nogą stała okrągła misa z wodą. W wodzie pływały płatki bławatków, gałązki rozmarynu, kolorowe pyłki.

– No więc co mi dasz w zamian, moja Drrogha? – zaskrzeczała Bambula.

Klara pochyliła się nad misą. Zobaczyła swoje odbicie, trochę niewyraźne, i przez to bardzo dziwne. Wydawało się, że przedstawia trzydziestoletnią kobietę o przylizanych włosach i szarym kostiumie przypominającym męski garnitur. Po chwili obraz zniknął i dziewczynka widziała tylko pływające w wodzie gałązki rozmarynu, płatki bławatka i kolorowe paprochy.

– Przecież, he! he! chciałaś być dorosła! Cooo? – Palce czarownicy zaciskały się wokół przegubu Klary. – I co jeszcze, spotkać Księcia z... eee... Bajki, dobrze mówię?

Nie, to nie tak! – chciała zawołać, ale nie mogła otworzyć ust.

Wolała już nie patrzeć w taflę. Zamknęła oczy.

– Jeśli mam być szczerą, chętnie bym ci odebrała twój śliczny nosek... – zasyczała Bambula; sama miała długie, zakręcone i pełne brodawek – ale na razie wystarczą mi włosy! Nie na wiele mi się zdadzą, ale wiesz, że tak musi być! Bo czytasz bajki, co?

Nie, nie! – znów chciała zawołać Klara, ale znów nie zdołała. Już weszła na ścieżkę bajki, już było za późno.

Bambula wysunęła spod spódnicy czarne piórko i zamachała nim, aż zmieniło się w skrzydła. Zarzuciła sobie na plecy Klarę i poleciały.

Czarownica była teraz sową, a dziewczynka małą dziewczynką na jej grzbiecie.

– Lecimy, lecimy... ale dokąd? I jak to się może skończyć? – zdążyła krzyknąć w ostatniej chwili.

– Cicho, nie marudź! – odwrzasnęła Bambula. – Skąd możesz wiedzieć, co będzie następnym razem? Może trafisz okazję jazdy na grzbiecie... ogromnego włochatego pająka?

Klara zadrżała. Mocniej chwyciła sobie pióra.

Wylądowały w Pałacu z Chmur. Wszystko tam było ze złota i chmur, a w każdym kącie wisały pęki szklanych dzwoneczków.

Na progu czekał czarnowłosy i zielonooki Książę Kocur.

– No, jesteś wreszcie – powiedział do Klary. – Na razie tu zostań, a ja pójdę na polowanie. – I obliznął się różowym językiem.

Dziewczynce ciarki przebiegły po plecach.

Tymczasem Felek nie dawał za wygraną. Otworzył usta, wyszczerzył zęby i wgrzył się w paskudną dłoń.

– Auu! – zawrzeszczało. – Co robisz?! To boli!

Poczuł smak czegoś słonego, a dłoń zniknęła. Choć niezupełnie była to dłoń.

– Okropnie boli – rzekł krzak Czarnego Bzu. Spuścił czarne oczy, z których wypłynęło kilka czarnych łez. To znaczy jagód.

– Nie chciałem ci zrobić krzywdy... Dlaczego płaczesz? – szepnął Felek.

– No wiesz! Bambula ciągle wrywa mi gałęzie, robi z nich miotły, różdżki i takie tam. A co mi daje w zamian? Trochę mleka i miodu. Czasem.

– To czemu jej służysz?

Krzak Czarnego Bzu wzruszył ramionami.

– Wiesz, chodzi o dzieci... i o święty spokój.

– Okej – oświadczył Felek. – Zostawię cię w spokoju. Jeśli ty mnie zostawisz.

Krzak skinął głową. W jego gałęziach spała chmura.

Z chmury można upleść mocną drabinkę, ale Felek wolał użyć drewna brzozy i sznurka, a potem smoły, żeby wszystko lepiej skleić. Potem rzucił koniec drabinki na róg Księżycy, który akurat był w fazie rogalika...

...i zaraz jego ruda głowa zjawiała się w pałacowym oknie.

W Klarę jakby strzelił piorun. Sama nie wiedziała, co czuje: złość, radość, ulgę? Bo ten Felek! Piegowaty, zarozumiały rudzielec! Znowu! Chociaż... w Podniebnym Pałacu było tak pusto, zimno, niemiło. Strasznie! I ten Kocur błyskający zielonymi ślepiami i oblizujący się różowym jęzorem... brrr!

– Co ty tu robisz?! – wrzasnęła jednak.

Felek zarumienił się po czubki rudych włosów.

– Zamiast wrzeszczeć na całe niebo, uciekaj razem ze mną! Póki jeszcze czas – dodał ponuro.

Klara rozejrzała się. Nagle pomyślała, że wszystko to nie ma sensu. Tak naprawdę w Pałacu nie ma dla niej miejsca. A Księżę? Lepiej nie mówić.

– To co, schodzisz? – spytał Felek.

– Schodzę – odparła.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła leżące obok łóżka dziwne przedmioty.

Lusterko. Białe piórko. I gałązkę czarnego bzu.

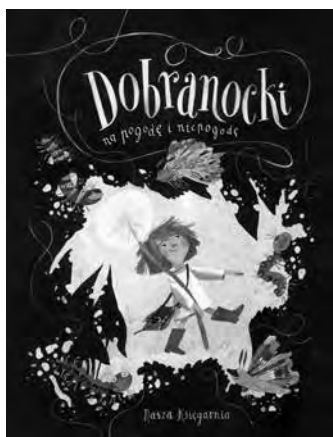
Ktoś rzucił w okno garść kamyków. Wyrzała.

– Schodzisz? – spytał Felek.

– Schodzę – odparła.

Zofia Beszczyńska

Opowiadanie wchodzi w skład
antologii
Dobranocki na pogodę i niepogodę
Nasza Księgarnia
Warszawa 2018



Zofia Beszczyńska

Wiersze bez sensu

koza

co pochyłe drzewo zobaczy
to skacze
a potem – nie daj Boże –
zeskoczyć nie może

tak było jest i będzie:

na dębie żołędzie
a na wierzbie gruszki

karaluszki do poduszki

jestem kotem

co wykluł się z jajka

a co to za bajka?

bajka okrągła
bajka kwadratowa
bajka od której boli głowa

żaba w zielonej sukience

ropuch w garniturze
trzymają się za ręce

i śpiewają w chórze:
rachu rachy ruchu
podrap nas po brzuchu
rechu rechu rech
ale będzie śmiech!

naschodowiec

siedzi na schodach
bo tak mu się podoba

siedzi na nich dniem
i siedzi nocą
chciałby coś powiedzieć
ale sam nie wie co

placek-omacek:

pieczono go w ciemności
nie jak inne placki
i pewnie dlatego
można jeść go
tylko po omacku

pająk wychodzi ze szpary:

najpierw głowa
potem nogi

ile tych nóg, Boże drogi!

mam piórka wronie

w ogonie
a w czubie

to co lubię

w piecu Baba Jaga

rozebrała się do naga
o jak gorąco! zawyła
i tak bajka się skończyła

napisałam to leciutko

moją jedną kozią nóżką

a ta druga kozia nóżka
przywiązana jest do łóżka

Anna Dutka-Mańkowska

Koniś i inne wiersze

Koniś

Oliś, Oliś, gdzie twój koniś?
Szukaj, szukaj go!
Może stoi w piaskownicy,
może bryka na ulicy,
może idzie w świat daleki,
może widzi srebrne rzeki,
wyżej stromy stok.

Oliś, Oliś, gdzie twój koniś?
Popatrz, stanął tu –
gdzie się bawić można świetnie,
gdzie po biegu się odetchnie,
gdzie zabawek mnóstwo czeka,
gdzie przyjedzie ktoś z daleka,
raz przyjedzie,
raz odjedzie,
a my razem z nim.

Kucynka Horka

Kucynka Horka do stada gna,
boi się ludzi, boi się psa,
ale wśród koni wicher dogoni.

Na spacerze

Bruk jest twardy bruk bruk bruk
wrona stuka stuk stuk stuk
to jest orzech kra kra kra
co zawartość pyszną ma

Liście spadły szur szur szur
szura w parku cały chór
zaśpiewamy tralala
że kasztany każdy ma

Gawron okiem łyp łyp łyp
Masz coś dla mnie? Nie masz nic?
nie do wiary nie nie nie
gawron wszystko zje zje zje.

Powiew

Powiew gładzi nas po twarzy
niesie zapach ciepłej łąki,
bardzo cieszą się motyle
i liliowe tańczą dzwonki.

Piórko opada mięciutko,
w dół się ślizga zygzakami,
podmucha lekki je zagarnął...
Popatrz! płynie tuż nad nami!

Kot

To był bardzo dziwny kot,
cicho szedł, miał miękki krok,
zmrużył ślepią, w słońcu siadł:
– Chętnie bym co nieco zjadł.

Może także mleczko być,
z miseczki je będę pić.
Czego chciałbym – nie wiem sam,
bo dziś kiepski humor mam.

Pomarudzić trochę chcę,
niechaj ktoś pogłaszcze mnie!

To był bardzo dziwny kot,
pewnie przelazł tu przez płot.

Pingwin

Garnitur na nim
leży jak ulał.
Ma dziś zapewne
odwiedzić króla.

Wiersze *Powiew, Kot, Pingwin*
pochodzą z książki:
Anna Mańkowska
Koalicja z misiami koala
Wydawnictwo Sorus, Poznań 2016
ISBN 978-83-63768-96-6.



Joanna Jagiełło

Czacha się buntuje

(fragment)

26 października, sobota, Dzień Minimalizmu

Mama postanowiła zrobić porządki. W tym celu kupiła bardzo mądrą książkę pod tytułem *Zostań czarodziejką sprzątaną*. Tam jest napisane, że powinno się zostawić tylko te rzeczy, które się kocha. Mama wywaliła więc wszystko z szafy na środek pokoju, a my siedziałyśmy na sofie i chichotałyśmy, bo ona podnosiła każdą rzecz do góry i rzucała pytania w przestrzeń:

– Czy ja kocham tę bluzkę? Czy ja kocham ten sweter? Czy ja kocham tę skarpetę? Nie!

I już bluzka i sweter, i stara pojedyncza skarpeta lądowały na kupie rzeczy do oddania biednym.

– Ciekawe, w czym będziesz chodziła, jak przyjdzie mróz – powiedziała trzeźwo Helga. – Ten sweter przynajmniej jest ciepły, nawet jeśli nie darzysz go uczuciem.

– No ale ta Japonka pisze, że muszę każdą rzecz kochać...

– A nie pisze, skąd masz wziąć pieniądze, żeby odkupić te rzeczy, których nie kochasz, ale które są niezbędne? Powinno się podać tę autorkę do sądu! Przecież to totalna bzdura!

Mama wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać. Zdaje się, że zburzyłyśmy jej wiarę w magię sprzątania.

– Już wiem! – krzyknęłam. – Pytania muszą być dwa: czy to kochasz, a jeśli nie kochasz – czy to jest niezbędne.

Twarz mamy rozjaśniła się.

– O, znakomity pomysł – powiedziała. – Po prostu to trochę zmodyfikować.

Dalej szło już świetnie. Albo prawie.

– Ten T-shirt jest strasznie znoszony, mamo – powiedziałam.

– No ale ja go kocham – odparła mama i pogładziła koszulkę, jakby była psem.

– Uhm – mruknęła Helga ponuro. – Ale tę sukienkę też kochasz? Jest trochę przedpotopowa, szczerze mówiąc.

– Tak, ale znakomicie nadaje się do sprzątanía w czasie upałów.

Hm, nigdy nie widziałam, żeby mama pucowała mieszkanie w czasie upału. Raczej pije wtedy zimne piwo na balkonie.

– Ale nie jest niezbędna. Możesz przecież sprzątać w... samych majtkach i podkoszulku – dodałam.

– Moje drogie, może i czasem chodziłam po domu w samej bieliźnie, ale to się teraz zmieni. Myślę, że trzeba nam więcej przyzwoitości – powiedziała mama.

– Hm – wtrąciła Helga. – Akurat mężczyzna doceniłby twój negliż.

Nie wiem, co to jest negliż, ale chyba coś obraźliwego, bo Helga dostała tą sukienkę w głowę. Potem mama podniosła ją, złożyła i położyła na stertę rzeczy „ukochanych” bądź „niezbędnych”. Ta sterta niestety rosła, a w torbie do oddania było tylko kilka rzeczy. Mama westchnęła.

– Ja proponuję – uśmiechnęła się Helga – żeby te rzeczy po prostu inaczej w szafie układać. Układasz po dwie sterty na każdej półce... gdybyś układała po trzy, to na każdej półce zmieści się o pięćdziesiąt procent więcej rzeczy.

– Zaczynam myśleć, że zdasz maturę z matematyki – powiedziała mama z przekąsem, ale zaraz wypróbowała tę metodę i w ten sposób udało jej się opróżnić trzy półki.

– To będzie miejsce na rzeczy Paco – powiedziała.

– Trzy półki? – zapytałam. – Myślisz, że się zmieści?

– Tak, jak ułoży po pięć stert i mocno ściśnie – zachichotała Helga.

– To ile procent więcej się zmieści? – rzuciła mama.

– Boli mnie głowa – powiedziała Helga i udała się do swojej kuchni, żeby tłuc jakieś testy.

A tak naprawdę oglądać filmy na YouTube. Ja poszłam pograć, a mama dalej rozmawiała ze sobą. „Czy ja kocham te rajstopy? Czy to jest niezbędne?” słyszałam co pewien czas. Po dwóch godzinach zaczęło mi burczeć w brzuchu.

– Będzie jakaś kolacja? – zapytałam.

– Przecież widzisz, że sprzątam – odpowiedziała mama. Wyglądała na wściekłą. – Możesz sobie wziąć chleb ryżowy z nutellą.

– Nie ma – powiedziałam. – Helga zjadła.

– Wcale nie. To dziadek wyjadł całą nutellę! – broniła się Helga. – I masło orzechowe!

To odkryłyśmy zresztą dopiero jak wyjechał. I nawet mama musiała parsknąć śmiechem. Potem zrobiło się miło, a Helga próbowała mamę

jakoś udobruchać, bo mama po prostu tak nie lubi sprzątanía, że od razu ma dość.

– Gdzie te ciuchy do wyniesienia? Może ja je zniosę? Bo to raniutko będą zabierać. Kazali wystawić w zawiązanych workach.

– Ehm... – westchnęła mama. – W sumie to... nie ma.

– Jak to nie ma? Przecież coś wyrzucałaś! – zdziwiła się Helga.

– Zrobiłam powtórnią selekcję i...

– Część rzeczy jednak pokochałaś... – dodałam. – Cha, cha!

– Tak bywa, że dopiero gdy coś tracimy, to coś zyskuje w naszych oczach...

– Tak, szczególnie stare spodnie od dresu. Super, mamó! Możesz prowadzić wykłady jako sprzątająca czarodziejka, naprawdę!



Autor: Joanna Jagiełło

Czacha się buntuje

Ilustrator: Marta Krzywicka

Stron: 216

ISBN: 978-83-7672-531-4

Wydawnictwo Literatura, Warszawa 2018

Joanna Jagiełło

Jak ziarnka piasku

(fragment)

Prolog

Krok za krokiem, piach, resztki śniegu, piach, resztki śniegu, kamień.

Las wygląda groźnie, jest moim sprzymierzeńcem. W tym, co mam zamiar zrobić. Filmuję wszystko. Chcę, żeby widzieli, żeby wiedzieli. Że nie byłam zwierzęciem prowadzonym na rzeź. Że przynajmniej teraz, tutaj, potrafiłam pokierować własnym życiem. Naprawić to, co spieprzyłam. Że przynajmniej teraz, tutaj, jestem osobą, kimś, kto podejmuje decyzje dotyczące własnego istnienia. Że przynajmniej teraz, tutaj, potrafiłam zachować godność. Co pewien czas moje kalosze zapadają się w śnieg, albo miękkie poszycie, kamera się trzęsie, ale próbuję ratować obraz. Nie chcę, żeby film był rozedrgany, rozchwiany. Nie chcę, żeby myśleli, że się bałam, albo byłam niepewna. Wiem, że nie zdążą. Nie dlatego filmuję, żeby ktoś mnie powstrzymał. Filmuję, żeby dać świadectwo. Wiem, że kiedy to się stanie, oni usuną wszystkie zdjęcia, smsy i filmy. Nikt się nie dowie. I o to właśnie mi chodzi. Ani ja nie potrafiłabym z tym żyć, ani moja matka. Chcę zachować siebie w pamięci taką, jaką byłam i jaką mogłabym być, gdyby nie tamto. Nie chcę już tego robić, ani żyć w strachu. Nie ma nic gorszego niż to ciągle stąpanie po cienkiej linii. Uśmiecham się. Bo chcę, żeby taką mnie zapamiętali. Uśmiecham się, bo czuję ulgę. Sznur kołysze się na moim ramieniu. Już jestem prawie na miejscu. Niedługo to wszystko się skończy.

Krok za krokiem, piach, resztki śniegu, piach, resztki śniegu, kamień.

Drzewo, sznur, pień. Pień pod drzewem, sznur na drzewie. Twarz do kamery. *Przepraszam wszystkich. To moja decyzja. Żegnajcie.*

Jeszcze twarz. Białý podkład, czarna łza na policzku. Komediantka życia, komediantka śmierci. Przez chwilę robi mi się smutno.

Drzewo, sznur, pień, kalosze w kropki, ironia.

Zaraz będzie po wszystkim, Nino. Trzęsę się, moje ręce tak się trzęsą, dobrze, że już nie trzymam kamery, nie będą wiedzieć, jak się bałam. Stoi dalej, na drugim pniu.

To jest nagranie na żywo, nie mogę teraz zawieść.

Zaraz będzie po wszystkim, Nino.

Jest.

Część pierwsza

Jesteśmy.

Wchodzimy razem do wody, tak zimnej, że prychamy jak żrebaki. Ostrożnie. Stopa za stopą. Masz pomalowane paznokcie, każdy na inny kolor. Róż, fiolet, błękit, pomarańcz, zieleń. Artystka. Moje paznokcie są pokryte jedynie bezbarwnym lakierem, a stopy większe od twoich. Dotykam lekko błękitnego paznokcia swoim paluchem, mała gąsieniczka odskakuje. Powietrze pachnie słonymi paluszkami, wiatr jeszcze zdecydowanie wiosenny, a nie letni, sprawia, że moje plecy pokrywają się gęsią skórą. Cofam się, kiedy tuż przed nosem przelatuje pszczoła. Dziwnie wczesna. Po chwili woda przestaje mi się wydawać lodowata, wchodzę głębiej, ciągnąc cię za sobą. Wyczuwam dłonią twój duży, okrągły pierścień ze słońcem, który nosisz na środkowym palcu, jakby to słońce zawsze miało wskazywać ci drogę. Wodorosty wdarły się między nasze palce: łaskoczą mnie tak, że zaczynam chichotać. I wtedy czuję, że wpadłaś w jakiś dół, nie wiem, co się dzieje, zaczynasz tonąć, próbuję cię wyciągnąć, ale mimo że łapię cię za ubranie, próbuję mocno chwycić w tali, nie napotykam żadnego oporu. Patrzysz na mnie błagalnym wzrokiem i wiem już, rozumiem, że cię tracę, ale kiedy próbuję dotknąć twojej twarzy, też napotykam najpierw pustkę, a potem już tylko pływające na powierzchni wodorosty. Zamykam oczy, otwieram, czuję się, jakby morze wyrzucało mnie na brzeg, oszalałymi rękami macam dookoła, przez chwilę nic nie widzę, ale jest sucho i ciepło, wiatr ustał. Zdaje się, jakby fale stały się materialne. Otwieram oczy w końcu i widzę, że moje niespokojne ręce próbują cię znaleźć pomiędzy wybrzuszeniami kołdry.

Ale oczywiście nie znajdują.

Jestem sama.

Anna, 17 lat i 9 dni. Nina, 17 lat

Te większe mewy mają brązowe brzuchy, te mniejsze nie. I te, i tamte wciąż latają, jakby nie chciały przestać. Małe ciemne ptaszki – przeciwnie – nieruchomo siedzą na krzakach, kiedy chodzę sikać na wydmy. Kamienie też są nieruchome. Kamyki, szkło oszlifowane przez fale, plastikowe kontenery, fragmenty sieci. Kalosz. Prezerwatywa.

Nie ma cię, Nino, już od dziewięciu dni. Chodzę plażą tam i z powrotem, kilometrami, z Sopotu do Gdyni, z Gdyni do Sopotu, chodzę plażą i wołam: – Nie ma Niny! Nie ma Niny! Nie ma Niamy! Nie mie mamy! Nie nie nie! Zwariowałam, ale kto by nie zwariował. Jestem chora i mam gorączkę, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Nie ma ciebie, jestem sierotą po tobie, dlatego mam chorobę sierocą. Kiedy zmęczę się tym chodzeniem, siadam na mokrym, zimnym piachu i kiwam się. Matka myśli, że jestem w szkole, ale ja nie mogę tam teraz chodzić. Nie potrafię patrzeć na ludzi, ich normalność mnie przytłacza. Tylko morzu mogę wybaczyć, że zachowuje się jak zwykle, choć też wołałabym, żeby nagle zamarzło. Ale nie zamarza. Uparcie, niestrudzenie pcha białe fale w stronę brzegu. Ma nas w dupie, nie?

Ale i ty, Nina, miałaś mnie w dupie, co? Kiedy nagrywałaś swoją śmierć na kamerkę i wstawiałaś na fejsa, miałaś w dupie, że ja nie mam fejsa, że na zimowisku nie wolno nam używać komórek, dopiero wieczorem, a i tak nic z tego, bo zasięg jest tylko w kiblu. Przecież ci napisałam, że dupa z Internetem, to komu to nagrywałaś, co? Wołałaś o pomoc? Ale do kogo?

Krok za krokiem, piach, resztki śniegu, piach, resztki śniegu, kamień.

Też tak szłaś, przez las. Obraz się buja w kamerze, kiedy twoje kroki zapadają się w śniegu. W dół i w górę, w dół i w górę. Potem jest to drzewo i sznur, i nic już więcej nie ma, tylko jakieś szarosine płyty śniegu, musiałaś rozbijać się i kopnąć w ustawioną na czymś kamerę. Słysząc coś, ale coś za krótkie na krzyk, a potem już cisza i ciemność. Transmisja na żywo, zapraszamy do teatrzyku cieni. Zapraszamy do teatrzyku, na który tylko ja nie dostałam biletu. Najlepsza twoja przyjaciółka!

Psycholożka tłumaczyła, że nie chciałaś mnie ranić, że prawdopodobnie wybrałaś ten moment, żebym nie mogła cię powstrzymać, ale nie trafiają do mnie te wyjaśnienia. Żebyś ty chociaż, Nina, była narąbana, albo

żebyś coś brała, ale nie, obraz w kamerze pokazuje cię zupełnie trzeźwą. A może jednak coś brałaś, tylko tego nie widać, bo nie mogę, nie mogę w to uwierzyć.

Przepraszam wszystkich – mówisz. To moja decyzja. Żegnajcie. Ale jakich wszystkich? Jakich wszystkich? A ja?

Byłyśmy jak dwie krople wody. Jak dwa groszki, dwie fasolki, bliźniaczki, papużki, koła od tego samego roweru, liście z tego samego drzewa, jak pan i pies, jak z krwi krew. Niezły rap, co? Ale byłyśmy. Jak dwie krople. Dwa ziarenka piasku. Więc od początku.



Autor: Joanna Jagiełło

Jak ziarenka piasku

Stron: 320

ISBN: 9788310133441

Nasza Księgarnia, Warszawa 2018

Alicja Patey-Grabowska

Indyk

Rozniosła się plotka
po kurniku.
Kokoszka zakochała się
w indyku!
– Jaki piękny,
mister podwórka! –
wzdycha zakochana kurka.
Ale kogut zazdrosny
o kurkę
stroszy groźnie
kolorowe piórka.

Dziobem
krzykiem
przepędza amanta.
– Kura nic a nic nie jest
mnie warta.
Mówi indyk i do indyczki się zaleca.
– Kura we mnie zakochana?
A to heca!

Leśny doktor

Puka dzięcioł w drzewo:
– Jak się pan czuje?
Czy coś dolega?
Ha, słyszę chrypkę.
Trzaski w konarach.
Tu trzeba plomby,
bardzo spróchniałe.
I gałąź boli?

– Nie stać w przeciągach.
Unikać wiatru.
Więcej na słońcu.
– Prosimy do nas,
Panie doktorze!
Słuchać żalosne
wołanie w borze.
– Zaraz przylecę.
Zbadam każdego.
Tylko receptę wypiszę na korze.

Alicja Patey-Grabowska

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton

Rozmowa poety z samym sobą

Część 2¹

Kolejnym mottem jest zdanie wyjęte z Biblii, z księgi Jeremiasza. I brzmi dziwnie tajemniczo: „Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię”. Poprzedziłeś nim wiersz *Do Nienarodzonej*.

Zdanie to pochodzi z Biblii, ale to co spowodowało, że go użyłem jako motto, to nie biblijny kontekst, lecz raczej orficka koncepcja preegzystencji oraz związana z nią Platońska teoria idei jako wzorców rzeczy. Mamy tu przedstawioną sytuację ontologiczną w takim rozumieniu ontologii, jak ją pojmują fenomenolodzy, czyli jako nauka nie o rzeczach, nie o tym, co istnieje realnie, lecz o czystych możliwościach wszystkiego, co by mogło zaistnieć. Zakłada się tu, że istnieć może wszystko to, co tylko nie jest wewnętrznym, logicznie i ontologicznie sprzeczne. Tym, co ma powstać do realnego istnienia, jest w moim wierszu „Nienarodzona” – istota ludzka będąca jeszcze w stanie czystej potencjalności, „Królowa z Kraju Możliwości”. Wszystkie obrazowe sytuacje, jakie pojawiają się w kolejnych strofach, są przedstawiane jako uroczyste, pełne troski przygotowania na tę chwilę, w którym ma się zjawić w naszym realnym świecie i zamieszkać w nim owa istota z tamtego świata – ze świata czystych możliwości. Jest w tym wierszu wyrażony swoisty dramat metafizyczny, który dzieje się w punkcie spotkania dwóch rodzajów rzeczywistości – Kraju Możliwości i Kraju Realności. Królowa musi przekroczyć linię dzielącą te dwa światy – wyjść ze świata idei (Platońskich) i wejść do świata rzeczy zmysłowych. Wszystkie obrazy przedstawione w wierszu są natury zmysłowej i symbolizują bogactwo tego świata, w którym Królowa ma zamieszkać. Dramat tej sytuacji polega na tym, że to przejście wynika nie z jej woli, lecz z metafizycznej konieczności, której Królowa uniknąć nie może, a więc wręcz

1 Ciąg dalszy fragmentu przygotowywanej do druku książki pt. *Słowo i egzystencja. O twórczości Kazimierza Świągockiego – studia, szkice, interpretacje i autointerpretacje*, który był drukowany w „Podglądzie” nr 4 (11) 2017, s. 73–80.

wbrew jej woli. Ona w lęku przed istnieniem w ludzkiej postaci w świecie rzeczy zmysłowych próbuje ukryć się w „rozlewiskach luster”, „płacze w mrok sypialni”. Ale wyrok jest nieubłagany, nieunikniony: „nie ujdziesz życia, jak nie ujdiesz cienia”; „Znaj, co Konieczność nakazuje królom, / a co pająkom, co zaś krnąbrnym lasom”. Głos z Wysokości napomina ją, wzywając do panowania nad sobą tak, aby swojej woli nie przeciwstawiać Woli Najwyższej: „Panować musi nad sobą, kto z Panem / bywał tak możliwym w Kraju Możliwości”. Akt przejścia ze świata przedistnienia do świata istnienia jest konieczny i nie pomoże tu żaden płacz – z „próżni” wyłoni się „byt twój” i „ludzki przyjmie kształt”. Idąc tropem takiego interpretującego rozumowania można natknąć się w końcu na ideę, że istnienie w postaci czystej możliwości lepsze jest dla człowieka od jego istnienia realnego, jakie mu dane jest do spełnienia w ziemskim świecie. To jest nawet zgodne z myśleniem orfików i samego Platona.

Okazuje się, że wiersz, który ma formę ballady, może zawierać poważne treści filozoficzne, jak to przedstawiłeś. A więc można w formach poetyckich pełnych obrazów i symboli, w rytmicznych strofach mówić o problemach, o jakich pisze się traktaty w języku suchych abstrakcji. Cóż, może nazwiemy ten wiersz fantazją ontologiczną? Wszak fantazji tu nie mniej, niż ontologii. Można by też medytować nad jego symboliką. Ale zostawmy to badaczom filologom.

Jeszcze tylko końcowa uwaga o tym, dlaczego nie tyle biblijny, ile Platoński kontekst skusił mnie do umieszczenia takiego motta. Biblia dostarczyła dość wyrazistego i konkretnego obrazu dla wyrażenia Platońskich treści filozoficzno-ontologicznych. W słowach biblijnych mówi „Ktoś” – osoba ze świata nadprzyrodzonego mająca moc stwórczą („ukszałtowałem cię w łonie matki”). Stwórca ten jednak aktu stworzenia dokonuje według wcześniejszego wzoru, idei, które są jego myślą („Zanim ukszałtowałem cię (...) znałem cię”). W wierszu nie ma mowy o konkretnym Stwórcy, ale została wykorzystana pewna analogia do Platońskiej teorii idei oraz posługującego się nimi Demiurga.

Istnieje inna interpretacja tego wiersza, w której nie ma w ogóle mowy o filozoficznych jego kontekstach.

Owszem. I jest to mistrzowska interpretacja. Świadczy to jedynie o tym, że utwór, kiedy oderwie się od swego twórcy i zacznie krążyć w przestrzeni kulturowej, przestaje być wyłącznie własnością autora, a staje się „dobrem wspólnym”. I wtedy jego rozumienie nie musi zgadzać się z tym, które leży w intencji autora.

Przed nami kolejne motto: „Nędzny ja człowiek! Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?”. Poprzedza ono wiersz *Ciało*. Jaki związek zachodzi między nim a istotną treścią tego wiersza?

W *Liście do Rzymian* św. Pawła werset, który posłużył mi za motto, poprzedzają rozważania nad podwójną naturą człowieka, na którą składa się to, co duchowe i to, co cielesne. Duchowy pierwiastek w nim jest z natury dobry, idący jakby od Bożego prawa. Cielesny natomiast narażony jest na działanie zła i z jego powodu rodzi się w człowieku grzech. Ten zaś prowadzi do śmierci duchowej. Te dwa pierwiastki więc nie harmonizują ze sobą, a znajdują się w ciągłym konflikcie. Objawia się on w tym, że człowiek nie czyni dobrego, którego pragnie, tylko złe, którego nie chce. Stąd dramatyczne wołanie: „Nędzny ja człowiek! Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?”. A zatem zmysłowe ciało z jego pożądlivością przeszkadza człowiekowi w drodze do zbawienia. Jest złe. Nie jestem teologiem i nic pewnego powiedzieć tu nie mogę, ale wydaje mi się, że jeśli byśmy na takiej konkluzji poprzestali, to pachniałoby to antyczną koncepcją – platońską i neoplatońską oraz gnozą, według której ciało wraz z całą materią świata jest źródłem wszelkiego zła i egzystencjalnej nędzy człowieka. Chrześcijaństwo jednak przywraca ciału eschatologiczną godność w artykule wiary o ciało zmartwychwstaniu. Nie mamy tu już do czynienia z greckim dualizmem i spirytualizmem antropologicznym, lecz z chrześcijańskim hilemorfizmem inspirowanym filozofią Arystotelesa. I właśnie intencja takiej rehabilitacji ciała wobec spirytualistycznej aksjologii stanęła u ideowej podstawy tego wiersza. Już jego pierwszy wers o tym wyraźnie świadczy: „A jednak ciało tyś jest miąższem rzeczy”. Dalej idzie uzasadnienie tego twierdzenia: „W tobie sensu dochodzi sól, pszenica, woda”. Ciało, żywa i ważna część ludzkiego bytu, nadaje sens materialnym pierwiastkom, które się na nie składają. Bez niego byłyby tylko martwymi substancjami, w nim stają się składnikami życia, a więc nabierają sensu. Oczywiście ciało nie czerpie siły sensorodnej samo z siebie, lecz podlega siłom nad nie wyższym. Symbolizuje je tutaj „ciemny wiatr”, który rządzi krwią, nadając jej bieg do wzniesłego celu: „tam, gdzie gwiazda się pali nad słońca zachodem”. Gwiazda jest tu symbolem świata ponadmaterialnego, a wizja zachodzącego słońca jeszcze bardziej dematerializuje owo ciało, nadając mu monumentalny wymiar kosmiczny. Tak przeobrażone i uduchowione ciało staje się „ziemią obiecaną”, do której tęskni wygłodniały prawdy i zbawienia człowiek. Głód ten jest sam w sobie niepojęty jak wszystko, co w człowieku metafizyczne. Bo to jest głód metafizyczny

właśnie. Niezrozumiała jest też „wiatr w wąwozach tętnic” i „krew” – symbol życia, a więc po prostu życie. Kto by to wszystko zrozumiał, doszedłby do wniosku, że ziemia, czyli dziedzina, w której żyje cielesny człowiek, jest nie realnym bytem, lecz raczej mitem i „Boga dziwną przypowieścią”. Stąd można wnioskować, że ziemia i wszystko co cielesne, czyli cały nasz materialny świat, mimo wszystko, nie jest dziedziną prawdziwego istnienia, a jest co najwyżej istnieniem „zapożyczonym”, słabym odbiciem woli Boga, zaledwie jego „przypowieścią” opowiedzianą jakimś tajemniczym słuchaczom, w jakimś tajemniczym celu.

I ten, kto to wszystko zrozumie, pojmie też i to, że sam nic nie posiada poza tym kruchym ciałem, które tym samym staje się „najcenniejszą z rzeczy”. I jeszcze to zrozumie, że nawet znikome i zarazem najcenniejsze ciało oddać musi na spalenie w eschatologicznym „Wielkim Ogniu”. A o ostatecznym jego przeznaczeniu zadecyduje wola ponadziemskich mocy, usymbolizowanych tu w postaci archanioła z sądnym mieczem. Tak więc ciało z jednej strony jest niezwykle ważną rzeczywistością, gdyż w nim dokonuje się misterium przemiany martwych pierwiastków w pełne życia i znaczenia struktury o wymiarze duchowym. Z drugiej jednak strony widać znikomość jego bytu, tak jak wszystkiego, co materialne, gdyż wraz z całym tym światem stanowi ono zaledwie kropelkę woli Bożej, która może zostać unicestwiona lub zachowana. Wyrok eschatologiczny jest ostateczną tajemnicą i nie od nas zależy. Do nas należy tylko nadzieja.

A zatem w jakiej intencji ostatecznie występuje tutaj motto złożone ze słów, w których św. Paweł skarży się na grzeszność ciała, na odciągającą od dobra jego materialną siłę? Wydaje się, że wiersz nie jest potwierdzeniem myśli zawartej w motcie.

Słowa Pawła zostały tu przywołane nie jako ilustracja ideowego przesłania wiersza, lecz jako hasło inicjujące poetycko-teologiczną medytację nad istotą ciała w aspekcie eschatologicznym. Ale wiele momentów jest tu jednak zbieżnych z dramatyzmem wyrażonym w słowach św. Pawła. Bo tak czy inaczej ciało jest wielkim i trochę kłopotliwym problemem zarówno w planie poznawczym jak i ontologicznym. Ostatecznie jednak chodziło mi przecież o harmonię słów i ich znaczeń tak, aby utworzyły wartościowy utwór poetycki, a nie teologicznie poprawną konstrukcję.

Z Listu do Rzymian wzięłeś jeszcze dwa motta. Rozważmy najpierw to, które poprzedza wiersz *Zwierzęta zodiakalne*: „Wiemy bowiem, że całe stworzenie wspólnie wzdycha, wspólnie boleje aż dotąd” (Rz 8, 22).

Zastanawiające jest w doktrynie chrześcijańskiej, że tak mało miejsca poświęca losowi świata pozaludzkiego. Gdy w niej czytamy słowo „świat”, to widzimy, że chodzi tu o świat człowieka jako istoty indywidualnej i zbiorowej, a nie o cały kosmos. Charakter tej doktryny jest na wskroś antropocentryczny. Opowieść o Raju i konsekwencjach grzechu pierworodnego koncentruje się wyłącznie na człowieku. Jeśli mowa o cierpieniu, to dotyczy ono w zasadzie człowieka, jakby nie było na świecie innych istot cierpiących, zwłaszcza zwierząt związanych często swym losem ze światem ludzkim. A czyż nie można by pomyśleć o cierpieniu wszelkich bytów składających się na cały wszechświat? Bo może cały wszechświat dotknięty jest cierpieniem, wszak jego dzieje stanowią ciąg permanentnego dramatu istnienia kruchego, poddanego stawaniu się i zanikaniu, a nie niewzruszonemu trwaniu. Wszelka przemiana to gwałt zadawany utrwalonym kształtom i istotom rzeczy. Jeśli wszechświat można wyobrazić sobie jako ponadistotową Istotę wszystkich istot, która w niezbadanych planach Stwórcy skazana jest na wieczny ruch i niekończącą się przemianę i jeśli szczęście ostateczne, doskonałe, eschatologiczne pojmować jako stan nieruchomej kontemplacji Bytu, jako wieczysty spokój i absolutną ciszę, to los wszechświata można uznać za rodzaj permanentnej katastrofy, niekończący się dramat, zamknięty krąg tragedii, której sens jest niedostępny dla nas z natury, bo wykraczający poza skończone czy nieskończone granice kosmicznego uniwersum. Sens wszelkich światów, sens kosmosu jest poza światami, poza całym kosmosem – jest wobec niego transcendentny. Wyobrażalne cierpienie tak rozumianego wszechświata staje się wprawdzie całkowicie niezrozumiałe, ale tak jak niezrozumiały jest sam wszechświat i wszelkie istnienie jakiegokolwiek bytu, a najbardziej bytu człowieka – istoty cierpiącej i świadomej swojego cierpienia. Owo niezrozumienie samego siebie, swojego bytu i bytu wszystkiego, co tworzy jeden wspólny świat, prowadzi do totalnego smutku – smutku bezradności, bezsilności. Jest to smutek metafizycznej natury – cierpienie metafizyczne.

Werset wyjęty z *Listu do Rzymian* wyraża, bodaj czy nie całkiem wyjątkowo, ideę cierpienia kosmicznego, a przynajmniej tej jego części, którą stanowią biologicznie żywe istoty, jako że mowa tu o „wzdychaniu” i boleściach „całego stworzenia”, a więc tego wszystkiego, co znajduje się w ludzkim kręgu istnienia. W wierszu *Zwierzęta zodiakalne* mamy serię obrazów, w których przedstawione jest cierpienie całego Kosmosu wyobrażonego jako jedność istot ziemskich i niebieskich. Pochód obrazów kończy się w aurze metafizycznego smutku. W *Liście do Rzymian* nie ma smutku

beznadziei, jest natomiast właśnie wiara i nadzieja. Mówi o tym wcześniejszy od cytowanego jako motto werset dwudziesty pierwszy tego samego rozdziału: „samo stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skażenia ku chwalebnej wolności dzieci Bożych”, oraz werset dwudziesty trzeci: „i my sami, którzy posiadamy zaczątek ducha, wdychamy w siebie, oczekując synostwa, odkupienia ciała naszego”. W Pawłowej bowiem nauce, jak można sądzić, cierpienie dopuszcza sam Bóg i On je ostatecznie unicestwi. Cierpienie to w planie Bożym ma więc charakter zbawczy, soteriologiczny. Nadzieja na zbawienie nadaje mu sens, a więc zarazem też chroni od smutku. A zatem wizja świata przedstawionego w moim wierszu nie jest zgodna co do przesłania ideowego z treścią przesłania nowotestamentowego. Motto więc pełni w nim rolę poniekąd swoistej prowokacji. Pomaga mu w tej funkcji to, że zostało wyjęte z ważnego kontekstu, bez którego można je interpretować tak, jak ja to uczyniłem świadomie, czy nieświadomie w tym wierszu.

W moim odczuciu wiersz ten emanuje jakąś aurą mitologiczną rodem z antycznej Grecji lub może jeszcze z innego kręgu kulturowego. I to mimo, że znajdujemy w nim ściśle chrześcijański symbol – krzyż.

Wizja Kosmosu z wiersza byłaby może bliższa greckiemu wyobrażeniu, mającemu źródło w astronomiczno-metafizycznych poglądach pitagorejczyków, a za nimi Platona i Arystotelesa, a także neoplatoników, gdyby nie jej dramatyzm zmierzający do beznadziejnego smutku. Obraz kosmosu wyrosły w kulturze antycznej przedstawiał bowiem rzeczywistość w pełni uporządkowaną, napawającą szacunkiem i religijną czcią stanowiącą transcendentny niejako wzór dla życia społecznego i moralnego. W nim nie było miejsca na dramaty rozdarcia i smutku. Jedno, co łączyć może wizję kosmosu z wiersza *Zwierzęta zodiakalne* z wizją antyczną, to leżąca u jej podstaw idea jedności świata ziemskiego z niebieskim. Ale już nie smutek i cierpienie – te ludzkie przypadłości, które przypisane tu zostały żywiołom nieba – gwiazdozbiorom przybierającym imiona od istot ziemskich – zwierząt.

A z chrześcijańskich symboli pojawia się w wierszu, jak to już zauważyłem, krzyż. Jeśli dobrze rozumiem, to wprowadzona tu została i wykorzystana dwuznaczność samego słowa. W planie astronomicznym to nazwa gwiazdozbioru – Krzyż Południa, ale nazwa ta natychmiast przybiera sens teologiczno-antropologiczny, gdy słyszymy głos konającego na krzyżu Chrystusa: „Eli, Eli, lama sabachtani”, Boże, Boże czemuś mnie opuścił.

Taka w istocie była moja intencja wierszородna i sensorodna. Chodziło mi o to, aby dramatyczną wizję nieba z uciekającymi w popłochu gwiazdozbiorami przeobrazić z czysto astronomicznej fantazji w metafizyczno-antropologiczny traktat; dramat ludzki przenieść w sfery kosmiczne i w ten sposób zuniwersalizować cierpienie jako takie, przypisując je wszelkiemu stworzeniu i całemu kosmosowi.

Zastanawiająca i bardziej niż pierwsza skomplikowana jest druga strofa.

No to spróbujmy jej się przyjrzeć. „Ubywało nieba w sercach zwierząt, / gdy w imiona zakłęto im ciała”. Po monumentalnej wizji przerażonego nieba pojawia się obraz zwierząt, którym żywe ciała zmieniono na nazwy, czyli pozbawiono ich organicznego, naturalnego dla nich życia. To je najwidoczniej zasmuciło, co wyrażają pierwsze słowa strofy. „Niebo” poza funkcją obrazowania, nadawania rozległości przestrzennej całej scenarii świata przedstawionego jest tu symbolem tego, co naturalnie dobre i szczęśliwe. Jego ubywanie powoduje smutek serca. I to aż do łez. Ale lzy w metafizyczno-kosmicznej aurze to spadające im do stóp gwiazdy. Kosmiczne istoty zrodzone z przeobrażonych w abstrakty istot ziemskich (zwierząt) wyrażają swój smutek „na łakach niebieskich”, wydając zwierzęcy nostalgiczny głos w puste przestrzenie wszechświata. Czują się pozbawione wolności, więc i nadziei (strofa trzecia). Smucą się także pojedyncze gwiazdy i jakby usychają z żalu („W gwiazd korzeniach coraz to mniej wody”). Czwarta strofa przynosi upersonifikowane niebo, które jak zagubiony ptak w nieznanym sobie przestrzeni kołuje „nad próżniami” i szuka ukojenia w śnie. Jednakże błogi sen przynosi gwałtowną katastrofę – „jasny piorun, co w poprzek je rozpruł”. Teraz już nic nie powstrzyma tragicznego biegu rzeczy. Rozprute piorunem niebo rozplynie się w bezforemności swego żalu i słuchać będzie oddalającego się w nieskończoność płaczu zodiakalnych zwierząt. Właśnie te smutne zwierzęta zodiakalne, biorąc swe imiona od zwierząt ziemskich, żyjących z ludźmi lub obok nich, wskazują na duchowy i mistyczny związek łączący ziemską, ludzką część świata z jego częścią niebieską w jedności wspólnego istnienia we wszechprzenikającym go cierpieniu.

Tak szeroko rozumiane cierpienie nasuwa mi na myśl raczej buddyjską niż chrześcijańską koncepcję losu wszelkiego stworzenia.

Może. Ja się przecież nad tym nie zastanawiałem, gdy pisałem wiersz. U podstaw aktu twórczego stanęła wizja, za którą podążała poetycka myśl i pióro.

Obraz cierpiących ciał niebieskich, konkretnie – gwiazd oczekujących na zbawienie, pojawił się też w późniejszym od tego wierszu *Do zmarłego przyjaciela*. Przypomnę: „Ty – wielki swoją śmiercią – spraw, by ktoś te gwiazdy zbawił”.

Istotnie. Nawet na to nie zwróciłem uwagi. Świadczy to może o tym, że w nieświadomości poety drzemią nie tylko uniwersalne archetypy gatunkowe, ogólnoludzkie, ale i całkiem prywatne. Choć może te prywatne nie do końca są prywatne. Ale to są problemy dla psychologów głębi, nie dla nas.

Kazimierz Świągocki

Jerzy Binkowski

W nieziemskiej, wierszotwórczej Islandii

Pisze się o twórczości kogoś, kogo się kocha. Zakochanie to wynika z zadziwienia, jak bardzo jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni, ponieważ dzięki drugiemu człowiekowi można odkryć, że są obszary rzeczywistości INNE niż nam wydawały się dotychczas ważne.

14.05.2017 r. Krystyna Konecka pisała do mnie: „23 kwietnia 2017 r. przypadała 115 rocznica urodzin Halldóra Laxnessa – w dniu urodzin Szekspira, w dniu imienin Jerzego. Halldór Laxness jest jedynym islandzkim pisarzem – noblistą. W jego domu widziałam pod szkłem błogosławieństwo św. Jana Pawła II z okazji... 90. rocznicy urodzin. Napisałam o tym w reportażu w e-Dwutygodniku www.Pisarze.pl. Piszę trochę sonetów do islandzkiego tomiku o tej magicznej wyspie”.

Mija kolejnych kilka miesięcy i czytam: Muzeum Podlaskie w Białymstoku zaprasza na spotkanie z Krystyną Konecką i promocję jej najnowszej książki „Ultima Thule. Głosy Islandii”. Wydawnictwo jest zbiorem 23 sonetów oraz fotografii. To pierwszy w Polsce tom poezji z fotografiami autorskimi w całości poświęcony Islandii – jej tradycjom, urodzie i kulturze. Książka była już prezentowana m.in. w Ambasadzie Republiki Islandii w Londynie. Tego samego dnia znajomy, miłośnik współczesnej poezji, tak pisał: „Cieszę się, że mogłem być obecny na Pani wieczorze autorskim! Serdecznie gratuluję pięknej i literacko wspaniałej książki. Pani opowieść o Islandii to kuszenie do wędrówki po świecie zapomnianym przez Boga, ale takim, który samego Boga objawia...”.

Krystyna Konecka nieustannie, od lat wierna samej sobie, z zaangażowaniem przymierza słowo do rzeczywistości. Ileż reportaży napisanych, ileż tomów sonetów wydanych. Sprawdza sens i moc słowa bez wytchnienia. Miarkuje. W końcu wybrała się na koniec świata. Ultima Thule – tak zwano w średniowieczu północną krainę wyznaczającą kraniec znanego świata. Książka jest podróżą poetki, która chodzi po pełnej dramatycznej i lirycznej (jednocześnie) ziemi. Jest w książce prawda miłości trudnej, dlatego szczęśliwej. Nieme skały krzyczą skrywaną od tysiącleci mocą. Gejzery tętnią gorącym pulsem. Wokół pełno wulkanicznego piasku i ogrom kielkującej nadziei, że los Islandii i świadków losu Islandii – Islandczyków, jest w rękach Tajemnicy Bytu. Nie „nie-bytu”.

TAM

*Z zapomnianych na moment wygod kontynentu.
Z pejzaży rozkwieconych i wysokich lasów
– magicznej zawierzając mocy – za zakrętem
Losu wpadam w islandzkie odwrócenie czasu.*

*To oszalałabiające skalnych form szaleństwo
zawsząd. Od horyzontu iskrzący lodowiec.
Skrajem lawy ostrzega przed niebezpieczeństwem
znak zakazu pędzenia baranów i owiec*

*szutrową autostradą. Ale my – dwunożne –
w samochodzie wytrwałym z napędem na cztery
koła ryzykujemy. Byle dotknąć groźnej*

*przestrzeni wzrokiem. Byle wspiąć się do krateru.
Niech płonie wrzącą sagą tamtych epok niemych.
Niech rozpala pragnienia ogniem. Nim zgaśniemy...*

W kunsztowności kompozycji stroficznej potrafi Krystyna Konecka zmieścić spora dawkę żartu wywiedzonego z konkretnego – znaku zakazu pędzenia baranów i owiec. Autorka wplata w muzykę sonetu nazwy przedmiotów i miejscowości, nazwiska autochtonów: wielkich pisarzy i rzetelnych wyrobników słowa.

Każde chropawe, twarde a śpiewne i niezrozumiałe słowo, jest stemplem wiarygodności poetki, która tropi ślady kultury przedziwnie surowej i jakby kryminalnej. Sąd Najwyższy jest Sądem Niesprawiedliwości. A jednak, a jednak zapach suszonych rybich głów potwierdza i nadzieję i miłość – sonet *Suszarnia rybich głów*.

Barwy, którymi nasączyła wiersze i fotografie Krystyna Konecka, wspierają pamięć własną autorki i powodują serdeczny uśmiech – Islandia w tych sonetach staje się symbolem trudu życia i myślenia każdego człowieka w każdym zakątku wszechświata. Zachwycam się zachwytem odczuwanego dramatu ziemi.

LIS

*Trasa ledwie znaczone, kapryśna i wiotka
pięła się lub spadała niosąc zakosami
auto do Krysuviku, gdzie wulkany błotne
i solfatary wabią przybyszów barwami*

*w geotermalnym polu Seltun... Ale drogę
co w tym kraju zwyczajne, kałuża bezdenna
zagrada. Więc jedziemy w wygaszony ogień;
Katlhakraun – pole lawy. Księżycowe. Senne.*

*Nagle w tej spopielalej, bez życia przestrzeni
śmignął Lis. Od Małego Księcia? Czy arktyczny?
Dał się schwytać migawce i znikł wśród kamieni.*

*Był po coś. Ciemnorudy. Nie iluzoryczny.
Zapewne by pamiętać w tej pustyni skalnej,
że najważniejsze nie jest dla oczu widzialne.*

Krystyna Konecka jest z pochodzenia wilnianką. Czasami odnoszę wrażenie, że jest „chora” na wielokulturowość, a związek pragmatyczno-serdeczny z córką Ewą Sherman – wierną towarzyszką podróży i tłumaczką sonetów na język angielski – jest dziwem i cudem „psychologii współczesnej”. Dwujęzyczna edycja, która ukazała się nakładem Wydawnictwa BUK w Białymstoku, ze wszech miar zasługuje na uwagę.

Jestem pod wrażeniem talentu Krystyny Koneckiej, jej warsztatu poetyckiego, pracowitości, odwagi oraz... prawości serca.

Jerzy Binkowski

Krystyna Konecka
Ultima Thule – Głosy Islandii
Przekład na ang. Ewa Sherman
Foto Krystyna Konecka
Wydawnictwo BUK, Białystok 2017, ss. 60.



Jerzy Binkowski

Las jest twoim żywiołem?

Jestem człowiekiem betonu – z ulicy Władysława IV i 10 lutego w Gdyni. Kiedyś marzyłem, aby wybrukowano na Obłężu piaszczystą ulicę Tokarską wiodącą do kościoła, czy ulicę Cechową, prowadzącą do szkoły.

Ciszy nad morzem nie ma – mewy, jak stare jędze obrzydliwie skrzeczą nad falami, polując na ryby nieme.

Teraz mieszkam na skraju Puszczy Knyszyńskiej. Odwracam się do niej plecami. Bywa wilgotna, obślizgła i śmierdząca. Gdy deszcze rozpulchniają leśne dukty, ja znajduję argumenty, aby w puszcze się nie puszczać, a ty łazisz, wałęsas się, wachasz, dotykasz kory, obejmujesz pnie, przytulasz się do drzew. Znasz Puszcze Knyszyńską lepiej niż ja. Wpuściłeś ją głęboko w siebie. Puszcza zawładnęła tobą.

Jesteś mi potrzebny, Poeto, abym mógł choć trochę zaczerpnąć z twojego serca na temat bożego świata skrywającego się w liściach i pieśniach wiatru. Pojawiło się we mnie zadziwienie. Jaki ma sens przedkładanie szumu osiki czy brzozy nad miłość mężczyzny do Kobiety? Pytam zaniepokojony, gdyż odnoszę wrażenie, że twoje wsłuchiwanie się w puls serca sosny cudownie w niebo sięgającej i prostej jak maszt, jest dla Ciebie przeżyciem bardziej wstrząsającym, niż zachwyt w oczach pięknej i mądrej Kobiety.

Las zapewnia Ci szeroką gamę drgnień i drzeń, a Ty jesteś jak poranna wiolonczeła – Ty chcesz pomrukiwać jak pszczoła i bas rozdzielasz światu, jak szerszeń.

Ty jesteś poezją leśną, prawda?

Z wąwozów parowów z puszczańskich rozpadlin z tego co bez czasu z tego co czas nagli więc z kamieni spod nich z samego ich środka z kosmosu wodnych drobin z ich wzajemnych spotkań z wilgoci co na plażie mrużącym pod liściem z oddechu leśnej myszy która ani piśnie z mroku nocy z burzy z poranka z wieczoru z olsów z łęgów z puszczy z mieszanego boru z bagna torfowiska i leśnego oczka z menisku nartnika w jeziornych zatoczkach z mrówczych tras lęku saren z lotu nietoperza z zimy która kurczy co lato rozszerza z przedmrozu przedburzy przedranka przednocy z dziupli co raz ziewa raz woła pomocy z miękkości przelotów motyli i ptaków z mrówek co zdyszana stanęła na szlaku...

I jeszcze z puszczyka co się z echem psoci z lasu z łąki z tchnienia i z kwiatu paproci...

Powłóczyście bezdźwięcznie bez jawy i tła snuje się ścieli kłębi i tumani – mgła...

Nie udaje mi się wykombinować klucza wiolinowego – skąd ta obezwładniająca naturalnością – muzyka, poeto, Januszu Andrzejczak?

Jest tajemnica w Tobie i ja krążę obok Ciebie od kilku lat zawstydzony Twoją prostotą. To słowo szlachetne, jak Ty, w trudzie codziennego zabiegania o swoje miejsce w, powiedzmy szczerze, wrogiej Tobie cywilizacji. Świat dookoła jest pełen rozdygotanych i rozgadanych ludzi. U wielu osób spostrzegasz niemalą cechę mówienia, które jest szybsze od myślenia. Wtedy ja Ciebie wspieram, gdy sugeruję współczucie: „Mam nadzieję, że oni dowiedzą się, co myślą, gdy usłyszą, co mówią”.

Czy Ty wiesz, że zachwycam się tytułami Twoich wcześniejszych książek? Wprowadziłeś w rytm mego ożywionego oddechu słowa: ŁAGODNIA, ULOTNIA, PRZEDZIWNIA. A najnowszą książkę zatytułowałeś: *Powłóczyństwo – drogami, bezdrożami Podlasia*. W zachwyceniu idziesz, tęsknisz, szukasz na bezdrożach puszczy – augustowskiej, białowieskiej, knyszyńskiej. Czego szukasz?

Jedność

*Dotrę tam ucałuję i obejmę brzozę jej cieniem się przykryję i pod się położę
Pod głowę mieć będę poduszkę z kamienia głaz da mi oparcie a brzoza da
cienia*

*Powietrza trochę zmączę no i trochę ciszę gdy pode mną wysypią się nasiona
szyszek
umoszczę się w podszycie i wtopię się w leże pośród mrówek i żuków jeszcze
jedno zwierzę*

*będę patrzeć do góry gdzie słońce obłoki słuch wysłę na czaty niech bystrzy
na boki*

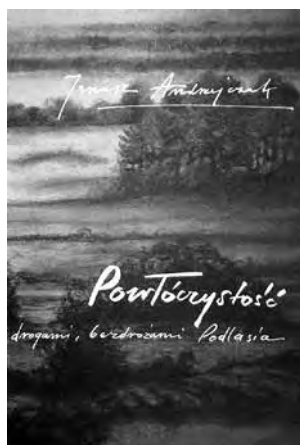
*albowiem nikt kto ze mnie a więc żaden z ludzi nie ma prawa mnie z jawy
zielonej wybudzić
gdy minie czasu troszkę gdy się w nic napatrzyć może to co przenigdy będzie
teraz zawsze*

*cudna jedność gdziekolwiek i za każdym razem z ziemią niebem i drzewem
ze sobą i głazem*

Czegokolwiek potrzebujesz, przecież masz to w sobie. Najcenniejsze, najpiękniejsze, co rozpoznają, to Twoja intuicja o jedności świata stworzonego Wielką Tajemnicą Miłości Boga, której poszukujesz na bezdrożach Podlasia.

NIC JAK BÓG – pisał SJ Jacek Bolewski.

Jerzy Binkowski



Janusz Andrzejczak

Powłóczystość – drogami, bezdrożami Podlasia

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego

Białystok 2017, ss. 82.

Jerzy Binkowski

„Czego chcą od nas biedni Niemcy”

Ewa Polak-Pańkiewicz

Moim Rodakom, którzy walczą o Polskę piękną, mądrą i sprawiedliwą, na miarę Rzeczypospolitej naszych przodków – w stulecie odzyskania Niepodległości.

Tak Ewa Polak-Pańkiewicz, polska pisarka katolicka, rozpoczyna swoją nową książkę pod tytułem „Czego chcą od nas biedni Niemcy”, starannie wydaną przez Oficynę Wydawniczą Volumen (s. 502). Rzec jest owocem pracy polegającej na wnikliwym zdobywaniu ogromnej ilości ważnych wiadomości, prawd i faktów, do których nawiązuje, i które przytacza autorka, wykorzystując bogate źródła faktograficzne i bibliograficzne. Precyzja myślenia, bogactwo argumentacji oraz wielość wątków fascynuje, oszołamia i zachwyca.

Postanowiłem omówić w częściach tę pięćsetstronicową, dającą do myślenia propozycję. W pierwszym i drugim rozdziale Ewa Polak-Pańkiewicz diagnozuje podstawową cechę różniącą Polaków od swych sąsiadów – Niemców. Zdaje się mówić: Jeżeli jest coś szczególnie polskiego w Polsce, to jest nią wiara w sens życia i śmierci, na podobieństwo Jezusa Chrystusa.

Polacy ryzykowali własne życie, ratując Żydów, nie dlatego że kochali Żydów, ale dlatego że przyjmowali zasadę nauczania Jezusa – kochaj bliźniego swego, jak siebie samego. Później, w 1966 roku – tysiąc lat po chrzcie Polski, polscy biskupi wyciągnęli katolicką rękę do biskupów Kościoła w Niemczech, gdyż byli głęboko przejęci ideą Jezusa – miłość i wybaczenie ponad nienawiść i zbrodnię.

Specyficznym ciężarem, jaki dźwigają Niemcy, jest stary odór Lutra – zbrodniarza, który oczyszczał się z win osobistego grzechu przekonaniem, że to sam Bóg stworzył go nienasyconym buntownikiem. Uwierzył, że ma prawo realizować własne cele, stosując terror i zbrodnię. Dlatego biedni są współcześni Niemcy, którzy próbując się zmieścić w świecie „poprawności politycznej”, nie są w stanie przyjąć na siebie odpowiedzialności za zbrodniczą przeszłość. To Niemcy zgotowali hekatombę morderczej wojny sąsiadom ze wschodu. Psychologiczny mechanizm obronny – wyparcie – demaskuje słabość duchową tego narodu.

Niemcy, sprawni organizacyjnie i technologicznie, w kwestiach odpowiedzialności moralnej są jak psychopaci. Nie przyjmują odpowiedzialności za czyny niegodne człowieka. Biedni są, gdyż nie dostrzegają śmiertelnego grzechu i własnej winy. Trudno się dziwić, gdyż zło, jakie wyrządzili światu, jest po ludzku porażające i przerażające. Niemcy jakby byli uosobieniem szatana. Ich lucyferyczna „doskonałość” precyzowana od czasu Marcina Lutra przez wieki, osiągnęła taki stopień perfekcji, że bez wiary Polaków znacznie łatwiej byłoby doprowadzić europejski świat do etapu bezwzględnej beznadziei.

Więc czego chcą od nas – Polaków – biedni Niemcy? Żebyśmy im nie przypominali zbrodniczej zachłanności, pychy, cynizmu, bezwzględności. Niemcy są inteligentni i niepokoją się sąsiedztwem narodu, który do inteligencji dodaje duchowość katolika – człowieka, który porządkuje swój świat poprzez stałą hierarchię ważności: Panem jest Bóg i dlatego miłość jest naszym modelem życia. Naszą pracowitą inteligencję uczuciową błogosławi Maryja, objawiająca się w Gietrzwałdzie i w Fatimie. Jezus Chrystus jest naszym Panem. Królem naszym jest Jezus Chrystus. Tego biedni Niemcy nie są w stanie zrozumieć.

Ewa Polak-Palkiewicz w drugim rozdziale przypomina katolicką pisarkę, inicjatorkę *Żegoty*, Zofię Kossak, która „(...) w latach okupacji wykazywała się niebywałą energią i pomysłowością w organizowaniu pomocy Żydom: ukrywała ich w swoim mieszkaniu, wyszukiwała bezpieczne schronienia, przerzucała do klasztorów, wyrabiała fałszywe papiery, zapewniała wyżywienie, okrywała, ubierała. Wciągała w te działania setki ludzi”. Aresztowali ją Niemcy w 1943 roku. Trafiła na Pawiak, potem do Auschwitz-Birkenau. Oto fragment opisu doświadczeń:

(...) Młodziutki ks. Poeplau z diecezji pomorskiej, nie zważając na razy, wychodził w czasie apelu z szeregu, by pochylić się nad konającym towarzyszem, udzielić mu absolucji. Oprawcy odpychali go i tłukli, nie mogli jednak przeszkodzić wypowiedzeniu sakramentalnych słów: „Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum...” – spływających na umierającego smugą przebaczenia (...) I najmniej wrażliwi nawet czuli powagę rozgrywanej się sceny. Ksiądz i moribundus zdawali się usuwać w sferę wieczności, gdzie złość i przemoc ludzka nie sięgają (...) Naprzeciw brutalnej przemocy stawała moc wyższa, niedająca okiełznać się, ani zahamować. Oprawcy mogli księdza i penitenta zabić, ale nie mogli jednak sparaliżować tajemniczego skutku słów: Indulgentiam... (...) łatwo zrozumieć, skąd wypływała nienawiść żywiona przez katów do wszystkiego, co tchnęło Bogiem, albo służbą

Bożą (...) Ulubioną rozrywką Esesów jest przymuszanie księży do śpiewania bluźnierczych, pornograficznych piosenek. Niejednokrotnie, by zachować życie dla ważniejszych potrzeb, księża udawali, że wykonują ten rozkaz, mrużąc coś niewyraźnie lub podkładając pod melodię inne słowa (...) Ksiądz Poeplau odmówił śpiewu: „Jestem księdzem i podobnych słów nie wypowiem”. Niewykonanie rozkazu w obozie nie może mieć innej konsekwencji niż śmierć. W obecności wszystkich zaczęła się egzekucja. Kilku rośliwych, silnych drabów było zagłodzonego chudzińca. Na tle ich tęgich postaci jakże się zdawał słaby i bezbronny! Jednak z nieugiętą mocą powtarzał: „Śpiewać nie będę”. A oni nalegali. Chcieli nie tylko go zabić, ale przed śmiercią załamać. Bili bykowcami, pałkami gumowymi, kopali podkutymi obcasami. Uczynili z jego ciała jedną ranę, połamali żebra, odbili wnętrzności. Po każdej nawałnicy uderzeń stawiali go pod ścianą i podpierając bezwładny strzęp ciała drągiem, krzyśleli: „Śpiewaj!” – Nie mógł już mówić i trząsł tylko głową przecząco. Tak zginął.

Mijają siedemdziesiąt trzy lata od wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau. Korygowanie dowodów zbrodni poprzez upowszechnienie fałszywki słowem „nazizm” nie zmieni konieczności przebycia przez Niemców pokornej drogi ze „stacjami”: wyznanie grzechów (godnościowe przyznanie się do winy), żal za grzechy, mocne postanowienie poprawy i zadośćuczynienie (a nie gra dyplomatyczna) – taki sens odnajduję w dwóch rozdziałach książki Ewy Polak-Palkiewicz zatytułowanej: Czego chcą od nas biedni Niemcy. Jak to – biedni? To najbogatsi, najbardziej komfortowo żyjący ludzie Europy!

Na tle tych najbogatszych Europejczyków Ewa Polak-Palkiewicz w następnych rozdziałach swojej książki prezentuje Europejczyków najszcześliwszych i wymienia ich z imienia:

Ignacy Skorupka, Andrzej Bobola, Jan Sobieski, Maksymilian Kolbe, Karol Wojtyła, Józef Piłsudski, Adam Mickiewicz, Jerzy Lewandowicz, Jarosław Kaczyński, Janina z Puttkamerów Żółtowska, Zofia z Czartoryskich Zamoyska, Szymon Konarski, Eustachy Sapieha, Stanisław Kostka-Zamoyski, Konstanty M. Górski, Wanda z Orzechowskich Karśnicka, Anna z Działyńskich Potocka, Walerian Meysztowicz, Paweł Włodkowic, Jan Kazimierz, Henryk Sienkiewicz, Antoni Macierewicz, Józef Chełmoński, Adam Chmielowski, Ludwik Mycielski, Bogusław Paleczny, Maria Okońska, Wanda Bonaszewska, Adam Asnyk, Jerzy Popiełuszko, Andrzej Duda i Agata Duda, Weronika Sebastianowicz (z d. Oleszkiewicz), Witold Pilecki, Kazimierz Jagiellończyk, Rozalia Celakówna, Mieszko I... i wielu, wielu, którzy niosąc przez historię naszą ojczyznę, zadziwiali mocą swej wierności Bogu w Trójcy Jedynemu.

Oficina Wydawnicza Volumen proponuje nam refleksje o świecie uporządkowanym. Twórcą tego porządku świata nie jest Ewa Polak-Pańkiewicz, pisarka zafascynowana odradzającą się katolicką Polską. Pośród dramatu rozdygotanego świata, świata rozdzieranego konwulsjami pragnień o raju na ziemi dla ludzi „wolnych” od kryteriów dekalogu, Ewa Polak-Pańkiewicz odczytuje znaki słane przez Boga w historii świata. Autorka przypomina cudowne objawienia Maryi m.in. w Guadalupe, Fatimie, i łączy zdarzenia oddzielone setkami lat i tysiącami kilometrów. Czyta się jej interpretacje zdarzeń z szeroko otwartymi oczyma. Czyta się wiązania faktów i myśli z niedowierzaniem i wewnętrznym „przydechem”. Szczególnym odkryciem było dla mnie dostrzeżenie konkwisty Hiszpanów w Ameryce Południowej, jako zdarzenia wyzwającego Azteków z potwornie krwawych rytuałów zakorzenionych w ich obyczajach. Nawracanie nie stało się zbrodniczym procederem najeźdźców hiszpańskich. Okazało się wyzwoleniem od krwawych ofiar z ludzi, składanych bogom szamańskiej tradycji. Postać Chrystusa Miłującego przebudowała błyskawicznie duchowość andyjskich Indian. Wsparła Indian swoją macierzyńską miłością Matka Boska w Guadalupe.

Jednak największe natężenie emocji czytelnik przeżywa wraz z autorką wtedy, gdy pisze ona o Polakach, o katolickiej Rzeczypospolitej. Każda strona książki nasycona jest miłością do osób w historii Polski, którzy swoim życiem zaświadczyli lub świadczą, że wiara w Boga Wszechmogącego i wierność Kościołowi jest tym sposobem życia, dla którego samo życie warto poświęcić. Najważniejsze jest zbawienie, a życie doczesne – drogą. Trudy życia oraz męczeństwo są błogosławieństwem dla męczennika i dla społeczności katolickiej.

Ileż historii, ileż wzruszających epizodów i wspomnień zmieściła autorka w swej książce, która miejscami jest pouczeniem, mądrą katechezą, napomnieniem, mobilizacją (np. nikt dotąd nie wzbogacił mnie piękną, bo honorową charakterystyką Polaków przebywających w XIX-wiecznej Francji; do niedawna w Masywie Centralnym pamiętano, że o Polakach przybywających z terenów utraconej w zaborach ojczyzny mówiło się: „Co Polak, to hrabia”, spostrzegając elegancję, czystość, dystynkcję).

Umieściłem na początku nazwiska osób szczególnie bliskich autorce, które mogłyby stać się dla nas wzorem, przykładem, które moglibyśmy otaczać głęboką czcią i wdzięcznością. Jakże odmienne biografie, jakież trudy życia i jakże często męczeństwo. Dla Chrystusa, dla Maryi, gdyż jedynym władcą jest Stwórca – Bóg. Jemu chcemy być poddani. Tylko Jemu

i władzy, która od Boga pochodzi. Autorka naigrywa się z anachronicznego postoświeceniowego hasła o „neutralności” państwa.

Przygotowując się do lektury, warto zajrzeć do przeglądarki w komputerze. Ewa Polak-Pańkiewicz z szacunkiem pisze o osobach, które w aktualnych władzach tzw. dobrej zmiany realizują szczególnie ważne zadania. Kłania się Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej Andrzejowi Dudzie i jego małżonce Agacie Kornhauser-Dudzie. Zachwycona jest (wyjaśnia przyczyny swego zachwytu) osobami Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza. Finał książki poświęcony jest mądrej dalekowzroczności księcia Mieszka I, który nawracając się poprzez Chrztę Świętą, ofiarował Bogu i Kościołowi siebie i swoich poddanych.

Gdy wpatrywałam się w obraz Elżbiety Hałasy „Portret Magdy Żuk” na okładce (wewnątrz tekstu jest jeszcze 15 zdjęć pięknych, bo klasycznych obrazów olejnych tej artystki), który wprowadza czytelnika w nową pozycję Oficyny Wydawniczej Volumen, szukałam sensu umieszczenia właśnie obrazu delikatnej dziewczynki, jakby zapatrzonej w przyszłość, wyprostowanej, z kasztanowymi włosami, z szeroko otwartymi niebieskimi oczyma, karminowymi ustami, smukłą szyją, którą otacza żabocik w barwie różowo-białej (a może czerwono-białej)? Wtedy zrozumiałam:

Polska jest moją córką! Polska jest naszą córką! Jesteśmy dorośli. Wychowujemy Polskę dla przyszłości. Opiekujemy się Polską. Pragniemy, aby w niej zostało coś z naszej krwi, z naszego profilu, naszego honoru i dalekowzroczności, z naszej pracy, naszych modlitw i tęsknot, z naszej wdzięcznej pamięci i naszej miłości. Gdy kochamy, osobę kochaną poświęcamy Bogu i modlimy się z nadzieją, że Bóg Polsce błogosławi.

Jerzy Binkowski



Ewa Polak-Pańkiewicz
Czego chcą od nas biedni Niemcy. Eseje
 Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2018
 Ss. 504
 ISBN 978-83-64708-34-3

Adam Lizakowski**Langston Hughes:****Być murzynem bez strachu i wstydu**

Langston Hughes, pełne nazwisko James Mercer Langston Hughes (ur. 1 lutego 1902 r. w Joplin, Missouri, USA), amerykański pisarz, który był ważną postacią w ruchu artystycznym zwanym Harlem Renaissance. Zmarł 22 maja 1967 r. w Nowym Jorku, na skutek powikłań związanych z rakiem gruczołu krokowego. Miejsu jego zamieszkania na 20 East 127th Street w Harlemie nadano status landmarku. Tak miasto Nowy York uhonorowało swojego poetę, a komisja New York City Preservation Commission przemianowała Wschodnią 127 Ulicę (East 127th Street) na Langston Hughes Place.

Jego życie i twórczość były niezwykle ważne w kształtowaniu artystycznym grupy Renesans Harlem w latach dwudziestych. W przeciwieństwie do innych znanych czarnych poetów tego okresu – Claude McKay, Jean Toomer i Countee Cullen – Hughes odmówił rozróżnienia między swoim osobistym doświadczeniem a powszechnym doświadczeniem czarnej Ameryki. Twierdził, że ja i moja murzyńskość to jedno i to samo.

Krytyk, Donald B. Gibson, zauważył we wstępie do *Modern Black Poets: Zbiór esejów* (Prentice Hall, 1973), że Hughes „różni się od większości swoich poprzedników pośród czarnych poetów... tym, że skierował swoją poezję do wszystkich, w szczególności do Murzynów. W latach dwudziestych, kiedy większość amerykańskich poetów kierowała twórczość do wewnątrz swej społeczności, pisząc niejasną i ezoteryczną poezję dla coraz mniejszej publiczności czytelników. Hughes zwracał się na zewnątrz, używając języka i tematów, postaw i idei znanych każdemu, kto po prostu potrafił czytać. Twórczość swoją oparł na doświadczeniach Afroamerykanów, którzy byli jego inspiracją. Był wszechstronnym pisarzem, od poezji i dramatów do powieści i dziennikarstwa. Przez wiele lat pisał felietony do gazet.

Dzieciństwo

Rodzice Hughesa rozstali się wkrótce po jego urodzeniu, a wychowała go matka i babka. Po śmierci babki wraz matką szukali swojego miejsca

na ziemi, zanim dotarli do Cleveland, stan Ohio, gdzie się osiedlili. Tam Langston napisał wiersz pt. *The Negro Speaks of Rivers* zaraz po ukończeniu liceum w Cleveland; został on opublikowany w magazynie „The Crisis” w 1921 roku i przyniósł mu znaczną popularność. Po rezygnacji ze studiów na Columbia University w Nowym Jorku w latach 1921-1922 osiadł w dzielnicy murzyńskiej Harlem, do której na trwałe się przywiązał nazywając ją „wielkim mrocznym miastem”. Pracował jako steward na frachtowcu pływającym do Afryki. W 1924 roku powrócił do Nowego Jorku zrezygnował z pływania na statkach i pobytu w Europie. W tym samym roku spotkał się z pisarzami Arną Bontemps i Carlem Van Vechtenem, który miał duży wpływ na jego życie i się z nim zaprzyjaźnił. W 1925 roku zdobył nagrodę poezji magazynu „Opportunity”. W tym samym roku Van Vechten przedstawił poezję Hughesa wydawcy Alfredowi A. Knopfowi, a ten opublikował ją w tomie pt. *The Weary Blues* w 1926 r.

Debiut ogólnokrajowy

Pracując jako boy hotelowy w stolicy, Waszyngtonie, pod koniec 1925 roku, Hughes umieścił trzy swoje wiersze obok talerza Vachel Lindsay w jadłodni. Następnego dnia gazety w całym kraju doniosły, że Lindsay, jeden z najpopularniejszych białych poetów Ameryki „odkrył” murzyńskiego poetę. Hughes otrzymał stypendium i rozpoczął naukę na Uniwersytecie Lincolna w Pensylwanii na początku 1926 r. W tym samym roku otrzymał nagrodę poetycką Wittera Bynnera, a także opublikował w „The Nation” manifest *The Negro Artist and the Rally Mountain*. W nim to dowodził unikalności Afroamerykanów i ich literatury. Deklarował chęć opowiadania o swoich ludziach w sposób odzwierciedlający ich rzeczywistą kulturę, w tym zarówno ich cierpienie, jak i miłość do muzyki, śmiechu i samego języka.

Oto fragment manifestu:

My, młodszy czarni artyści, którzy teraz tworzymy, zamierzamy wyrazić naszą indywidualną ciemnoskórą tożsamość bez strachu i wstydu. Jeśli biali ludzie są zadowoleni, cieszymy się. Jeśli nie, to nie ma znaczenia. Wiemy, że jesteśmy piękni. I brzydki też. Tram – tam – tam krzyczy, a tram – tam – tam śmieje się. Jeśli kolorowi ludzie są zadowoleni, cieszymy się. Jeśli nie, ich niezadowolenie również nie ma dla nas znaczenia.

Przed ukończeniem studiów (1929), Hughes uczestniczył w 1926 w założeniu wpływowego czasopisma „Fire!!”. W 1927 opublikował drugi zbiór poezji *Fine Clothes to the Jew*, który został przez niektórych skrytykowany za tytuł (‘Piękne ubrania dla Żydów’) i bezpośrednio, choć sam Hughes uważał, że jest to kolejny krok w jego twórczości.

Kilka miesięcy po studiach Hughes wydał pierwszy tom prozy pt. *Not Without Laughter* (1930), który został życzliwie przyjęty. W latach trzydziestych silniej skierował swoją poezję na sprawiedliwość rasową i radykalizm polityczny. Podróżował po Ameryce Południowej (1931). Potępił sprawę Scottsboro (patrz: przypisy). Dużo podróżował po Związku Radzieckim, Haiti, Japonii i gdzie indziej, i służył jako korespondent prasowy (1937) podczas hiszpańskiej wojny domowej. Opublikował zbiór opowiadań *The Ways of White Folks* (1934) i głęboko zaangażował się w teatr. Jego sztuka *Mulatto*, adaptacja z jednego z jego opowiadań, miała swoją premierę na Broadwayu w 1935 roku, a pod koniec lat trzydziestych pojawiły się produkcje kilku innych sztuk. Założył także zespoły teatralne w Harlemie (1937) i Los Angeles (1939). W 1940 roku Hughes opublikował *The Big Sea*, swoją autobiografię do 28 roku życia. Drugi tom autobiografii, *I Wonder As I Wander*, został opublikowany w 1956 roku.

Hughes dokumentował literaturę i kulturę Afroamerykanów w pracach takich jak *A Pictorial History of the Negro in America* (1956) i antologiach *The Poetry of the Negro* (1949) oraz *The Book of Negro Folklore* (1958, z Bontemps). Kontynuował pisanie licznych utworów na scenę, w tym tekstów do *Street Scene*, opery z muzyką Kurta Weilla, która miała swoją premierę w 1947 roku. *Black Nativity* (1961, film 2013) to sztuka gospelowa, która wykorzystuje poezję Hughesa, wraz z zasadami gospel i fragmentami z Pisma Świętego, aby opowiedzieć historię narodzin Jezusa. Był to międzynarodowy sukces, a spektakle, często bardzo różniące się od oryginału, stały się tradycją świąteczną w wielu czarnych kościołach i centrach kulturalnych. Pisał poezję aż do śmierci. Odzwierciedlała jego zaangażowanie w ruch Siła Czarnych, a konkretnie w Partię Czarnych Panter, która została założona w uprzednim roku. Pośmiertnie w 1967 r. opublikowano wiersz *The Panther and the Lash* (‘Pantera i Bicz’).

Tłumacz, komediopisarz i felietonista

Hughes tłumaczył także poezję Federica Garcíi Lorki i Gabrieli Mistral. Wielokrotnie podkreślał, że jego głównymi inspiratorami są Paul Lawrence

Dunbar, Carl Sandburg i Walt Whitman. Znany jest przede wszystkim z wnikliwych barwnych wizerunków czarnego życia w Ameryce od lat dwudziestych do sześćdziesiątych. Był powszechnie znany jako twórca przezabawnego komicznego Jesse B. Semple, zwanego w skrócie Simple, bohatera felietonów zamieszczanych w „Chicago Defender” i „New York Post”, które z czasem zostały wydane w formie książkowej i zaadaptowane na scenę. Wiersze zebrane Langstona Hughesa, wydane przez Arnolda Rampersada i Davida Roessela ukazały się w 1994 r. Niektóre jego polityczne poglądy zostały zebrane jako *Listy od Langstona: Od renesansu Harlemu po Red Scare i Beyond* (Czerwony strach i więcej) i wydane w roku 2016, czyli pół wieku od śmierci poety. Langston Hughes pozostaje jednym z najwybitniejszych poetów Ameryki, a jego twórczość od dawna jest wykładana od szkoły podstawowej po uniwersytety. Hughes tworzył w czasach wielkich innowacji i kreatywności w społeczności Czarnych, ale także w czasie wielkich przemian społeczno-politycznych w Ameryce. Hughes pisał wiele o doświadczeniu amerykańskiego czarnego mężczyzny i kobiety, szczególnie o tym, co oznaczało mieć osobiste sny w połączeniu z pragnieniem równości i wolności.

Let America be America Again

Langston Hughes rozpoczyna wiersz bardzo mocno, że Ameryka nie jest snem, jakim była dawniej. Zasadniczo Hughes mówi: *Let America be America again*, (‘Niech Ameryka znów będzie Ameryką’), „ponieważ nie jest tą Ameryką, za którą się podaje”. Piąta linijka *America never was America to me* (‘Ameryka nigdy nie była dla mnie Ameryką’) stanowczo wyraża uczucia Hughesa i prawdopodobnie wielu innych; wartości, na których opiera się kraj wolności: wolność i sprawiedliwość dla wszystkich – tak naprawdę, powiada, nie istnieje.

Poeta mówi o Ameryce, jaka powinna być, o miejscu *gdzie nigdy królowie ani tyrani nie władali*, miejscu, w którym ideały patriotyzmu są nie tylko słowami, ale prawdą dla każdego, kto tu mieszka. Hughes nawiązuje do Statuy Wolności, która jest symbolem wolności, i mówi, że wie, że ona do kraju, w którym wolność nie jest tylko symbolem, ale rzeczywistością.

Hughes powtarza refren *Ameryka nigdy nie była dla mnie Ameryką*, aby pokazać, że jest tym krajem zawiedziony. Poeta przemawia do wszystkich: do imigrantów, rdzennych Amerykanów, ubogich i czarnych, uosabia losy rolnika, robotnika oraz mężczyzn i kobiet, którzy przybyli do Ameryki

z nadzieją na coś większego. Używając frazy *I am* ('jestem') naśladuje swojego wielkiego mistrza Walta Whitmana.

Langston Hughes

Niech Ameryka znowu będzie Ameryką

Niech Ameryka znowu będzie Ameryką
Niech marzenie pozostaniem marzeniem
Niech pionier na równinie
Poszukuje domu tam gdzie jest wolnym.

(Ameryka nigdy nie była dla mnie Ameryką).

Niech Ameryka będzie marzeniem marzyciela.
Niech ten wielki kraj miłości,
W którym nigdy królowie ani tyrani nie władali,
W którym żaden człowiek nie wywyższa się.

(Ameryka nigdy taka dla mnie nie była).

Och, niech mój kraj będzie taki, w którym Swoboda
Ukoronowana nie jest fałszywym patriotycznym wieńcem,
Ale równouprawnienie jest prawdziwe, a życie wolnością,
Gdy oddychamy powietrzem równości.

(Nigdy nie było równości dla mnie
Ani wolności w tej „ojczyźnie wolności”).

*Powiedz, kim są ci, co mamroczą w ciemnościach?
A kim ty jesteś, że masz głowę wśród gwiazd?*

Jestem biednym białym, wykiwanym, popychadłem.
Jestem Murzynem z godłem niewolniczych blizn.
Jestem czerwonoskórym przepędzonym ze swojej ziemi.
Jestem emigrantem kurczowo trzymającym się swej nadziei –

Znajdującym tylko ten sam idiotyczny plan,
Człowiek człowiekowi wilkiem, silny uciska słabego.

Jestem młodym mężczyzną pełen wiary i siły,
Uwięziony starodawnym łańcuchem bez końca,
Zysku, zarobku, siły, ograbiony z ziemi!
Zrabowanego złota! Ograbiony z potrzeb codzienności!
Z pracy. Z godziwej zapłaty!
Z posiadania czegokolwiek co przynosi zysk!

Jestem rolnikiem niewolnikiem ziemi.
Jestem robolem śrubką w maszynie.
Jestem murzynem, sługą was wszystkich.
Jestem ludem, pokornym, głodnym, upodlonym –
Spragniony wciąż pomimo marzenia.
Wciąż bity dzisiaj – O, Pionierzy!
Jestem człowiekiem który nigdy nie zrobił kroku do przodu,
Najbiedniejszy wyrobnik poniewierany latami.

Wciąż jestem tym, co śni nasz pierwszy sen,
W starym świecie, gdzie wciąż są królowie pańszczyźnianych chłopów,
Śnię sen tak prawdziwie, szczerze, odważnie,
Że nawet jego potężny odważny śpiew
Odcisnięty jest w każdym kamieniu, cegle, w każdej bruździe,
Co stworzyły Amerykę takim właśnie krajem.
O, Jestem człowiekiem, który żeglował po tych morzach
Nieodkrytych w poszukiwaniu tego
co mogłoby być mym domem –
Ponieważ jestem tym co pozostawił ponure irlandzkie brzegi,
Polskie niziny i angielskie łąki
Uprowadzony z brzegu Czarnej Afryki przybyłem
Budować „ojczyznę wolności”

Wolności?

Kto powiedział wolny? Nie ja?

Na pewno nie ja? Miliony nas są na zasiłku dzisiaj?
Miliony zastrzelonych, gdy strajkują?
Miliony, kto za naszą pracę nam zapłacił,
Za nich wszystkich śniliśmy sen,
Za nich wszystkich śpiewaliśmy pieśń,
Za nich wszystkich mieliśmy nadzieje,
Za nich wszystkich zawieszaliśmy flagi.
Miliony, co niczym się nam nie odpłacą
Z wyjątkiem marzenia, co dzisiaj ledwo śnię.

Niech Ameryka znowu będzie Ameryką –
Na pewno nie ja? Miliony na zasiłku dzisiaj?
Miliony zastrzelonych, gdy strajkują?
Miliony, kto za naszą pracę nam zapłacił?
Za nich wszystkich śniliśmy sen
Za nich wszystkich śpiewaliśmy pieśń
Za nich wszystkich mieliśmy nadzieje
Za nich wszystkich zawieszaliśmy flagi
Miliony, co niczym się nam nie odpłacą
Z wyjątkiem marzenia, co dzisiaj ledwo śnię.

Niech Ameryka znowu będzie Ameryką –
Tym krajem którym jeszcze nie była –
I wciąż musi być – krajem w którym *każdy* jest wolny.
Ta ziemia jest moja biednych ludzi – Indian, Murzynów, Mną.
Kto stworzył Amerykę,
Czyj pot i krew, czyja wiara i ból,
Czyja dłoń w hucie, czyj pług orał w deszczu,
Musimy odzyskać z powrotem nasz wielki sen

Nie krępuj się wyzwij mnie od najgorszych –
Opluj mnie, stal wolności nie zardzewieje.
Od tych co żyją jak pijawki z ludzkiej krwi,
Musimy odebrać nasz kraj,
Amerykę!

O, tak,
Mówię wprost

Ameryka nigdy nie była Ameryką dla mnie,
 Lecz składam przysięgę –
 Ona nią będzie!

Z ruin z zgliszcz z kości naszych gangsterów,
 Gwałtów, zgnilizny łapówek, podstępu i kłamstwa,
 My, ludzie, musimy odkupić
 Ten kraj, kopalnie, fabryki, rzeki,
 Góry i niekończące się równiny –
 Ogromną siłę wszystkich tych wspaniałych zielonych stanów –
 Wtedy stworzymy Amerykę raz jeszcze!

Dzieci które umrą

Ten wiersz jest dla dzieci umierających
 Czarnych i białych,
 Dla dzieci, które umrą na pewno.
 Starzy i bogaci będą żyć chwilkę,
 Jak zawsze
 Pić krew jeść złoto
 Pozwala dzieciom umrzeć.

Dzieci umierają na bagnach Missisipi
 W pocie czoła odpracowują swoją pańszczyznę
 Dzieci umierają na ulicach Chicago
 oddają swoją krwawicę pańszczyzny
 Dzieci umierają w pomarańczowych gajach Kalifornii
 Mówiąc innym, zjednoczcie się
 Biali i Filipińczycy
 Murzyni i Meksykanie
 Dzieci wszystkich kolorów umrą
 One nie wierzą w kłamstwa, łapówki, radość
 I naciągany pokój.

Oczywiście, mądrzy i uczeni
 Piszą artykuły redakcyjne w gazetach
 A dżentelmeni z tytułem doktora przed nazwiskiem

Biali i czarny
Robią badania, piszą książki
Żyją z wiązania mocnych słów na szyjach dzieci
A te umierają na nędznych podwórkach –
Policja wyciąga łapy po łapówki
Generalicja chlipie krew
Księża modlą się o pieniądze
Wszyscy oni podnoszą ręce przeciwko dzieciom, które umrą
Smagają ich prawami i pałami oraz bagnietami i kulami
Straszą ludzi –
Dla dzieci, które umierają, one są jak trucizna we krwi –
A starzy i bogaci nie chcą aby ludzie
Kosztowali trucizny dzieci umierających,
Nie chcą, aby ludzie zdali sobie sprawę ze swojej siły
Wierzyli Angelo Herndonowi*, a nawet zjednoczyli się

Posłuchajcie dzieci umierających
Może nie wybudują pomnika
Z wyjątkiem tego w naszych sercach
Być może bagna pochłoną ich ciała
Albo groby więzienne, albo pole garncarza,
Albo rzeki, w których utoną jak Liebknecht*

Ale nadejdzie dzień –
Jesteśmy pewni już nadchodzi –
Gdy maszerujący tłum nóg i rąk
Wzniesie dla was żywy pomnik miłości
Radości i śmiechu
A czarne i białe dłonie niech splatają się w jedną
I pieśń, wzniesie się do nieba –
Pieśń triumfującego życia
Śpiewana przez umierające dzieci.

Przypisy

Chłopcy z Scottsboro to dziewięciu afroamerykańskich nastolatków w wieku 13-19 lat oskarżonych w Alabamie o zgwałcenie dwóch białych Amerek (o bardzo złej reputacji) w pociągu w 1931 roku. Punkt zwrotny w tej sprawie dotyczył rasizmu i prawa do sprawiedliwego procesu. Sprawa obejmowała też lincza, zanim podejrzani zostali oskarżeni, a cała ława przysięgłych składała się z białych, którzy chcieli jak najszybciej zakończyć proces sądowy przed szalejącym i utrudniającym proces motłochem. Rozprawa ta jest powszechnie cytowana jako przykład pomyłki wymiaru sprawiedliwości w systemie prawnym Stanów Zjednoczonych.

Angelo Braxton Herndon (ur. 6 maja 1913 r., Wyoming, Ohio – zm. 9 grudnia 1997 r., Sweet Home, Arkansas) był afroamerykańskim organizatorem pracy aresztowanym i skazanym za wzniecenie powstania w Georgia. Organizował czarnych i białych pracowników przemysłowych w 1932 r. w Atlancie, Georgia. Akt oskarżenia opierał się w dużym stopniu na posiadaniu przez Herndona „literatury komunistycznej”.

Karl Liebknecht (ur. 13 sierpnia 1871, zm. 15 stycznia 1919) był niemieckim socjalistą i współzałożycielem wraz z Różą Luksemburg Związku Spartakusa i Komunistycznej Partii Niemiec. Najbardziej znany był ze swojego sprzeciwu wobec I Wojny Światowej w Reichstagu i dużej roli w Powstaniu Spartakusa w 1919 r. Powstanie zostało zmiażdżone przez rząd socjaldemokratów i Freikorpsów (jednostki paramilitarne utworzone z weteranów I wojny światowej). Liebknecht i Luksemburg zostali zabici. Różę Luksemburg przez wiele godzin bito i torturowano, a zamęczoną wrzucono do kanału Landwehr. Natomiast Liebknecht został rozstrzelany. Władze ówczesnych Niemiec podały oficjalnie, że został zastrzelony podczas próby ucieczki.

Źródła

Wiersze pochodzą z książki pt. *The Collected Poems of Langston Hughes*. Edytor wydania Arnold Rampersad. Wydawnictwo Vintage Books, New York, 1995. Pisząc notkę biograficzną Langstona Hughesa, korzystałem z *Encyclopaedia Britannica*.

Tekst napisał i wiersze przełożył Adam Lizakowski

Krystyna Rodowska

Między magią tropików a (auto)kreacją¹

Jak na początku drugiej dekady XXI wieku czytać *Sto lat samotności*, tę bez wątpienia najśłynniejszą powieść Gabriela Garcíi Márqueza, światowy bestseller, tłumaczony na wiele języków, nieustannie wznawiany, bijący rekordy popularności wśród czytelników kilku już pokoleń? Przypomnijmy, że *Cien años de soledad*, piąta z kolei powieść kolumbijskiego noblisty, bardziej wówczas znanego w swojej ojczyźnie i w Ameryce Łacińskiej jako sprawny dziennikarz i reporter, ukazała się w roku 1967, pierwsze zaś jej wydanie w Polsce – w roku 1970, otwierając – obok nieco wcześniejszej publikacji *Gry w klasy* Julio Cortazara – erę niebywalej, trwającej przez całe lata fascynacji czytelników, zwłaszcza młodych, literaturą kontynentu latynoamerykańskiego, prezentowaną aż nazbyt bezkrytycznie w historycznej już dzisiaj serii *Prozy Iberoamerykańskiej* krakowskiego Wydawnictwa Literackiego. Tamten czas, oddzielony od naszego dobitnymi cezurami zapaści polityczno-kulturowej roku 1981 i przełomu z roku 1989, należy już bezpowrotnie do wspomnień (lub niepamięci), a przecież dzisiaj obie te powieści znów figurują obok siebie pośrodku witryny jednej z reprezentacyjnych księgarni warszawskich. Czas recepcji zatoczył kolejne koło. Śmierć argentyńskiego pisarza zamknęła nieodwołalnie jego dzieło (...) Pamiętając, jakiej rangi wydarzeniami były jeszcze inne jego arcydzieła, takie choćby jak *Jesień patriarchy*, powieść-poemat (1980), czy *Miłość w czasach zarazy* (polskie wydanie w roku 1994).

Wygłąda na to, że ani upływ czasu, ani nieustanne doskonalenie się pisarskiego rzemiosła pisarskiego Márqueza nie są w stanie zatrzeć doznania świeżości i siły tamtego zachwyty powieścią o „plemionach skazanych na sto lat samotności”. Co więcej, przybywa jej nowych pokoleń fanów! Intryguje więc pytanie, czym dzisiaj pociąga *Sto lat samotności*, a czym fascynowało wtedy, i czy da się do końca zrozumieć tajemnicę uwodzicielskiej sztuki Márqueza.

Podejrzewam, że ówcześni młodzi czytelnicy, z niżej podpisaną włącznie, dali się w swoim czasie porwać tej jedynej w swoim rodzaju narracji

1 Pierwodruk jako posłowie do: Gabriel García Márquez *Sto lat samotności*, 2004, Świat Książki.

o dziejach fikcyjnego miasteczka Macondo, odbierając ją jako „egzotyczną” w realiach i sposobie opowiadania poetycką baśń, szafującą „innymi wymiarami” rzeczywistości. Gąszcz przeplatających się czasów, meandry wątków i wydarzeń, oglądanych z perspektywy unoszącego się nad nimi jak miecz Damoklesa niezrozumiałego proroctwa mędrca cygańskiego, podporządkowane dziejowemu Fatum dramaty poszczególnych postaci – członków rodu Buendia i przybyszy z zewnątrz, których losy się z nimi splatają, osobliwe obcowanie żywych ze zmarłymi, nieustępliwy dyktat tropikalnej natury w stosunku do świata ludzi i zwierząt – to wszystko wciągało bez reszty, działało jak narkotyk, pozwalający zapomnieć, choćby na czas lektury, o zgrzebnym i zakłamanym życiu w PRL-u. Usiłował się z nimi uporać – w swych najambitniejszych dokonaniach – ezopowy język ówczesnej prozy i młodej poezji o wykluwających się aspiracjach demaskatorskich i kreacyjnych. Nie da się ukryć, że w tym pierwszym zachłyśnięciu czytało się *Sto lat samotności* powierzchownie, nie docierając do wielu możliwych poziomów lektury, nie uświadamiając sobie może jeszcze tego, że owa tak efektowna artystycznie „egzotyka” przynosi uniwersalny i dociekliwy pod względem poznawczym wgląd w problemy ludzi pod każdą szerokością geograficzną.

Utarło się określać *Sto lat samotności* – obok powieści Alejo Carpentiera, Miguela Asturiasa i innych jeszcze, na wpół zapomnianych dziś autorów latynoamerykańskich – jako sztandarowy wytwór „realizmu magicznego”. W ślad za krytyką iberoamerykańską wrzucono ją do poręcznej szufladki także i u nas, nie zadając sobie trudu zweryfikowania owej definicji w odniesieniu do *Stu lat...* i innych utworów tego pisarza. Z jednym – o ile mi wiadomo – ważnym wyjątkiem: pogłębionym i kompetentnym esejem Adama Elbanowskiego „Márquez – od realizmu magicznego do ironii magicznej”, w którym krytyk i uczony iberysta w jednej osobie stara się zaprowadzić sensowny porządek w chaosie istniejących pojęć i etykietek. Przypomina na wstępie, że do worka z napisem „realizm magiczny” trafiła twórczość autorów tak różnych jak Carpentier, Asturias, Rulfo, Arguedas i właśnie Márquez. Drugi nurt prozy iberoamerykańskiej, bynajmniej nie oddzielony wyraźną linią od pierwszego, to szeroko pojęta „fantastyka”, w obrębie której mieszczą się Argentyńczycy: Cortazar, Borges i Bioy Casares, Urugwajczyk Onetti, tworzący w Meksyku gwatemalski pisarz Arreola, Meksykanin Fuentes i Chiliczyk Donoso. Elbanowski zwraca także – i słusznie – uwagę, że wygodne dla wielu operowanie schematycznymi terminami pomija całkowicie specyfikę doświadczeń, ewolucji i języka

zarówno samych pisarzy jak i poszczególnych utworów, do których należałoby zastosować odrębny i swoisty klucz interpretacyjny.

García Márquez, pisarz „realizmu magicznego”? Co właściwie miałoby to znaczyć w odniesieniu do tak różnych wariantów jego prozy, jak młodzieńcze opowiadania z tomu *Dialog lustra*, pierwsze powieści, takie jak *Szarańcza*, *Zła godzina* i *Nie ma kto pisać do pułkownika*? Po nich z kolei następuje diametralna zmiana założeń estetycznych i praktyki stylistycznej, realizująca się całkowicie odmiennie w *Stu latach samotności* i w *Jesieni patriarchy* – powieści-poemacie, zmierzającej do przezwyciężenia zastosowanych uprzednio reguł narracji.

Opatrywać twórczość Garcíi Márqueza jedną uogólniającą formułą krytyczną, to zamykać oczy na fakt, że mamy do czynienia z pisarzem nieustannie poszukującym, eksperymentującym, zawzięcie perfekcjonistycznym, który – przy całej swej obsesyjności w traktowaniu uprzywilejowanych motywów – miał niewątpliwie ambicję dopracowywania się nowego języka dla potrzeb nowego tematu czy pomysłu literackiego. Zrzucanie starej skóry – w jego wypadku – jest zauważalne i równoznaczne z nowym wyzwaniem, jakie przed sobą właśnie postawił. Dla przykładu: większość opowiadań ze wspomnianego już tomu młodzieńczych opowiadań *Dialog lustra*, pisanych między rokiem 1947 a 1953, pozwala się jeszcze przyporządkować nurtowi „fantastycznemu”; znajdziemy tu pomysły czysto surrealistyczne, czerpiące pełnymi garściami ze sfery oniryzmu, sygnowane obsesyjnie powtarzаныmi zdaniami, takimi jak „Sępy wydziobały nam oczy” (*Noc sępów*), „Mam ochotę zanieść bukiet róż na mój grób”. „Oczy niebieskiego psa” – to napis, pojawiający się w przemieszanych snach śniącej sobie nawzajem parę ludzi w opowiadaniu pod tym tytułem, którego pomysł przedziwnie koresponduje ze światem utworu *Koliste ruiny* Borgesa.

Godne zauważenia jest tu uparte penetrowanie i odwracanie relacji zachodzących między życiem a śmiercią (co to znaczy „umarł”, co to znaczy „żyje”), tworzące stały element magicznego wymiaru wydarzeń w *Stu latach samotności*. Daleko stąd jeszcze do arcyważnej – na etapie twórczej dojrzałości – wypowiedzi, w rozmowie z przyjacielem-pisarzem, Plinio Apuleyo Mendozą, w której Márquez odżegnuje się od fantastyki, przestrzegając, by nie mylić jej z aprobowaną przezeń i ze wszech miar pożądaną wyobraźnią, traktowaną mimo to służebnie, jako „narzędzie obróbki rzeczywistości”.

Dla odmiany, wystarczy zanurzyć się w tytułowym opowiadaniu z tomu *W tym mieście nie ma złodziei* (wydanie polskie w r. 1971),

by odczuć w pełni smak realistycznie, precyzyjnie zarysowanej sytuacji i narastającego konsekwentnie napięcia dramatycznego. Opowiadanie to mogłoby wyjść spod pióra Juana Rulfo – meksykańskiego mistrza w budowaniu „magicznego” klimatu: podobna, lakoniczna gęstość opisu i dialogów, podszytych namiętnością i zbrodnią, zmierzających do mrocznego finału. Odnajdujemy w tym tomie antypatyczną, zasuszoną wdowę Rebekę Buendia, żyjącą samotnie w wielkim domu na obrzeżach Macondo, atakowanym przez ptaki, w czterdzieści lat po tajemniczej śmierci męża, Josego Arcadio, zastrzelonego w tym wnętrzu z niewiadomej ręki – tę samą Rebekę, która jako dziecko żywiła się najchętniej ziemią i wapnem, o czym czytelnik dowie się dopiero z lektury *Stu lat samotności*, powieści o wiele późniejszej (ten sam, tutaj rozbudowany epizod z ptakami, potraktowany został w powieści skrótowo). Z kolei *Zła godzina* i *Nie ma kto pisać do pułkownika* (1957), pisane komplementarnie, to utwory sytuujące się bezspornie w kanonie prozy realistycznej, bez odwoływania się do dziwności, horroru czy cudowności świata.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że to wszystko, co Márquez napisał przed stworzeniem *Stu lat samotności*, widziane z perspektywy tej powieści, jawi się jako ciąg wytrwałych palcówek stylistycznych utalentowanego, choć wciąż niedocenianego przez rodzimą krytykę młodego autora, ćwiczonych „pod okiem” mistrzów pióra różnych epok, latynoamerykańskich, europejskich i północnoamerykańskich. Wystarczy wspomnieć, że García Márquez zapisał i poprawił jedenaście brulionów historii o czekającym wiecznie na emeryturę i listy starym pułkownikowi, zapowiadającym Aureliana Buendia ze *Stu lat samotności*, którego jedynym dobrem i towarzyszem życia jest kogut. Te wszystkie zabiegi i powstające kolejno utwory miały poprzedzać zamach na wirtuozowskie wyrażenie pełni rzeczywistości, wysnutej z własnej, niepowtarzalnej biografii mieszkańca magicznych Karaibów.

W tym miejscu nasuwa się spostrzeżenie, że carpentierowska teoria *lo real maravilloso* (rzeczywistości cudownej), odnosząca się do całej Ameryki Łacińskiej, przystaje jednak w sposób szczególny do charakterystycznych cech geograficzno-kulturowych rejonu Morza Karaibskiego, nakładając się na formułę „realizmu magicznego”, czy „realizmu tropikalnego” – jak modyfikują ją niektórzy współcześni krytycy hiszpańscy. Oddają głos samemu pisarzowi:

Myślę, że Karaiby nauczyły mnie inaczej patrzeć na rzeczywistość i akceptować elementy nadprzyrodzone jako coś, co jest nierozłączne z naszą

rzeczywistością. Karaiby, to jest inny świat, a pierwszym dziełem literatury magicznej jest *Dziennik Krzysztofa Kolumba*, książka, która opowiada o magicznych światach. Tak, historia Karaibów jest przesycona magią, odziedziczoną po czarnych niewolnikach z Afryki, a także po piratach szwedzkich, holenderskich i angielskich. To jest nie tylko świat, który nauczył mnie, jak mam pisać, ale takie jedyne miejsce na świecie, gdzie nie czuję się cudzoziemcem.

Macondo ze *Stu lat samotności* przynależy całkowicie do tego świata, ale i go stwarza. Macondo, to miejsce-universum, miejsce, które jest czasem, medytacją o złożonej naturze czasu, miejsce – Los. Nie ma go na mapie kolumbijskiego wybrzeża Morza Karaibskiego. Naprawdę nazywa się Aracataca – senne, dręczone tropikalnymi upałami lub niekończącymi się deszczami miasteczko, które na początku ubiegłego stulecia, kiedy zjechali tu przedstawiciele amerykańskiej spółki United Fruit, by rozwinąć interes bananowy, przeżywało swoje wielkie dni, wraz z całą dynamiką sezonowych fortun i napływem ludzkiej „szarańczy”, żadnej łatwego i lekkiego życia. W roku 1928, kiedy przyszedł na świat García Márquez, po przybyściach nie było już ani śladu, ale miasteczko żyło jeszcze echemi dawnej świetności. Gabrielito mieszkał tu do lat ośmiu, wychowywany przez dziadków ze strony matki, podczas gdy życie jego młodych podówczaś rodziców, toczyło się gdzie indziej, w Riohacha, na płodzeniu i rodzeniu kolejnych dzieci (don Gabo miał szesnaścioro rodzeństwa). Toteż przede wszystkim obcowanie z dziadkiem i babką, reprezentującymi całkowicie różne światy, ukształtowało osobowość Márqueza, dopełniając jego karaibskich wtajemniczeń.

Dziadek, emerytowany pułkownik z okresu wojen domowych, walczący – jak jego imiennik ze *Stu lat samotności* – po stronie liberałów, poświęcał wnuczkowi wiele czasu, dzieląc się z nim wspomnieniami dawnych, okrutnych dni, zajmując się jego edukacją i rozrywkami. Prowadził go często do zaglądającego często do miasteczka wędrownego cyrku, oglądali razem Cyganów i akrobatów. Któregoś dnia pokazał mu tajemnicę lodu, polecając chłopcu włożyć rękę do skrzynki z mrożonymi rybami. Po latach, autor *Stu lat samotności* każe powtórzyć ten sam gest małemu Aureliano Buendia, dla którego owa fascynująca chwila staje się rozbłyskiem jakiegoś istotnego wtajemniczenia, wciągając go w eksperymenty alchemiczne, a później w produkcję złotych rybek z metalu, w którą na starość ucieknie przed światem. Pułkownik Ricardo Márquez Mejia reprezentował w oczach małego Gabriela męski, twardy świat walki i działania, a także patriarchalnego

traktowania kobiet („był zagorzałym cudzołożnikiem” – o czym wnuk dowie się znacznie później, ojcem gromadki nieślubnych dzieci). Niekończące się opowieści dziadka o epizodach wojny domowej, odtwarzane przezeń sceny bitew, obłążeń, rozstrzeliwania przeciwników, poranki, spędzane z nim na plantacjach bananowych, dokąd starszy pan zabierał wnuczkę, by ten mógł się wykąpać w przejrzystych wodach potoku, wszystkie te chwile zapadły przyszłemu pisarzowi głęboko w pamięć i wyobraźnię, których rola w procesie duchowego i artystycznego dojrzewania Márqueza była bodaj ważniejsza niż wpływ najrozmaitszych lektur, jakie go także kształtowały.

Drugą, całkowicie inną stronę rzeczywistości Aracataki reprezentowała babka. To ona sprawowała rzeczywistą władzę nad starym, ogromnym domem i nad wrażliwością dziecka. Rodzina, z której wywodziła się doña Tranquilina, pochodziła z Guajiry, „półwyspu rozpalonych piasków, zamieszkałego przez Indian, kontrabandzistów i czarowników” – jak relacjonuje przyjaciel od lat młodości Márqueza, wspomniany już Plinio Apuleyo Mendoza. Z biegiem lat babka coraz częściej rozmawiała ze zmarłymi członkami rodziny, szepczącymi niezrozumiałe słowa lub wzdychającymi w nocy z głębi niezliczonych pokoi, opowiadając chłopcu o ich wizytach i niewidzialnej obecności, co budziło w nim nieustające, dziecinne lęki, których tchnienie wyczuwał jeszcze długo w latach dorosłości. Nadprzyrodzony świat kontaktów babki ze zmarłymi, jej przeczucia i prorocze sny, wszystko to zadomowiło się na dobre w wyobraźni małego Gabriela, urodzonego w znaku Ryb, a więc szczególnie podatnego na tego rodzaju przekazy. Oswoił się także z faktem, że babka traktowała owe ingerencje niewidzialnych bytów jako rzecz najzwyczajniejszą w świecie, toteż przekraczanie cienkiej granicy realności i niesamowitości stało się dla niego chlebem powszednim.

Wiele lat później, owo oswojenie się z rzeczami „nie z tego świata” miało stworzyć – między innymi – niepowtarzalną aurę kontaktów Josego Arcadio Buendia z prześladowającym go, z tęsknoty za światem żywych, zabitym przez niego sąsiadem Prudencio Aguilarem i maniakalnych, pod koniec życia, rozmów Urszuli z widmem zmarłego męża, uwięzonym, jak niegdyś jego żyjący sobowtór, do kasztanowca na podwórzu. Zanurzony w innych wymiarach rzeczywistości świat babki, spychany w podświadomość, staje się dla pisarza inspirującym spotkaniem ze sferą „własnego cienia” – mówiąc językiem Junga – w którym kobiety, w świecie których się wychował, odgrywają rolę inicjacyjną. Wyrazem tych intuicyjnych

przeświadczeń jest przeniesiona w sferę fikcji postać babki, urastająca do matriarchalnego symbolu władczyni, dziewicy-matki społeczności Macondo w opowiadaniu „Śmierć i pogrzeb Mamy Grande”; wydarzenie to, jak i wiele innych auto-cytatów, wpłata autor w akcję *Stu lat samotności*, której centralną postacią, spoiwem czasów, gwarantką ciągłości rodu Buendiów jest prawie nieśmiertelna, dożywająca wieku matuzalemowego, mająca oko na wszystko nawet kiedy oślepnie, Urszula Iguaran.

Sam Márquez przypisuje swój nieodparty pociąg do „spraw nadprzyrodzonych” odziedziczonej po przodkach więzi z hiszpańską Galicią, gdzie lubowano się od wieków w opowieściach „niesamowitych”, w których sny, przeczucia i wizje były na porządku dziennym. Kulturowe dziedzictwo Afryki wzmacniało jeszcze bardziej owe tendencje. Toteż pisarz, odbywszy w roku 1978 podróż do Angoli, od chwili, gdy stanął na tamtej ziemi, wyznaje:

*Poczułem zapach tamtego powietrza, odnalazłem się w świecie mojego dzieciństwa, zwyczajów i rzeczy dawno zapomnianych. Wróciły nawet dawne koszmary senne, które dręczyły mnie, gdy byłem dzieckiem.*²

Ośmioletni Gabriel opuścił miasteczko Aracataca po śmierci dziadka, udając się do Cartageny, innej miejscowości na wybrzeżu, gdzie przenieśli się jego rodzice; uroki jego światła, wąskich uliczek i wspaniałych domów z czasów kolonialnych miał docenić jednak znacznie później, gdy dwudziestoletni, przyjechał tu ze stolicy, po ukończeniu liceum i przerwaniu studiów prawniczych. Dopiero tam, w Bogocie, andyjskim mieście smutnych mgieł, szarości i wiecznego chłodu, w którym od początku czuł się obco, utożsamiał się całkowicie z duchem i światłem Karaibów, przypisał się do historii i odmiennych tradycji tego rejonu, tworzonych przez pokolenia Andaluzyjczyków, walecznych Indian karaibskich, Murzynów i Mulatów, w ich gorących rytmach odnajdywał własną duszę. Nie wymienione z nazwy, odległe, „posępne” miasto, do którego wyprawia się Aureliano Drugi po Fernandę del Carpio – „najpiękniejszą kobietę świata” o zasznurowanym konwenansami wnętrzu – to właśnie Bogota, która kojarzy mu się z dźwiękiem dzwonów żałobnych i z widmowymi karetami wicekrólów.

O niesłychanym, niezrozumiałym dla Europejczyków kontraście geograficznym i psychicznym w obrębie jednego kraju, o cechach Kolumbijczyków z terenów górskich tak mówi Plinio Apuleyo Mendoza:

Odziedziczyli oni kastylijski formalizm, oraz skryte, nieufne usposobienie Indian Czibczów, są to ludzie o subtelnych, pełnych rezerwy manierach

2 Plinio Apuleyo Mendoza, *Zapach guajawy*, „Literatura na świecie”, nr 9/1983.

i równie subtelnym poczuciu humoru. Zdarza się jednak, że za kurtuazyjnym sposobem bycia kryje się agresywna natura, dochodząca brutalnie do głosu pod wpływem alkoholu”. I dodaje znamienne zdanie: „Przemoc polityczna w tym kraju nigdy nie wywodziła się z wybrzeża, lecz z płaskowyżu.

Przełomowym momentem dla narodzin Márqueza jako pisarza – od przywołania którego rozpoczyna się jego głośna autobiografia *Vivir para contarla* (polskie wydanie *Życie jest opowieścią*, 2004) – jest chwila, gdy dwudziestotrzyletni Gabriel, pracujący w tym czasie w Baranquilla jako reporter miejscowego dziennika, wyrusza z matką, na jej prośbę, do Aracataca, aby sprzedać opuszczony dom po dziadkach. Konfrontacja przygnębiającej rzeczywistości opustoszałego, zarastającego chwastami miasteczka, z kolorowym, magicznym światem dzieciństwa wywołuje w młodym Marquezie wyzwalający twórczą potencję szok, porównywalny z eksplozją wskrzeszonego poprzez smak magdalenki na języku świata Combray Prousta. Odżywają w nim na wpół zapomniane obrazy przeszłości, zaludnia się opuszczone, przeżarte kurzem stare domostwo, któraś z ciotek znów tka swój śmiertelny całun; w samym centrum tropiku amerykańskie dziewczyny znów grają w tenisa. Z tego spotkania czasów – jak uważa sam Marquez – wyłoniła się jego pierwsza powieść *Szarańcza* (polskie wydanie w r. 1970), rozgrywająca się w tropikalnym pejzażu Macondo, ośladniętego „gorączką bananową”, przygotowując teren dla *Stu lat samotności*.

García Márquez należy bezsprzecznie do kategorii pisarzy-intuicjonistów, którym drogę do pierwszego i ostatecznego kształtu utworu toruje olśnienie i niewytłumaczalny „szósty zmysł”. Zawierza także przede wszystkim obrazom i zmysłowej materii świata. Nie sposób jednak przeczyć faktu że jego szybkie dojrzewanie pisarskie, wchłaniające w siebie także pracę dziennikarską i reporterską, było przede wszystkim efektem ogromnej i systematycznej pracy intelektualnej, której sednem były lektury. Jak sam wyznaje, uświadomił sobie, że musi zostać pisarzem, po przeczytaniu opowiadania *Przemiana* Franza Kafki. *Przemiana* Gregora Samso w robaka wywołuje w Marquezie wstrząs: uświadamia mu, że w literaturze wszystko jest możliwe, nawet niemożliwość. Z rewelacji tej potrafił wyciągnąć dla siebie odpowiednie wnioski. Od tej pory stracił zainteresowanie dla studiów prawniczych, poświęcając większość czasu czytaniu i pisaniu – równolegle. Odkrył tragedie Sofoklesa, docenił unikalną wartość artystyczną Biblii – „księgi z jajami”, której podskórną obecność wyczuwa się nie tylko w rozmachu, z jakim autor *Stu lat...* tworzy gigantycznie rozgałęzione drzewo genealogiczne Buendíów. Zatopił się w lekturze Joyce’a i wielkich

Amerykanów: Hemingwaya, a przede wszystkim Faulknera. Objawieniem stało się pewne bardzo długie zdanie z *Pani Dalloway* Wirginii Woolf, które zmieniło jego odczucie czasu, umożliwiając mu oddanie we właściwych słowach i kadencjach zdań procesu obumierania Macondo.

Młody Márquez pasjonował się jednak nie tylko powieściami. Ogromny wpływ wywarła na niego poezja, dzięki której – jak twierdzi – zainteresował się w ogóle literaturą. Zaczynając od lektury poetów drugorzędnych, dotarł w końcu do Rimbauda, Valéry'ego, a z Latynosów – do Nerudy, którego zaliczał – mimo często wytykanych temu poecie przerostów ideologii – do najwybitniejszych poetów XX wieku. Bez ważnej przygody z poezją i bez fascynacji muzyką, Márquez nie stworzyłby nigdy dzieła tak wyjątkowego i najbardziej przez siebie cenionego jak *Jesień patriarchy*, które jest polifonicznym poematem prozą.

Do napisania *Stu lat samotności*, w wieku już mocno dojrzałym, Márquez przymierzał się od wczesnej młodości, nie znajdując wciąż odpowiedniej literackiej formuły dla wyrażenia swego zamiaru: skomponowania opowieści, w której zawarłaby się całość doświadczeń istotnych dla jego dzieciństwa i wczesnej młodości: opowieści o narodzinach i nieuchronnym kresie miejsca-universum. Z mapy *Stu lat* zniknęły szczegółowe nazwy, takie jak Aracataca, Cartagena, Barranquilla, czy Bogota. Ulotniły się daty wydarzeń, dotyczących znanej z podręczników dziewiętnastowiecznej historii wojen domowych w Kolumbii. Tym wszystkim jednak żywi się Macondo z jego duchowym centrum, wciąż rozbudowywanym domem założycieli osady, Josego Arcadio Buendii i Urszuli Iguaran, wychowują się w nim i umierają kolejne pokolenia ich ślubnych i nieślubnych potomków, tworząc skomplikowane wzory wzajemnych powiązań, często kazirodzich, zwieńczonych pojawieniem się na świecie ostatniego z Buendiów – noworodka ze świńskim ogonem, tego, który zostanie zjedzony przez mrówki, jak przepowiedział był w nieczytelnych – do czasu – szyfrach Cygan Melquiades.

Umiejscowienie akcji w fikcyjnym miasteczku otwiera szerokie pole możliwości dla interwencji „nadprzyrodzonych” wydarzeń, przeczuć i wróżb, wyposaża także czas w szczególne atrybuty kondensacji i spowolnienia, syntetyzacji lub zatrzymania się narratora na przybliżonym i zognomnialnym nagle szczególe. Niemniej jednak, kolejne wynalazki cywilizacyjne, przychodzące z zewnątrz do Macondo, takie jak pianola, dagerotyp, kolej żelazna, żarówka i telegraf, wypunktowują etapy historycznego czasu, rozpiętego między schyłkiem XVIII stulecia a końcem XIX wieku.

Na ten czas nakłada się powracający do swoich źródeł mityczny czas miasteczka.

Już sam początek powieści rzuca światło na przemyślaną strategię narracyjną, zastosowaną przez autora:

Wiele lat później, stojąc naprzeciw plutonu egzekucyjnego, pułkownik Aureliano Buendia miał przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy ojciec zabrał go ze sobą do obozu Cyganów, żeby mu pokazać łód. Macondo było wówczas niewielką osadą...

Czytelnik otrzymuje wyrazisty komunikat o tym, że tradycyjną narracją linearną, odpowiadającą potrzebom „księgi genezis” Macondo, niewidzialnie steruje ustanowiony przez narratora czas przyszły, obciążony zamierzchłym wczoraj. Co więcej, wzmianka o „plutonie egzekucyjnym”, wyskakująca na samym początku narracji z nieuchronnej, skamieniałej w Fatum przyszłości, naznacza biegnący w miarę chronologicznie czas Macondo piętnem pisanej mu zagłady. I chociaż pułkownik Aureliano Buendia nie zakończy życia rozstrzelany przez pluton egzekucyjny, nie zazna glorii śmierci heroicznej, lecz umrze śmiercią naturalną ze starości, owo pierwsze zdanie powieści przerzuca skutecznie pomost między światem dzieciństwa bohatera, zanurzonym w mitycznym czasie powstawania Macondo, a latami jego dojrzałości, osadzonymi w czasie realnej historii wojen liberałów z konserwatystami.

Czytelnik został uprzedzony, że opowiadane wydarzenia, rozgałęziające się wątki coraz to nowych postaci, których pojawianie się i odchodzenie odzwierciedla upływ czasu, mają swoje drugie dno i drugi pułap, których sens odsłoni się dopiero w ostatnim zdaniu powieści:

Ale nim doszedł do ostatniego wiersza, zrozumiał już, że nie wyjdzie nigdy z tego pokoju, gdyż powiedziane było, że miasto zwierciadeł (lub zwierciadlanych miraży) zmiecione będzie przez wiatr i wygnane z pamięci ludzi w chwili, kiedy Aureliano Buendia skończy odcyfrowywać pergaminy...

Uczestniczymy w odczytywaniu przez Aureliana ostatniej strony prologu, odczytywaniu równoznacznym z odkryciem, że w tej właśnie chwili podmuch tropikalnego cyklonu ściera z powierzchni ziemi Macondo, wraz z nim samym. Zamierzchła przeszłość przepowiedni dogoniła teraźniejszość jej spełnienia, głowa pożarła swój ogon, czas eksplodował. Co będzie teraz, po Macondo? Czy „pokolenia samotności” – ludzi dotkniętych brakiem miłości – naprawdę już się nie odrodzą? Czy historia będzie mogła się obejść bez swego mitycznego kontrapunktu? Czy czas wyrwie się nareszcie ze swojej trajektorii błędnego koła?

To tylko naszkicowany przykład możliwości wielopiętrowej lektury *Stu lat samotności* i smakowania jej myślowych implikacji. Wirtuozeria narracyjna Márqueza w operowaniu czasem i jego zasilającymi się wzajemnie odmianami, ograniczanie wiedzy narratora do wiedzy samych postaci, stosowane na przemian z jej poszerzaniem, zderzanie iluzji trwania z inwazją czasu historycznego, sakralizacja świata przedstawionego, wyczuwalna w finałowej kadencji przepowiedzianej apokalipsy, te i inne zabiegi autora zaświadczać wymownie o tym, jak dalece „magia”, którą roztacza, jest efektem doskonałego opanowania technik i chwytów literackich. To prawda, że czytając o tym, jak Piękna Remedios w łopocie białych prześcieradeł ulatuje do nieba, a chmara żółtych motyli zapowiada pojawienie się Mauricia Babilonii, nieszczęsnego kochanka Meme, ulegamy pokusie powrotu do dziecięcego świata baśni. Niektórzy nawet przede wszystkim są skłonni wielbić Garcíę Márqueza za owe cudotwórstwa. Inni z kolei – wprost przeciwnie – mogą uważać, że ich „trzeźwy”, wyzuty z magii i złudzeń optycznych świat, nie ma nic wspólnego z barokowym spiętrzeniem zuchwałstw wyobraźni karaibskiej Szeherezady.

Każdy wybiera sobie „swoich” pisarzy. Ale rasowy pisarz, rywal Boga, czyli „bogobójca” – jak nazywa Márqueza peruwiański kolega po piórze, Mario Vargas Llosa – to przede wszystkim zdobywca naszego prywatnego kosmosu: wielki mag, który nie stroni od przewrotnej zabawy i magicznych sztuczek. Autor *Stu lat samotności* raz po raz puszcza „perskie oko” do wąskiego kręgu wtajemniczonych i fanów literatury latynoamerykańskiej. „Mimochodem” włącza w tok narracji wzmianki o zapachu gotowanych kalafiorów i biednym Rocamadourze z Cortazarowskiej *Gry w klasy*, o bojowych wyczynach Artemio Cruza – bohatera powieści Carlosa Fuentes, czy jeszcze gdzie indziej – o postaci Victora Huguesa z głośnej powieści Alejo Carpentiera *Eksploracja w katedrze*. Owe cytaty i aluzje zdradzają niedwuznacznie Márquezowskie intencje prowadzenia dialogu solidarności z innymi latynoamerykańskimi twórcami, utwierdzania mitu tej literatury, wylansowanej w latach sześćdziesiątych przez tzw. „boom”, lecz wkrótce pozostawionej samej sobie w dalszym zdobywaniu europejskiego czytelnika.

Obywatel świata, nomada i bywalec prezydenckich salonów, mieszkaniec samotności i nostalgii za utraconym, karaibskim rajem, Márquez nigdy nie ukrywał, że pisze dla przyjaciół i pobratymców, ponieważ czuje się za nich odpowiedzialny. Pisze całym sobą, całą swoją pojemną biografią. Jego dzieło, to kolejne etapy budowania mitu własnego, swojej rodziny,

swojej wielkiej i małej ojczyzny. Zanim jeszcze oddał do druku *Vivir para contarla* (dosłowne tłumaczenie: „żyć, aby to opowiedzieć”), opowiadał, że aby naprawdę żyć, trzeba przekuć nieuchronną ulotność swojej egzystencji w autokreację, tworzoną pracownicę z budulca własnej historii.

Nie inaczej ma się rzecz z powieścią *Sto lat samotności*, w której, tworząc postać prawie nieśmiertelnej Urszuli Iguarán, kobiety mądrej i niezależnej, bojowej i pragmatycznej, rodzinnej wyroczni i sędzi sumień, kompensującej samotność rozmową z duchami, podniósł do rangi mitu postać swojej babki, wyposażając ją także w rysy innych, znanych mu kobiet. W pożegnalnym geście Amaranty – najbardziej skomplikowanej, a przez to fascynującej kobiety z rodu Buendiów – uwiecznił jedną ze swoich ciotek, nadając wymiar spokojnego heroizmu jej rozciągniętej na lata czynności tkania dla siebie śmiertelnego całunu. On sam ukrył się może najbardziej w obcowaniu wszystkich Buendiów z samotnością, która w *Jesieni patriarchy* przetransponowana zostanie na samotność władzy nad ludźmi, jaką w przypadku głośnego pisarza daje sława.

García Márquez nigdy nie ukrywał swoich lewicowych przekonań, posuniętych aż do sympatyzowania przez całe lata z Fidelem Castro, co wielu latynoamerykańskich i europejskich intelektualistów miało mu za złe. Z chwilą jednak, gdy zasiadał do pisania, liczyło się tylko jedno: autonomia języka literatury, jego niepodległość, nadrzędna wobec nacisku ideologii i polityki. Toteż instynkt i świadomość artysty nigdy go nie zawiodły. Maksymalizm jego aspiracji wyraża się być może najdobitniej w jednym zdaniu z książki *Życie jest opowieścią: Nawet rzeczywistość nie ma racji, jeśli sposób pisania jest zły*.

Czy *Sto lat samotności* można dziś czytać „naiwnie, po dawnemu”? Oczywiście, że można, jeżeli to komuś wystarcza.

Krystyna Rodowska

Jan Strękowski

W poczekalni salonu prób

Zestaw dla ludu Krzysztof Biernacki, *Czas bogaty* Sławomir Stalmach, obie książki wydane w 2017 r.

W przypadku młodszego Sławomira Stalmacha, to druga książka. Pierwszą *Mysł prosta* wydał w 2008 r. Biernacki czekał z debiutem do 2017 r. A zatytułował go w charakterystyczny dla siebie, prowokacyjny sposób *Zestaw dla ludu*. Oba tytuły brzmią banalnie, jeden prosty jak natura cepa, drugi przypomina przyrządzone w innej epoce odgrzewane danie. Jednak są jeszcze wiersze, które warto przeczytać. A także biografie autorów, które, tak się kolejnie życia ułożyły, krzyżowały się z moimi.

Krzysztof Biernacki (znany wśród przyjaciół jako Joachim) – poeta, prozaik, filozof, eseista, krytyk sztuki, muzyk. Takie profesje wymieniono w notce towarzyszącej tomikowi. Napisano tam też: „badacz historii najnowszej”, co mogę przełożyć na konkrety, bowiem od kilkunastu lat współpracowaliśmy przy pracach nad kilkoma regionalnymi, a także krajowym, leksykonami opozycji, głównie tej „bibułowej”, czyli osób zamieszanych w wydawanie druków bezdebitowych w schyłkowych latach PRL. Nota mówi także: „Związany z polskimi ruchami kontestacyjnymi i opozycją demokratyczną w latach 80.”. Co też mogę poświadczyć, był bowiem Biernacki m.in. redaktorem pierwszego w naszej historii podziemnego pisma osiedlowego, wychodzącego na warszawskim Bródnie „O.B.I.”, czyli „Osiedlowego Biuletynu Informacyjnego”. Co do udziału w ruchach kontestacyjnych, to tę drogę życiową poświadcza zamieszczone przez wydawcę zdjęcie autora tomiku z okresu „burzy i naporu”.

Sławomir Stalmach, młodszy, ale z równie długim stażem w podziemiu. Pamiętam go, jeszcze wtedy ucznia liceum, podczas dyskusji na ul. Sandomierskiej w Warszawie, 50 metrów od siedziby Kiszczaka, w mieszkaniu wynajmowanym przez jego nauczyciela fizyki Włodka Cichomskiego (wkrótce sekretarza redakcji i skarbnika), podczas dyskusji nad uruchomieniem pierwszego ogólnopolskiego pisma podziemnego o nazwie „Tygodnik Wojenny”, a potem naszego współpracownika, spełniającego jak kilkoro innych najmłodszych współpracowników „Tygodnika” wszelkie konieczne funkcje („przynieś, wynieś, pozamiataj”). Dziś jest

dziennikarzem telewizyjnym, zajmuje się wspomaganie Białorusinów i Polaków na Białorusi, pisze, także prozę, drukując ją tu i ówdzie, co przy obecnym rozdrobnionym obiegu literatury jest wrzucaniem tekstu w czarną dziurę. Biernackiego żywiołem jest ruch, bunt – on chciałby wciąż coś zmieniać. Wiersze Stalmacha to statyka, króluje tu namysł oraz inne uczucia człowieka, który widzi i czuje. I opisuje. Bo kokieterią jest to, co pisze w jednym z wierszy: *Nie ja stworzyłem świat, / nie ja go opiszę (Lektor)*. To deklaracja, bo jeśli nawet nie świat, to z pewnością stara się narysować siebie w tym nieopisanym czy nawet nieopisywalnym świecie.

Wydawać by się mogło, że niewiele łączy tych autorów. A jednak jest taki związek. Jeśli nie poetycki (choć taki też da się znaleźć), to na pewno biograficzny. Chodzi o ich zaangażowanie w podziemie w schyłkowych latach PRL. A raczej skutki owego zaangażowania. Za Biernackim możemy nazwać go *poczekalnią salonu prób*, o której tak sugestywnie pisze w wierszu „Młodość”, poczekalnią, w której wielu z tych, którzy niegdyś zaangażowali się w podziemne działania, czyli słynne knucie, pozostało do dziś. Była to cena za poświęcenie się owej niezbyt legalnej działalności, którą zapłaciło wielu młodych wchodzących dopiero w życie zawodowe czy artystyczne ludzi. Pamiętam dyskusje na temat prowadzonego na początku stanu wojennego przez aktorów bojkotu środków tzw. masowego przekazu, głównie państwowej telewizji (innej w PRL nie było). Cena, jaką zapłacili młodzi, dopiero startujący do zawodu aktorzy, była straszliwa. Z wieloma z nich współpracowałem, bywali lektorami radia „Solidarność”, reporterami, autorami, ale też wozili bibułę, drukowali, występując od czasu do czasu w podziemnych lub w półpodziemnych teatrach.

Na początku lat 90. ubiegłego wieku mówiono i pisano wiele o luce pokoleniowej w literaturze. Trwała chyba z 10 lat. Chodziło o tych pisarzy, którzy wystartowali tuż przed stanem wojennym, wydali jedną, dwie książki i wsiąkli w podziemie. Niektórzy próbowali zaistnieć w wolnej już Polsce, z różnym skutkiem. Często spotykając się z wściekłymi atakami nie tylko następców, co jest naturalną kolejną rzeczą. Najbardziej głośny z nich, a z pewnością najbardziej przykry i niesprawiedliwy przytrafił się memu koledze redakcyjnemu z „Biuletynu Informacyjnego” Komitetu Obrony Robotników, Jankowi Walcowi, którego jeden z prominentnych (choć też zasłużonych dla wolnego słowa) autorów by nie powiedzieć „koryfeuszy” nauki odesłał, po opublikowaniu przez niego napisanej przed laty ciekawej książki o Mickiewiczu, do przysłowiowego kąta w jakiejś zagraconej piwnicy, w której tenże, drukując podziemne wydawnictwa, spędził kilkanaście lat życia.

Nie jestem krytykiem poezji, czuję się więc zwolniony od obowiązku śledzenia „dykcji poetyckiej” obu autorów (z którym to wyrażeniem wytrychem konkurować może tylko „aparat pianistyczny” używany przez krytyków muzycznych, kiedy nic sensowniejszego nie są w stanie o odsłuchanym wykonaniu muzyki napisać). Zamiast tego dwa cytaty. Być może zachęcą kogoś do zajrzenia do tomików tych autorów.

*Przed nowym domem pliszka
siwa budowała gniazdo.
Śpieszyła się, rywalizowała z majstrami.
Ona chciała zdążyć przed wiosną,
oni przed fajrantem.*

(Sławomir Stalmach, to jego cały wiersz *Przodownicy pracy*).

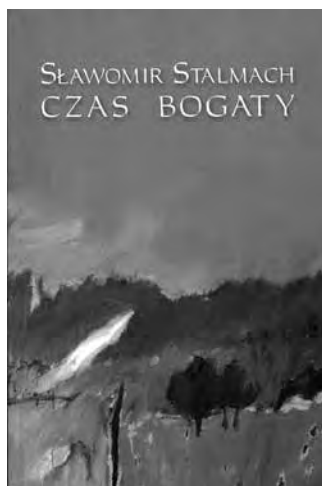
*Przypomniało mi się świetliste wrześnieowe popołudnie.
Bóg siedział za szybą autobusu.
Widział dwie dziewczyny śmiejące się, tańczące na ulicy,
jedna z nich zachorowała wkrótce na białaczkę,
a druga została z dzieckiem bez grosza.
Szły w świetle, zachwycone, szczęśliwe.*

(Krzysztof Biernacki, druga zwrotka wiersza, którego tytuł to data 4.07.89).

Jan Strękowski



Krzysztof
Biernacki
Zestaw dla ludu
2017



Sławomir
Stalmach
Czas bogaty
2017

Janusz Andrzejczak

Pustka

Gdy wyszłaś
motyl na fotografii
spłowieł zmarniał
by go ożywić
kromką chleba z wczoraj zeszlą
anioły na balkonie podkarmiam

Do stołu przysuwam krzesło
na którym siedziałś
jeszcze kształt zachowało
i ciepło
twojego ciała

Jeszcze herbatę wypijam
przez ciebie zaczęta
świeca na stole mija
gaśnie jej tętno

W cukiernicze ubyty
na dwie łyżki cukier
piórek gęsich w torebce
rozproszony pukiel
złuszczona z paproci
na podłodze łuska

Pustka
pustka
pustka

Umiem

Umieram w tłumie

Ale za to
za to jak nikt już dziś
skarpetki pocerować umiem

Umiem wodę uzbierać z kropel
po liściu skapujących skąpo
umiem mus z dzikich jabłek zrobić
i kompot

Umiem w lasu szumie
tupanie mrówki usłyszeć
z trzciny zrobić szałas umiem
umiem zobaczyć ciszę

Na rzeczywistość
mam zawsze z sobą
scyzoryk sznurek zapalniczki
na wszystko co nią nie jest
marzenia mam z sobą
i bajki

I jeszcze
jeszcze sprawiać umiem
że cały sobą w lesie jestem
a las
las cały sobą
jest ku mnie

Janusz Andrzejczak

Jerzy Binkowski

Ukochanie

Ukochanie od wieków
ze szczególnym upodobaniem przychodziło ciemną nocą
jego twarde dłonie
podczas dnia nurzane w specjalnie nawilżanej ziemi
w poszukiwaniu
miejsca odpowiedniego na korzonki pszenicy i prosa
później obliżywane
przez spragnione a pogodnie brykające jagnięta
teraz odpoczywały
na jej delikatnie puszystych piersiach
nasączonych
tkliwie i słonecznie jak dojrzały owoc pomarańczy
z którego wysuła on
ziarenka ożywczym sokiem spływające
kropelka po kropelce
po jej tak przychylnym łonie
i jeszcze
trzymając razem uchwyty amfory
pełnej słodkiego wina
z daktyli i masy figowej z cytryną
przesuwali na przemian
do wąskiej szyjki nienasycone usta
aby spijać nektar
cudownych owoców ziemi i trudu rąk własnych

Na śnieżnobiałym kobiercu

Na śnieżnobiałym kobiercu ona czarnowłosa
od pierwszej chwili na wyciągnięcie ramion

Szyby drżą pojękując w ramach spętane
i wargi ich ciepłe jak bochenki chleba

Czule natchniony wysupłał z jej płatków
tę moc wytrwałą idącą poprzez lata

A ona w milczeniu tajemnym
zebrała okruchy podając mu pełen kosz

Jerzy Binkowski

Małgorzata Iwanowska-Ludwińska

Lato

Zielone, lśniące liście bluszczu
na murach basenu.
Fasada w duchu modernizmu
przecięta schodami
transatlantyckie kształty odsłania z wysoka.
Przeszklenia, owal burty,
swing drżący z balkonu
aż białe furażerki rytmicznie się kłonią.
Niżej, w petuniach i sitowiu
tańce na parkiecie,
pośród białych stolików ery międzywojnia.
Bezkresy słonej wody,
szare skrzydła tężni,
śródziemnomorskie raje ze złocistą plażą.
I wszyscy przedwojenni ludzie,
których dawno nie ma,
smukli i opaleni, w strugach solankowych
śmieją się głośno w słońcu,
w pulsie dni radosnych,
gnających w rychłą nicość,
w ciszę bez odwrotu.

Stara kręgielnia

Drewnianą tę budowlę
zdobią stare gonty.
Drzemie w ruchomym cieniu lata
i w zielonych mchach.

Wokół fruwały piłki
z włochatego filcu,
odbijane przez panów
z przedwojenną gracją.

Za siatką, na parkowych ławkach
siadały ich żony
i wiotkie córki z warkoczami
z kołami do sersa.

Czerwony pył na korcie
wzbijał się co moment
i lśniły linie z białej kredy,
wąż ze strugą wody
i opalone ramię opiekuna kortów.

Promienie przenikały skosem
przez dębowe liście,
aż spadały zielone żołędzie
w aksamitną trawę.

Z błękitnej dali parku
dobiegło kukanie,
bo mieszkał tam w gęstwinie
ptak z darem proroczym.

Z tyłu kręgielni wiało żarem
w słonecznym upale,
od pól z tężniową perspektywą
w porze sianokosów.

Zniknął gdzieś potem tenis
przedwojennych warszawiaków,
sesje rzutów w kręgielni,
warzelniane tory
i pastelowe cienie
pod prastarym dębem

Małgorzata Iwanowska-Ludwińska

Andrzej Tadeusz Kijowski

Marzenia

Modliłem się o łatwą śmierć
A ona lekko przyjść nie chciała
Wisła i most jak w niebo żerdź
Rozgrzany beton, drżenie ciała.

Spoglądam na ten praski brzeg
Wzrokiem powstańca: Miasto płonie
Z popiołów skwierczy duchów śmiech,
Nie ma już nas po żadnej stronie

Nie ma języka, nie ma słów
I nie ma też do życia środków.
Pomiędzy ludzi wdarł się rów
I tętni grad gubionych podków.

Modliłem się o trudny los
A on oddala się od brzegu.
Z rafą ominął się o włos
I nie zamierza ustać w biegu.

Ten nadwiślański spacer długi:
Z ojcem brodziłem po piasku.
Kamyk na wodzie znaczył smugi.
Kaczki puszczone o brzasku.

O marzeń śmierć modlę się w głos
Ostatniej nadziei odejście.
To mi Syrenę zsyła los
Z podkową złotą – na szczęście.

Bobry

Powrót do ojczyzny z Kazachstanu

O czymże dumać w stepach – przed odjazdem
 Patrząc na Polski migocącą gwiazdę,
 Że jeszcze nie wiesz czy w górę wystrzeli,
 Czy jak kometa – zgaśnie i spopieli
 Marzenia nasze, o swobodnym kraju.
 Bez wojsk sąsiedzkich, złodziejskich zwyczajów.

Biada nam bracia, żeśmy w czas odnowy
 Miast porty chronić – brali się za głowy!
 Gdy sąsiad każdy rósł w siłę, w dostatki,
 Tu swary, wzgarda, na koniec: „wypadki”...!

Dziś jedna pustka: od Wisły do Chiwy.
 Ten sprzęt kitajski, te włoskie oliwy.
 Te bloki szare, pojazdy jednakie.
 Rzeczy z plastiku, a z proszku przysmaki!

Tak! Do Ogródków moich nie plewionych
 Jadę. W tęsknocie wciąż nieukojoyony.
 Bo dziś, gdy w kraju chcę wskazać grunt żyzny
 Prócz tych facecji – nie znajdę ojczyzny.

To ku nim wracam marzeniem i myślą!
 Precz step! Pustynie – pod wędną wiśnią!
 Też do rodaków, co jak gryzoń rzeczny
 Tną korzeń drzewa – w czas tak niebezpieczny!

Tak! Do tych bobrów nad Bugiem ojczystych,
 Dolin, łąk, skwerów kwitnących, przeczystych.
 Do Polski, którą widzę jeszcze w biegu,
 By wały wznosić i stromych strzec brzegów.

Zamek

Dla wnuczki oficera Wojska Polskiego

Bawić się słowem? Szarady układać...
Gnać w ostęp wietrzny, a w wieczność nie wierzyć.
Języki własne tworzyć, z Hewrą gadać.
I w imię Ojca nie mruczeć pacierzy.

Językiem Marksa, Zoli czy Ibsena,
Wrogą judaszom Orzeszkowej mowę,
Spisać nędzarza los. Jakaż gehenna!
I jakie dla niej znaleźć giętkie słowo?

Język nie służy już i dykcja nie ta,
Gdy szkorbut zjadł dostatek mej wymowy.
Chłód ziębi krew. Bezgwiezdna noc bezsenna.
I tylko gniew swym żarem grzeje głowy.

Już braknie słów, metafor, cudzysłówów.
Poezji prostej chcę jak krzyk komendy.
Łez nie będziemy łać, przeklinać wrogów.
Zmienimy zamki w drzwiach. Przegnamy mendy!

Andrzej Tadeusz Kijowski

Gabriela Kurylewicz

Piosenka morska

Dokąd jestem ja,
dokąd jesteś ty,
mamy wspólne myśli,
mamy wspólne sny.
Nie o to chodzi,
że śnimy to samo.
Ty zasypiasz wieczorem,
ja wcześniej rano.
Ty łykasz asertin,
ja węgierskie wino.
Ważne jest to,
że mówimy do siebie.
Trzymamy się słów
wierszy, opowieści,
muzyki, która istnieje
na ziemi, na niebie,
we wszechświecie,
w filozofii i pamięci.
Na przekór groźnej
burzy snujemy
plan podróży
wśród zamieci
okrętem.

4 II 2018

Św. Roch i pies

Idzie drogą św. Roch,
zbiera z ziemi nieszczęść proch.
Ma dratwę, wór, mądrego psa
i razem tworzą – cuda.

Próbują. Z czułością,
myślą, odwagą, troską
życzliwie naprawiają
konstrukcję nieboską.

Ratują zwierzęta,
lasy, łąki, rzeki –
i ludzi zbłąkanych,
starych, chorych.

Wydobywają z dna
spłukanych do cna.
Wspierają, budują,
reanimują – !

Św. Roch jest poetą,
filozofem pies.
Dlatego się ich boją
złodziej, tchórz i bies.

5 X 2017

Modlitwa do Anioła Wierszy

Dźwięczny, melodyjny hołd
morzu,
drzewom
i zielonym łąkom,
niech anioł moich wierszy
niesie do nieba.

Niech będzie ostatni,
niech się nie ściga
z tchórzami, egoistami
i oportunistami,
którzy dla sukcesu
lekceważą dobro.

Niech mój anioł poezji
będzie szczodry,
wielkoduszny,
niech służy muzyce,
niech trzyma się prawdy,
niechaj pamięta,
że nieskończone są drogi
do piękna.

Niech będzie czuły
dla zwierząt,
życzliwy dla ludzi,
niech gospodaruje
natchnieniem rozmyślnie.
Proszę, niech lubi słowa,
niech czyta odważnie
Platona.

3 III 2018

Droga do piękna

Rury
w rurach dziury
w dziurach w rurach
smród, szczury
i szczurów król
bury.

A na niebie?
Na niebie sznury
ptaki i chmury
ciekawe.

Za chmurami
Słońce.
I widać więcej:

światliste końce

Rzeczywistych
zdarzeń
pomyśleń
i marzeń.

Przytomne ucho
dojrzy, usłyszy
w ciszy
kosmiczny ogrom.

O ile
nie przeszkodzą
rury procedury
i siostry: Zawieść
i Bezdusznosc.

16 I 2018

Gabriela Kurylewicz

Jerzy Marciniak

gasnąć w płomieniach

*pamięci Marka Brymory,
poety z Kalisza, który odszedł
samotnie na drugą stronę Prosnę*

nad ranem
w chłodnej mgle
wypełzył płomyk
z wygasłego ogniska

byłem sam
obok czyjeś słowa
i szepty
biegnące gdzieś
tam

na drugim brzegu
była czern
i on
odchodzący wcześniej z pierwszym mrokiem

śpiewana przez nas pieśń
jeszcze raz
ożyła

widziałem też
jak
jego twarz
między płomieniami
znikała wracała
błądziła

miałem iść
lecz

zostałem żeby zostać
na noc
następny dzień
może wieczność

otworzyło się rdzawo
losu wieko
widziałem przeznaczenie
wczorajszy nasz śmiech
i jakby
ostateczność

szczęście zdradę
i
deszcz złotych monet padający
jak
raz było to blisko
a potem znikало
gasiło naszą jasność
i
gdzieś daleko zorze odeszłe
wybielało

a
tuż tuż
stała nadal
jego nieobecna postać

wygasłe polana płonęły
jasno

i było tak
jak kiedyś powiedział
że

one nigdy nie zgasną

Piotr Müldner-Nieckowski

A więc widzisz

A więc widzisz to samo co ja
Nie odwracaj się niech one nie widzą
że je widzimy jak je Pan Bóg stworzył
ubrane tak jakby nie były ubrane
śmieją się tak że i nam chce się śmiać
rozradowanym tak zachęcająco
że piękny jest dzień choć od rana leje
i wiatr nam zabrał z rusztowania
ostatnią flaszkę piwa...

kiedys przecież przyjdzie jasność
i będzie nas stać na wino
bo my widzimy piękne dziewczęta
coraz wyraźniej i jest nam coraz lżej
mimo że tyle jeszcze przed nami
przy budowie dachu żeby było lepiej
w domach które kiedyś też staną
gdy już te dachy będą...

Cenzura jest nadal

A dziwne, bo przecież nie rządzą.
A widzisz, jak drzewom dorabiają sztuczne liście?
Trzeba dać prawdziwe, przecież idzie wiosna,
a oni nadal z tylnego siedzenia
sterują twoim niedomysłem, kręcąc korbą w lewo,
choć to nie ich klimat, lecz chwilowy wykręt.
Poustawiali cichcem nowe straże słowa,
by i następnym kłamać, kto tu ma prowadzić,
abyś nie mógł pisać, cenić i głosić.
Abyś nie mógł nadawać swej terminologii

mózgom przegnitym antychrześcijaństwem,
co nie czują, że serce bije dla nich właśnie:
„patologia czułości” – tak ci odpowiedzą.

Więc nie uwierzą w żadne twoje misje,
a przecież pod Wisłą druga Wisła płynie.
Ludzie się przesiadają jak na stacjach metra.
Jedni błędzą nieprzytomnie po powierzchniach,
inni już walnie schodzą do łodzi sumienia
i setki ich płyną, by z rękami w górze
wyjść z cienia z opatrunkiem porad,
aby je przyłożyć na źródło krwawienia.

Alicja Patey-Grabowska

Opowiedz miłość

Opowiedz miłość –
 Tak w wieczorny taniec
 zaplatał się wąż.
 Szepnął Ewie:
 – Jabłko
 Adamowi:
 – Kęs
 I żółta nienawiść
 jak skóra cytryny
 pokryła ich oczy.
 I w czerwonej fali
 narodził się Kain
 na pohybel.
 Opowiedz miłość.
 Nasze głowy białe.
 Może anioł tym razem zagości?

Wiosna z podtekstem biblijnym

Już drzewa wstydliwie
 przykryły nagość
 jak Adam i Ewa
 po zjedzeniu jabłka.
 I miłość rozkwitła
 feerią barw w raju
 dając początek
 ludzkiego rodzaju.
 I tak do dzisiaj
 szaleni kochaniem
 z wiosną pod rękę
 i za rękę z majem
 idzie Adam i Ewa
 pod szpalerem wiśni
 kwitnących białym puchem.

Które tylko we śnie
można przykryć ich ciała
figowymi liśćmi.

Natchnienie

Można wykrzyczeć ciszę
wezbraną falą
która ogarnia ciało
od stóp aż po brzegi powiek
Muzyką przestworza
wypełnić to
co ukryte w myśli
zakamarkach
Czy to natchnienie?
Czy tęsknota?
Za czym?
Nieuchwytnie
ulotne
a także zmysłowe
jak zarys rzeźby
w nocy
Dawid –
Michała Anioła
Człowiek –
Leonarda
Rozedrgany upał
powietrza w Prowansji
który jak świder w mózgu
Wincentego Van Gogha
Można wykrzyczeć ciszę
śpiew milczenia w chórze
harmonii gwiazd galaktyk
Sfer niebiańskich
w wierszu
który rodzi się we mnie
i rozpościera skrzydła
jak ptak

noc 11 marca 2018

Maria Jolanta Piasecka

haiku

* * *

wiosenna plucha
otwiera parasol
dla dwojga

* * *

śnieżny poranek
kilka bezdomnych kotów
prosi do środka

* * *

wiersze Basho
na odkurzonej półce
wiosenny błysk

* * *

pod śmietnikami
straszny tłok – kielki trawy
nowe wyłazą

* * *

wyprawa dzieci
pilnie szukają wiosny
ślady stóp

* * *

gwiazdy bledną
wierzba obsypana
kotkami

* * *

zziębnięty żuraw
poddaje się wiatrowi
postać w tańcu

Baśka eR.**to już niczego nie zmienia**

niczego już nie potrzebuję
brakuje przestrzeni
na pogodę ducha
śmierć kocha zacieśnianie
pętli na szyi
czy milczymy
czy już o nic nie pyta
dobrze było do momentu
wielkiego wybuchu
nadwiewa nadużycie
wyłania z chaosu
pogrążonego w ciemnościach
ale ból egzystencji
jest zbyt ludzki
człowieczeństwo to
jedna wielka ściema
gdy to czytasz przyjacielu
odnajduję spokój
lecz i to nie jest pewne obok czarnej dziury
jest kosmopolityczne
piekło samotności
cieszę się
bo po mnie już nic
wraz ze mną

Krzysztof Saturnin Schreyer

Wrony

Ach, nasze wrony, te moje wrony –
 temat to stary i zakończony.
 Lecz cóż... Ja na to nic nie poradzę,
 że w chłodną jesień wronich zgromadzeń
 na nagich drzewach wokół jest tyle.
 Przystaję cicho na dłuższą chwilę
 i słucham krakań symfonii całych,
 dźwięków braterskich, niezrozumiałych.
 Wrona do wrony, grupa do grupy,
 zajmują drzewa, druty i słupy,
 w przerwie się moszczą podczas podróży,
 jedna przy drugiej, w ferworze dużym,
 bo wkrótce wielki pochód powietrzny,
 kierunek jeden, a cel bezsprzeczny.
 Lecą. Ach, jakże rozumiem wronę,
 tę co spóźniona, szarym ogonem
 steruje nisko, na nic nie bacząc –
 leci do swoich, donośnie kracząc.
 – Ja tylko z wami dobrze się czuję,
 nie uciekajcie, już dolatuję.
 W mojej pamięci prawdy niezmiennie –
 wrony są mądre, wrony są wierne.
 Pamiętam nasze późne pochody –
 gdzież wronia przyjaźń i pęd do zgody?
 Jakoś nie dziwię się tym, którzy sami
 ruszają w podróż w dal za wronami.

1 XII 2017

Gra fair

Pamięci T. Mackiewicza

Chłód, ciężar, brak oddechu, wokół śnieżne skały,
szczyt wisi tuż nad głową, inne hen w oddali
i przestrzeń tak wyraźna, cisza w wiatru ścianie,
krok każdy jest jak mila, chwyt ręki – zmaganie.

Skąd ta radość z udręki, skąd ta lekkość w duszy,
skąd pasja, skąd wytrwałość, której nic nie skruszy,
której, choć śnieg oślepia, nie sięga zwątpienie,
bo przed wzrokiem zamglonym majaczy marzenie
i cel w walce, tej z sobą i światem milczącym,
wyniosłym, niedostępnym i wyzywającym,
ale czystym, bez zdrady, bez grzechu i winy,
bo choć groźne, to znane są i rozpadliny
i skały załamania i śniegi i lody.

Wszystko fair! – Wszak uczciwe są wielkie zawody
między własną słabością, górą i marzeniem,
opłacane najwyższą ceną, bo istnieniem.

Nic nie widać po wielkim na szczycie widoku,
puls bije, nie odróżnisz już światła od zmroku,
nogi drętwe i zimne i senność ogarnia...

Nie współczujcie, łagodnie odchodzi męczarnia,
ciało jest tylko ciałem, wkrótce skamienieje,
nieważne, co na świecie, co w mediach się dzieje,
jeszcze ostatnie myśli, że zdobył, zwyciężył,
a po nim – przyjdą inni, szaleni i męzni.

Bał się, jak każdy, śmierci. Ona nie wybiera
i swe plony obfite z każdej gleby zbiera.

Czy marzył, że nie spotka jej w pełnym szpitalu,
ale w białej świątyni wielkich Himalajów?

2 II 2018

Jerzy Seipp

Tryptyk bolesny

Część I

Zgubiono – znaleziono

[*The lost property poem*]

przypomnij sobie:
daleko, bardzo daleko temu
(dwie i pół godziny BA 690)
życie tak zwyczajne
że przestało być rzeczywiste
zacieki pamięci
że przecież nie zawsze tak było
świadomość panowania nad wszechświatem
ten wyższy stopień
gnoza bezsensu

przypomnij sobie:
codziennie podejmowane próby
na bieżąco
złudzenie że bez złudzeń
bez wiary
bez nadziei

mój brak zdecydowania
twoja pierwsza decyzja
mój strach strach strach
twoja ciekawość

przypomnij sobie:
pierwsze lękliwe słowa
nieśmiałe plany
pierwsze obawy
że to chyba nie tak miało wyglądać
pierwsze radości

że życie znowu zaczęło być życiem
początki moralności
która dzisiaj straszy nas po nocach
po angielsku
mimo że sobie wierzymy

tak
żmija we własnym łonie to żart
bo ukąszenie jeden raz
może być tylko
wybawieniem
rozbiliśmy wszystkie mury
które pomiędzy nami stawiano
przez dwa tysiące lat
zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej
budując mały wszechświat
na własny użytek

nie było to trudne
brak Boga który by temu przeszkodził
brak prawdy która okazałaby się
niemożliwa do rozbicia na
małe cegiełki kłamstw
odebraliście nam
najświętsze prawo każdego dziecka
prawo do szacunku
a kiedy nasza gładka niemowlęca pupka
pofałdowała się w szare zwoje mózgu
wywołaliście nam wojnę

zbudowaliśmy więc swój mały wszechświat
na własny użytek
ale niewiele mogło się w nim zmieścić
oblężeni ze wszystkich stron
powoli zaczęliśmy umierać
trudno opisać przebieg tej wojny
przegnani chrześcijańskim fałszem
zostawiliście nam tylko wspomnienia
gwiazdkowych prezentów

wymarliście w nas jak dinozaury
bez śladu bez żalu

po waszym trupie
usiłujemy odnaleźć światło
ale wszystko co nam zostawiliście
to noce
w których straszy po angielsku
bezbronnie dzieci
z zaciśniętymi pięściami
wmawiając sobie wierzę
pełni nadziei
powtarzając kocham
podejmujemy ostatnią próbę

wędrujemy
do obiecanej ziemi
(dwie i pół godziny BA 690)
wierząc – kochając że to tylko strupy
które zejdą bez śladu
że to nie gangrena
która zabije
że to wszystko po to
żeby nasze dziecko
nie musiało budować nowego wszechświata
na jedynie własny użytek

wierzmy
mamy nadzieję
kochając
oszukaliśmy was
żeby przeżyć
będziemy oszukiwać
żeby żyć
i jedyne co chcemy zapomnieć
i jedyne czego wam życzę
to nocy w których będzie was straszyć po angielsku

Jerzy Seipp, sierpień 1981

Jerzy Śleszyński

Zemsta nietoperza

*Talmud podaje, że w siedem dni po śmierci
hipokryta staje się nietoperzem*

Isaac Bashevis Singer

Ostre zęby
pozostaną
żeby kąsanie było wciąż możliwe
także nasłuchiwanie
skuteczne i ultradźwiękowe
żeby wiedzieć kogo i kiedy
nawet po ciemku
przyczepne pazurki
jak za życia
raniące do krwi

ale szczególna rola przypada
cienkiej i ukrwionej błonie
która rozpina się między prawdą a kłamstwem
każde zdanie o własnej krzywdzie
każde zdanie o podłości innych
jest jak powietrzna poduszka
która unosi i dodaje wiary
porywa i zmusza do taniej bufonady
to nie młodość to egotyzm i próżność
doda im skrzydeł

aż strach pomyśleć
jak za kilkanaście lat
wypełnią się mroczne zaułki na Wiejskiej
zakamarki redakcji pism i telewizji
nie przejdiesz bezpiecznie ulicą
to już nie będzie ten sam ekosystem
święto narodowe lub zebranie emerytów
wypełniać będą nurkujące bezszelestnie
lądujące cicho we włosach
mściwe nietoperze

Dobrze już było

Ojciec Klimuszko
podobno
niechętnie ale i filuternie
odpowiedział na pytanie
o przyszłość Polski

niepewny rok 1989 zaledwie się zapowiadał
co będzie kiedyś tam
było wtedy
jak gwałtowny ruch gigantycznych pagórków na niebie
jak nieustanny komunikacyjny wizg przy autostradzie
jak mleczna mgła trwająca od poranka do południa
możliwa była erupcja wulkanu przemocy
prawdopodobna była długa paskiewiczowska noc
zamki na piasku wciąż stały
ludzie spieszyli się do pracy a dzieci biegły do szkoły

nikt nie pojął wtedy pytyjskiej przepowiedni
człowiek wrażliwy na wszystko odpowiedział
„będzie dobrze
będzie bardzo dobrze dla Polski
przez najbliższe 25 lat”

Ryszard Sobieszkański

Most świętych

Święci na mostach
są wzorami tolerancji
i są najbardziej dekoracyjni.

Ale to ludzie
niecierpliwi i obcy sobie
spieszący codziennie przez mosty
do pracy do miłości
mają w sobie świętość
Prawdziwą.

Kasbergskie lipy

Duch drzewa
podparty
o kule stuleci
przygięty
opiera się na przemijaniu

Umieranie
potrzebuje czasu

Miejsce zabaw i straceń
omijane w skupieniu
zakorzenione bardziej w niebie
niż w ziemi

Stary pomnik śmierci
zielony cień
nieskończoności

Sprawozdanie o sytuacji poezji

Poezja
pisze jakiś polski poeta
to lot ćmy
do gwiazd

Sytuacja naszej fauny motyli
donosi Bawarskie Ministerstwo Ochrony Środowiska
odznacza się
ciągłym spadkiem
populacji

Jezioro Ohryd

Ryszardowi S.

Jezioro
jak sprana na niebiesko kurtka.
Stary mężczyzna klęczy pochylony
wyrywa w pocie czoła zielsko
spośród kwiatów
i od czasu do czasu podnosi ku twarzy
różę –

Odetchnąć
pięknem –

Andrzej Stembarth Sawicki

Znaki

Jasiowi Burnatowi

Znaki powietrzne
jaskółki je czytają
z wielkim polotem

Znaki ogniste
zapisane na Słońcu
czytają mędracy

Znaki na ziemi
odczytują je ludzie
z wielkim mozołem

Znaki na wodzie
odczytywał stary karp
ale już umarł

kiedyś żywioły
miały tylko jeden znak
nikt go nie czytał

październik 2015

Rondo con variazioni

na białej grzędce
nietkniętego papieru
sadzę haiku

sadzę haiku
jeśli dobrze wyrośnie
zbiorę poemat

zbiorę poemat
zanoszę sprzedać w mieście
i kupię buty

gdy kupię buty
pójdę bardzo daleko
zobaczyć ludzi

zobaczę ludzi
wrócę szybko do domu
posłuchać ptaków

posłucham ptaków
napiję się herbaty
pomilczę troszkę

pomilczę troszkę
trójwers haiku wszędzie
na białej grzędce

Kazimierz Świegocki

Do nienarodzonej

*Zanim ukształtowałem cię w łonie matki,
znałem cię.
Jer 1, 15*

Jeszcze mieszkasz w świetle u Wieczornej Zorzy,
złotą chryzantemę jesień ci zapala,
nad próżnią dla ciebie pochylona matka
klęczy nabożnie, baśnie opowiada.

Zima ci rzeźbione zwozi srebra w darze,
trzej krukowie niosą mirrę, welon ślubny,
róże upina paw błękitnooki
w chłodzie Gangesu u indyjskich magów.

Wszystko jest dla ciebie – każdy pająk złoty,
każdy szczegół świata w zmienności i trwaniu,
pałac z kwiatów woni, świątynne ogrody,
gdzie Drzewo Rodzaju pije wieczną wodę.

Księżycu wierzę, że jedzie narzeczony –
do ciebie Królowo z Kraju Możliwości.
Nie kryj się przeto w rozlewiskach luster,
nie ujdiesz życia, jak nie ujdiesz cienia.
Masz różę-berło, w drugą rękę sowę,
ślubną wiązanekę i męża z kamienia.

Znaj, co Konieczność nakazuje królom,
a co pająkom, co zaś krnąbrnym lasom.
Panować musi nad sobą, kto z Panem
bywał tak możliwym w Kraju Możliwości.

Jeszcześ w zwojach światła schowana u Słońca,
jeszcze nie ma ciebie. A już wieczorami
płaczesz w mrok sypialni i widzisz, jak z próżni
był twój się rodzi i ludzki bierze kształt.

1966

Ciało

*Nędzny ja człowiek!
Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?*
Rz 7, 24

A jednak, ciało, tyś jest mięszem rzeczy.
W tobie sensu dochodzi sól, pszenica, woda;
ciemny wiatr krew prowadzi wąwozami tętnic
tam, gdzie gwiazda się pali nad słońca zachodem.

Ty jesteś, ciało, ziemią obiecaną
idącą kołem w ślad za naszym głodem.
Kto głód zrozumie, temu zapisano
całą tę ziemię w nagrodę.

A kto zrozumie wiatr w wąwozach tętnic
idący tchnieniem krwi, i kto krew pojmie,
temu ziemia w modlitwie i obłędzie
objawi się jak mit
i Boga dziwna przypowieść.

I weźmie ziemi garść – swe ciało – w drżące dłonie
i będzie niósł jak najcenniejszą z rzeczy
tam, gdzie Wielki Ogień je pochłonie
i rozsądzi archaniola mieczem.

1964; 1975

Zwierzęta zodiakalne

*Wiemy bowiem, że całe stworzenie wespół wzdycha,
wespół boleje aż dotąd.*

Rz 8, 22

Nagle niebo pierzchało w popłochu,
gwiazdozbiory leciały stadami
na południe, gdzie Krzyż nawoływał:
„Eli, Eli, lama sabachtani!”.

Ubywało nieba w sercach zwierząt,
gdy w imiona zaklęto im ciała,
więc beczały na łąkach niebieskich,
gwiazdy z oczu do stóp im spadały.

Jak stąd odejść, jak wymknąć się z orbit
na doliny, gdzie rosną paprocie.
W gwiazd korzeniach coraz to mniej wody,
więcej krzyku w śpiewie światła płynie.

Kołowało niebo nad próżniami,
szept zwierzęcy kolebał je do snu,
aż się w nocy niebu przyśnił piorun,
jasny piorun, co w poprzek je rozpruła.

I runęły na oślep gwiazd rzeki
szukać brzegów dla swojego żalu,
a spotkały płacz zwierząt kaleki,
co się od nich na zawsze oddalał.

1965

Kazimierz Świągocki

Janusz Andrzejczak

Na skraju brzeziny mgła

(część pierwsza)

Zamieszkał w małym, drewnianym domku na skraju brzeziny. Był w nim zbity z desek stół, stare krzesło, szafka i łóżko z siennikiem. Wszystkie te dawno nieużywane sprzęty miały z kilkadziesiąt lat, bo półki w szafce wyświetlały gazety jeszcze z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Kafłowa kuchnia i piec, stanowiły jedno. We wnęce pod piekarnikiem, w wiklinowym koszu, leżały zapajęczone brzoźowe polana. Po oględzinach okien i ścian doszedł do wniosku, że zimy tu nie przeżyje. Wprawdzie szyby były całe, ale wiatr świstał w szparach okien, drzwi się nie domykały, a przez kilka dziur w ścianach można było swobodnie włożyć rękę. Rozdrobnione szmaty, liście i sucha trawa, zgromadzone w kilku miejscach świadczyły o tym, że będzie miał przez jakiś czas współlokatorów w postaci kun, tchórzy, łasic, może i wędrownych szczurów. Posprzątał ile się dało. Brzoźową miotłą pozgarniał jakieś skorupy, zardzewiałe garnki, pierze z rozdartych poduszek i kołdry, papiery i tym podobne śmiecie.

W jednym miejscu musiał przeciekać dach, na co wskazywały przecieki na niskim suficie.

Z paleniska i popielnika powygarniał popiół. Do rury łączącej piec z kominem włożył palne śmiecie. Miał doświadczenie, bo ponad dwadzieścia lat mieszkał na wsi. Podpalił. Dym błyskawicznie rozniósł się na całą izbę, a anemiczny ogień pełgał, pełgał, aż zgasł. Otworzył drzwi i oba okna, z których jedno nieomalże wyleciało z wnęki. Jeszcze raz włożył gazety, raz jeszcze podpalił. Ponownie zakopciło, zakopciło i zgasło. Papierów na trzecią próbę już zabrakło. Wyszedł przed szopkę i zobaczył suchy jałowiec. Wiedział, że nie da się go ot tak sobie złamać, więc wyszperał z plecaka nóż, który zawsze miał ze sobą. Był ostry i dość ciężki, jednak musiał uderzyć kilkanaście razy, zanim gęsta, ruda od suchego igliwia gałązka oddzieliła się od krzewu. Ostre igły boleśnie pokłuły mu palce. Do rury włożył jałowiec przez szmatę. Podpalił. Ogień natychmiast buchnął mu w twarz, cofnął się, znów buchnął na niego i znów się cofnął, jakby na chwilę przygasł, nagle zasyczał, zapłonął prawie bezdymnie, po czym coś zassało w kominie i wszystko, co było w rurze, zniknęło w gardzieli komina.

Nawet nie zauważył, że na dworze zapadła już noc. Włożył do paleniska resztę jałowca, na to kilka gałązek, na wierzch grubsze polana i wyszedł przed dom, by zobaczyć dym z komina. Nieskończoność iskier buchała w niebo układając się w gwiazdne konstelacje. Spojrzał jeszcze na dom starowinki i ujrzał nad nim to samo: z komina sypały się w niebo gwiazdy i gdy już miał za sobą zamknąć drzwi, wykulał się z na niebo pełny, srebrniutki księżyc.

Zanim poszedł spać, jeszcze wytrzepał przed drzwiami siennik i pościel, ukrytą w skrzyni pod łóżkiem. Wszystko to, z powodu starości, zawilgocenia i brudu nie nadawało się do spania. W dodatku, w sienniku wyczuł puste miejsca, zapewne labirynty chodników jakiegoś małego zwierzątka.

Tak jak się spodziewał, w nocy budka ożyła. Coś chrobotło, szeleściło, prychało i biegało. Wziął więc swój plecak, rozłożył pod pierwszą napotkaną grubszą brzozą przeciwdeszczową kurtkę, zapakował się w śpiwór i zasnął.

Obudził się w oparach tak gęstej mgły, że nie był w stanie zobaczyć ani jednego drzewa, ani nawet swojej ręki. Widział tylko mgłę, oddychał mgłą, opierał się o mgłę.

Jeeesteeem... – wyszeptał kobiecy głos za nim.

Nie wiem dlaczego, ale wie pani...

wiesz... wypatrywałem cię w tej mgle. Cały czas na mnie patrzyłeś...

Jesteś nią, tą mgłą?

Taaak...

O czym dziś porozmawiamy?

O tym, jak masz tu żyć, jak sobie radzić.

Poradzę sobie. Nieraz byłem w podobnych sytuacjach.

Tak, wiem, tyle tylko, że wówczas wracałeś, miałeś do czego. Teraz, jesteś pustelnikiem. Pozostaniesz tu na długo, może na zawsze.

Uświadomiłaś mi, że ani razu nie przyszła mi myśl by wracać. Chcę tu pozostać. Tylko czy dam radę...

Zadbam o to.

Jeśli mam być pustelnikiem, nie mogę być od nikogo zależny.

Naprawdę myślisz, że przeżyłbyś odżywiając się grzybami, ziołami, owocami i korzonkami? Bardzo niewielu pustelnikom to się udało, przeważnie ludzie przynosili im jedzenie. Niewiele tego było, zaledwie głodowe racje, ale dzięki nim mogli przeżyć.

Komu się udawało?

Mistykom, karmiącym się słowem bożym. Może i ty nim będziesz, ale to nie jest takie łatwe.

Nie wiem czy moja wiara jest aż tak mocna...

Odpowiedzi już nie usłyszał.

Nagle z mgły wyłoniła się jedna, ta najbliższa, później następne brzozy. Dokładnie widział, jak drzewa wciągają, zasysają w siebie tumany mgły. Zaszumiało w koronach. Jeden jedyny słoneczny promień słońca przeniknął przez nie i jak złoty dukat upadł do jego stóp. Po chwili były tych złotych plam setki, tysiące i setki tysięcy. Schylił się po ten pierwszy. Dał się chwycić, zamknąć w dłoni i schować do kieszeni.

Z dna brzeziny wstawał dzień.

Otrzeptał się z resztek mgły i ruszył w kierunku domku. Gdy do niego dotarł, nacisnął klamkę, ale coś stawiało opór. Na progu stał wiklinowy koszyk. W nim, biały ser, masło, chleb i kilka jajek, obok stał dzbanek z mlekiem.

Na pewno od niej – pomyślał.

W całym domu były jej ślady. Od sufitu, na sprzętach, powiewały pojedyncze kosmyki jej włosów:

babie lato...

I nareszcie nigdy i nigdzie nie było mu ciszej.

Janusz Andrzejczak

Teresa Bochwic

Literatura brukowa

Rynsztok

Uwaga! Obrzydliwe

Widzieliście rynsztok?

Pewnie nie. Ile razy mówię studentom czy nawet dużo od nich starszym ludziom o wyrażeniach rynsztokowych, o rynsztoku królującym na niektórych stronach internetowych, a nawet w mediach, a nawet-nawet w Sejmie, widzę puste spojrzenia. „Rynsztok” już nic nie znaczy, nikim nie wstrząśnie obrzydzenie.

A więc nie wiecie, co to jest prawdziwy rynsztok? Płynący nieczystościami wzdłuż jezdni i chodnika? Kiedyś były takie w każdym mieście, w Warszawie też.

Ci, co wyjeżdżali na wschód już po 1989 roku, opowiadali o ulicach Grodna. Chodniki były tam podobno wtedy z drewnianych żerdzi, przybitych do bali ponad powierzchnią gruntu, ciągle jak w XIX wieku. Mokie i śliskie w deszczu i śniegu, kolebiące się, zakleszczające bucik, gdy się żerdź obluźowała. Między brukiem a chodnikiem w niewielkim wgłębieniu płynął sobie rynsztok. Okropne miejsce. Płynęło tędy wszystko, co ludzie wylali lub rzucili na ziemię, i co nie zdążyło uciec przed rwącą w deszczu wodą. Papierki, drewnienka, zdechłe myszy, plwociny, zmietoszone prezerwatywy, skórki od jabłek, różne resztki. A przede wszystkim zawartość wiader z domów bez kanalizacji, a więc siki i rozmokłe kupy z brudnymi kawałkami gazet (a skądże by wtedy w Grodnie, za Związku Radzieckiego, papier toaletowy?), bo gdzieby indziej je wylać. Rano, po nocy, ludzie wynosili pełne wiadra przed dom i wylewali wszystko do rynsztoka, a to wszystko śmierdzące spływało sobie do kratki, do ścieków, ściekiem do rzeczki, do rzeki, rzeką do morza. W morzu łaskawym roztopiało się, nikło.

W Warszawie czy innych miastach, w Ciechocinku, Jeleniej Górze, Ustce, Zakopanem, w latach 50., powiedzmy, gdy byłam dzieckiem, były jeszcze rynsztoki, ale już małe. Co tam nimi mogło płynąć. Drobne śmieci, papierki od cukierków, deszczówka, gorąca woda po praniu wylewana z balii z mydlinami, więc właściwie były nawet czyste. Wieczorami



w lepszych dzielnicach przy migocących światłem rynsztokach stały prostytutki, bo przy krawężnikach instalowano latarnie. Mężczyźni, którzy kiedyś pluli dookoła na potęgę, z czasem jakoś przestali pluć; najlepszy dowód, że znikły tzw. higieniczne spluwaczki (metalowa miseczek i na niej druga wklęsła, z dziurką w środku, żeby ściekało, zdejmowana do mycia). Stały niegdyś na półpiętrach klatek schodowych, i w każdej restauracji, w narożniku sali, na podłodze. Pan przechodził, charknął sobie, zręcznie związał językiem w kulkę i spluwał do spluwaczki albo do rynsztoka.

*

Ale najlepszy widziałam w Istambule.

Istambu! Konstantynopol! Bizancjum! Europa ku Azji! Azja ku Europie!

W Istambule byłam we własnej osobie nie tak znowu dawno, ze trzydzieści lat temu, w kwietniu chyba 1978 roku, kiedy to dali mi nareszcie paszport, a w ambasadzie afgańskiej nie dawali wiz, bo „odbędzie tam

konferencja pokojowa i nie ma już miejsc w hotelach”, a następnego dnia była tam interwencja Związku Radzieckiego. Turcy za to dawali wizy turystom.

Rynsztok w Istambule (wtedy wszyscy jeździli do Istambułu po kożuchy albo bawełniane sukienki, ja też), rynsztok tam był krojony na miarę imperium otomańskiego. Krawężniki, niskie przy przejściach na skrzyżowaniach, były wzdłuż ulicy tak wysokie, że zapobiegały przechodzeniu w dowolnym miejscu. Może i na pół metra. Więc taki rynsztok mocno poniżej chodnika to już nie był kanałek, to był raczej kanion. W tym głębokim, otwartym korycie, niemal rowie, sporo się mogło zmieścić. A ulice w Istambule strome, kręte, z wysoka spadające.

Biegałam więc po mieście, zwiedzałam zabytki, oglądałam bazar, pod Aja Sofią odmierzano mi strzykawką po centymetrze gęste aromaty – prawdziwy chypre i ambre, za jednego dolara. Kupowałam ciuchy, które nareszcie na mnie pasowały, a nie rujnowały kieszeni jak zachodnie. Szyłam kożuszek na zamówienie, wyschnięty staruszek jechał ostrymi koniuszkami nożyczek po stronie skóry, nie niszcząc baranka; było gotowe już na następny dzień. Kupowałam biżuterię zrobioną z dziurkowanych turkusów z jakiegoś starego naszyjnika, zaklętych w koszyczku ze cieniutkiego złotego drucika, i srebrny pierścionek z otwieranym puzderkiem na truciznę. Odwiedzałam fabryczki złotych wyrobów za pancernymi drzwiami i metalowymi ścianami, umieszczone w połowie wysokiego wieżowca, żeby napad był trudniejszy. Jeździłam tanimi taksówkami z szybami podziurawionymi kulami mafii, zobaczyć azjatycką stronę; nad Dardanele! nad Dardanele!

*

Była pogoda, aż za ciepło, choć dopiero kwiecień. Autobusy z wiszącymi jak w Warszawie winogronami pasażerów dymiły czarno z rur spalinywych, wysłużone amerykańskie limuzyny przerobione na taksówki jeździły setką po mieście, trąbiąc jak oszalałe. Przed uniwersytetem natrafiłam nawet na jakąś strzelaninę z policją, było potem o tym w gazetach; a może mi się tylko zdawało, może byłam tam wcześniej, tylko sobie przypominałam to miejsce, jak o tym napisali.

Jazgot, wrzask, klaksony, namolne rytmy muzyki orientalnej nadpływające nie wiadomo skąd. Spoceni z gorąca uliczni sprzedawcy rozkładali, jak niedawno u nas, towar na płachtach wzdłuż ulic i zachwalali go głośno. Mnóstwo chudziutkich dzieci, kobiety w nasuniętych na czoło chustach

o końcach założonych za tył szyi i związanych na piersiach, w ogromnych luźnych majtadałach, które przy bliższym przyjrzeniu okazywały się po prostu spódnicą przełożoną między nogami i związaną w pasie. Ze śmiesznych zakurzonych żelaznych piecyków, ustawionych na chodnikach a dymiących jak rury wydechowe, młodzi, pokurczeni czarniawi chłopcy o palącym spojrzeniu (żadnych szans na małżeństwo z kobietą, osiem razy więcej mężczyzn niż kobiet, choć kto tam tak naprawdę liczył dziewczynki) zdejmowali patelnie z pitą, aromatyczną jarzynową papką na jakby naleśniku. W witrynach eleganckich sklepów orientalne słodczyce ociekały czymś, co brałam za tłuszcz i nie odważyłam się tego nigdy kupić. A kiedy kebaby rozpleniły się już w Europie, okazało się, że to łagodny syrop, i że np. baklava to najlepsze po serniku ciastko na świecie. Ale ja jej nie spróbowałam wtedy, w samym sercu Orientu, gdzie się narodziła.

Tam, w centrum Istambułu, koło uniwersytetu i zabytków, nie było ciekawych rynsztoków. Zwyczajnie, chodniki zajęte przez sprzedawców, jezdnie, deptaki, place, fruujące śmieci, koty na podwórzach. Nic szczególnego.



Aż raz znalazłam się wysoko, w górnej części miasta. Bo nie chciałam dłużej mieszkać w ohydny małym hoteliku w starym centrum; kiedy wieczorem zapaliłam tu światło (wtedy zaczęli pobierać prąd od Bułgarii, był, jak woda, tylko parę godzin dziennie, tyle, że woda leciała w południe), z łóżka, ze stołu, z parapetu, spod szafy wystartowały tyraliery karaluchów i karnymi tysiącami skryły się w szparach podłogi. Z krzykiem uciekłam z pokoju na dół, do recepcji. Turek uspokajał: nie gryzą, czyszczą resztki, można się do nich przyzwyczaić, człowiek nie jest sam. Odprowadził mnie do pokoju, przespałam noc przy zapalonym świetle.

Wolałam drogo, ale bez karaluchów.

Drogi hotel był naprawdę strasznie drogi, dwie moje warszawskie pensje za dobę. Ale w końcu jedna noc! Na eleganckiej cichej ulicy, bardzo wysoko. Zajechałam taksówką, jak jaka pani. Bagaż zostawiłam w małym hoteliku. Nazajutrz wyjeżdżałam do Sofii.

Wejście, paszport w recepcji, żadnych pytań, płatne z dołu. Marmury, westybule. Winda, korytarze, podwójne drzwi.

Domyślacie się, szkoda mówić. Znowu znikające w świetle lampy tyraliery, tylko teraz w łazience, wykładanej najpiękniejszymi turkusowymi

terakotami Wschodu. Czarnorude, trzęsące się na sześciu cienkich nogach, w trwodze, karne setki, tysiące karaluchów.

Podwójne drzwi, korytarz, już bez windy, schodami na dół ślizgając się na czerwonym dywanie, westybulę, klucz na marmurowy blat, paszport do ręki, do wyjścia!

*

Taksówka odjechała. Nadciągnęły nagle ogromne czarne chmury i spadł tropikalny deszcz. Stałam w wyjściu z hotelu, deszcz skończył się równie nagle jak się zaczął, tyle że zrobiło się duszniej.

Schodziłam stromą uliczką ku śródmieściu, a obok rwał głęboki na pół metra rynsztok. A w rynsztoku w Istambule nie śmieci, nie przerzuty, nie gówna, nie resztki. To znaczy, nie tylko. Całe potopione koty, chyba ze sto tysięcy zdechłych szczurów, całe zdechłe psy, kawałki nie wiadomo czego obrzydliwego, stary sedes, fragmenty mebli. Gęsto, pędzone prądem, okręcające się wokół siebie, jak otoczaki w górskim strumieniu. Przyspieszyłam kroku. Nagle zobaczyłam coś białego, kręciło się z prądem, podskakiwało. Ucięta ludzka dłoń. Hamując wymioty, popędziłam nie patrząc, w dół, żeby szybciej, dalej, ku staremu hotelikowi, złapać walizkę, w taksówkę, na dworzec, z którego odjeżdżał kiedyś Orient Express z bogaczami, daleko od karaluchów w hali o rzeźbionych kratkach przekimając na walizce i rano wsiąść wreszcie do pociągu, który uwiezie mnie do Bułgarii.

Tak wyglądał trzydzieści lat temu rynsztok w Istambule. To właśnie znaczy, kiedy ktoś mówi: słownictwo jak z rynsztoka, obyczaje jak z rynsztoka. Zdechłe szczury, paskudztwo i obrzydlistwo.

A teraz w Warszawie.

Dziś rynsztok tu widzę ogromny. Płynie nim wiele śmieci i obrzydliwości niemało. Pozostałości i to, co się źle rozwinęło. Płynie polski teatr, opanowany przez skandalistów i wulgarystów, polska oświata opanowana przez edukatorów; płynie w ścieki ledwie dychająca kultura, płyną maki i bławatki i płowe zboża; świątki na skrzyżowaniach dróg i drewniane krzyże; płynie sztuka osobistych wrogów Pana Boga. Spływają polskie mity, które pozwalały nam żyć – wolnej Polski, „Solidarności” i solidarności, uczynności, niezłomności; nienawistnicy wypychają tu bohaterką tradycję AK i Powstania Warszawskiego, Matkę Boską, Mickiewicza i Herberta, i miłość bliźniego. Płynie wolność, równość, braterstwo, uczciwość, normalność.

Biegniemy, uciekamy, ale nadchodzą nowe pokolenia i też pakują się do rynsztoka, nieświadome; wiedzą, bo widzą, że świat jest wrogi i okropny, że człowiek człowiekowi wilkiem i że znikąd pomocy. Spływają tym kanionem smutku brud i niemożność, ta klęska współczesności.

A ja wołałabym spuścić tym rynsztokiem prawdziwe paskudztwa.

Koniec Europy, postkomunizm, smutki i lęk o polskość prawdziwych elit, i postkolonialne kompleksy lumpenelit (wykształciuchów). Ohydnych pogrobowców SB i WSI, chętnych i przekupnych TW. Ludożerkę, która w korporacjach napuszcza na siebie zrozpaczonych ludzi. Stosy świńskich pism, kpiny z wolności słowa. I język plugawy, te wszystkie przerywniki, te smakowite kurwy, dupy i znacznie gorzej, padające jak lepki grad w teatrach, domach kultury, kinach, kawiarniach, w radiu, telewizjach, kabaretach, na nabrzeżach, plażach, leśnych duktach, szosach, poboczach, połaciach, na całych jeziorach, w metrze i pociągach, na budowach, w szkołach i w wyższych uczelniach z ust anielskich studentek i ich profesorków, z ust młodych matek i eleganckich jappich, i ośmioletnich dzieci. I ten łomot na stojąco bez czułości, bez namiętności w polskich filmach, wzór dla dziewcząt i chłopców; mękę młodych kobiet, które marzyły o miłości i karierze w filmie, a teraz to mają w burdelach i w filmach porno. To mordowanie na sto sposobów, jak złamać kark, jak piłować żywych ludzi, rozrywanie zajęczków, misiów i królewien w dobranockach, palenie krasnoludków, wysadzanie w powietrze życzliwych stworków. Tych, co niszczą metodycznie dobro i ufność dzieci. Tych reżyserów, dziennikarzy, presenterów, tych Powiatowych i Listopadowskich, te gwiazdy i idoli młodzieży, którzy nie znoszą Polski, a kochają psie kupy, świństwo i rechot.

I wszystkie kompleksy, które rodzą się na tej ziemi, całe to poczucie gorszości, mniejważności, i agresję sąsiadów, i współziomków.

I posła palikotowskiego i jemu podobnych.

Tam jest ich miejsce. Niech spłyną rynsztokiem, do kratki, do ścieku, ściekiem do rzeczki, do rzeki, do morza. Niech się rozplyną.

Niech wreszcie znikną. Niech przyjdzie wielki deszcz, zmyje te kutasy na Krzyżu, te Matki Boskie maczane w moczu, całą tę hipokryzję i fałsz. Niech ten ogromny deszcz spłucze całe to świństwo; i niech wreszcie popłynie czysta woda. Do kratki, do rzeczki, do rzeki, do miłosiernego morza.

Teresa Bochwic
7 czerwca 2009

Tamara Bołdak-Janowska

Patriotyzm i matriotyzm

Krótki dialog położniczy
Tamary Bejot i Tola Szaleńczyka

Tożsamość to nie to samo, co archaiczny nacjonalizm, ten trup u ludzi rozumnych, przyzywany z 19. wieku. Czy z tożsamości jako takiej człowiek może być dumny? Ja mówię, że nie. Może być dumny na przykład z kultury, stworzonej przez rodaków i przez rodaków o różnym pochodzeniu etnicznym.

Nacjonalizm jest łatwiejszy, niż tożsamość. Nacjonalizm to przyswojone poglądy jednej osoby, jakiegoś wodza, jakiegoś przywódcy, jakiegoś publicysty, jakiego polityka, jakiegoś ojca narodu, a ty możesz i wiesz więcej, niż on, bo on już był, należy do innego czasu, zużył się, był patriarchalnym mizoginem i antysemitą, a w sprawach gospodarki wypowiadał się jak cudotwórca.

Tożsamość to: cała moja kultura, dzieje mego państwa i oczywiście narodu, to jest początkowo plemion, aż od czasów starożytnych, nietraktowanych pobieżnie, znajomość nazw plemion, z których się wyszło. To dzieje mojej prawdy, ale i mego kłamstwa. To dzieje bohaterstwa mego ludu, mego narodu, ale i moje bandyckie dzieje, przez to, że mój lud, mój naród miał również bandytów, w tym wojennych. To mój język, jego dzieje, jego rozwój, jego słowotwórczość, jego wybitne wiersze, jego wybitna proza, jego haniebne istnienie w antysemickich ustach sprzed Auschwitz, jego barbaryzacja, jego indoktrynacja, jego manipulacja, jego plotki i podejrzenia, jego skostnienie, jego frazesy, jego kołtuństwo i przesady, jego kołysanki, jego legendy i baśnie, jego folklor i literackość, jego plebejstwo i jego arystokratyczność, kłamstwo, prawda faktów, rasizm, szowinizm, nacjonalizm, mizoginia, głupota, rozum, racjonalność, pobożne życzenia, miodouszczenie, przysłowia, teksty piosenek, głupie plotki, uprzedzenia. Można długo wymieniać, czym był i jest mój język, a język to osoba, mądra lub głupia.

Osoba, świadoma swej tożsamości, dobrze wie, że nie ma wyłączności na patriotyzm, bowiem zna patriotów sąsiadów o innej tożsamości etnicznej niż ona.

Pytam Tola, czy gotów byłby umierać za ojczyznę.

Tolo: Jeśli widzę, jak się robi wojnę, jak się ją przygotowuje, to widzę wyłącznie głupich polityków, głupie rządy i myślę, że nie chciałbym za nich umierać, a do tego to się sprowadza. Oni nawołują mnie, abym był gotów umierać za ojczyznę, ale sami uciekną w bezpieczne miejsce, co już nieraz miało miejsce. Za nacjonalistę wcale nie chcę umierać. Wojna to jego wina, jego przemoc. To młody poleci na rozpętaną przez głupich wodzów wojnę, nie myśląc o umieraniu, bo młody jest jeszcze na tym etapie, że się lubi się bić. Jestem za stary, mam przed sobą mało życia i nauczyłem się je cenić, no i widzę to rozpętywanie przez głupich polityków wojen, które są niepotrzebne, którym można mądrze zapobiegać. Dobrze to widzę i dobrze to wiem. A więc odmawiam. Mówię o współczesnych wojnach. Stary typ wojny, romantycznej, odszedł na zawsze. Gdyby to była II wojna światowa, to we Francji natychmiast byłbym w Ruchu Oporu.

Pytam, trochę się dziwiąc, że Tolo mówi o Francji, ale chyba dlatego, że tam Ruch Oporu nie był skłócony i rozdrobniony, i było jasne, co nim jest i kto go reprezentuje, no więc pytam, czy ratowałby Żydów w czasie II wojny światowej?

Tolo: Ratowałbym.

Ja: Wiesz, że za to groziła śmierć?

Tolo: Ratowałbym dla zasady, a że okupant by mnie za to rozstrzelał, to trudno.



Ja: A ja bym nie mogła ratować, bo przez moją fizjonomię wylądowałabym w Auschwitz albo gdzieś w lesie w masowym grobie. Moja uroda byłaby z miejsca podejrzana. Z miejsca by mnie rozstrzelano albo zagazowano. Nie miałabym czasu na ratowanie żydowskich sąsiadów. Sama musiałabym się ukrywać. Ciemnookie dziecko o rysach z Azji? Wiesz, jak bardzo bym podpadała nie tylko u Niemców, ale i u swoich? Pamiętam z dzieciństwa napaści z powodu mojej urody i to nie ze strony Polaków, tylko Białorusinów, których II wojna światowa uczyniła brunatnymi. Nie było ich wielu, były to jednostki, ale to wystarczyło, abym czuła się tropiona jak zwierzę! Na szczęście oni wyjechali i odżyłam.

Pytam: Czym jest według ciebie patriotyzm?

Tolo: Nie wiem. Wiem tylko, że czuję umiłowanie ojczyzny, kiedy słucham utworów Szopena. Tyle w nich polskości, tyle polskiego folkloru, tyle słowiańskości, takiej prawdziwej podstawy polskości. Podobne ciepłe uczucie, ale do słowiańskości, wydobywają ze mnie utwory Czajkowskiego, choć nie wszystkie. A utwory Szopena wszystkie budzą we mnie umiłowanie mojej słowiańskiej ojczyzny. I wcale mi nie wadzi, że Francuzi uważają Szopena za francuskiego kompozytora. Do osoby wybitnej może się przyznawać nawet kilka narodów.

Ja: Na naziolskiej liście Szopen to Żyd, a więc niegodny polskości. Słowo „Żyd” to tam najgorsze wyzwisko.

Tolo: Kretyni.

Ja: Tacy kretyni kreują u nas patriotyzm. Swoje internetowe strony zwą patriotycznymi. Nastąpiło całkowite pomieszanie pojęć. Tak to jest, jeśli czyta się durne książki i durne naziolskie internetowe strony. Jak bardzo nastąpiło pomieszanie pojęć, niech świadczy post na FB jakiegoś faceta, ukrywającego się po dziwacznym pseudonimem, zamiast nazwiska. Otóż on stwierdza, że Hitler to lewak, a nie skrajna prawica, bo prawica nie jest socjalistyczna. Co za tępak. Skrajna prawica, o czym mówi na przykład Rafał Łętocha, jest troista, to znaczy zawiera w sobie „swoją” lewicę”, „swoje” centrum i „swoją” prawicę, a to po to, aby żaden głos, żadna krytyka nie przedarła się z zewnątrz, słowem zawłaszcza sobą każdą opcję światopoglądową, polityczną, bo „wszystko jest u nas”, „jesteśmy dla szerokich mas, przychodźcie do nas”. Poza tym według skrajnej prawicy określona nacja jest lepsza od każdej innej, każda inna to tylko podludzie i ich życie jest nieważne. Taki radykalny nacjonalizm uniformizuje, zamyka usta, jeśli tylko dojdzie do władzy. A kryterium etniczne, jedyne, jakie ma świadczyć o wartości człowieka, jest irracjonalne, nierozumne. To łamie prawa

człowieka, tych wszystkich innych z tej samej ojczyzny. Coś powiesz przeciw skrajnej prawicy, a zaraz odezwie się jakiś facet, poruszony, jak to zaraz czuje się pokrzywdzony jako „człowiek prawicowy”. Poza tym prawica chce uniknąć odpowiedzialności za hitleryzm, więc uważa Hitlera za „lewaka” i płodzi na ten temat tony naciąganych mętnych książek, tymczasem komunistyczna lewica wzięła na siebie odpowiedzialność za stalinizm, choć na przykład w Rosji niezupełnie, bo tylko zaraz po upadku komuny, ale jednak. Branie Hitlera za „lewaka” to mieszanie pojęć. Prawicowi autorzy robią to, aby podprawić prawicę czystością w tej sprawie, aby tylko uniknęła odpowiedzialności za hitleryzm, za nazizm, aby tylko nie wiązać prawicy z narodowym socjalizmem, bo jak „socjalizm”, to „lewactwo”, i kropka. A Hitler cytował Jezusa, Lutra, Pawła IX, współpracował z kościołami. Jego naziści poleźli aż do Tybetu w poszukiwaniu niemieckiego nadczłowieka, poszukiwali Grała. Ładne mi „lewactwo”. A nasi prawicowcy lepią do siebie skrajną nacjonalistyczną prawicę, bo już w tych licznych książczynach ustalono przecież, że Hitler i nazizm to „lewactwo”, a nie skrajna prawica. Ja sobie tak mieszać pojęć nie dam. Nie ma dobrego nacjonalizmu, powtarzam za jednym z naszych kardynałów katolików, i zdania nie zmienię. A co to jest neokonserwatyzm? To powstało w Ameryce. Wymyślili tamtejsi Żydzi i katolicy, aby zaraz podzielić się na neokony i teokony. Dziś neokony odrzucają kapitalizm na rzecz korporacjonizmu i faszyzmu, dodając



do doktryny elementy trockizmu lub liberalizmu, także supremację rasową i supremację jedyne go mocarstwa (USA), a teokony wędrują w stronę religijnego fundamentalizmu i także z supremacją rasową i mocarstwową. Jak jest u nas, to bież wodki nie razbieriesz. Przedtem prawica to zawsze byli nacjonaści, faszyści, chadecy, fundamentalści religijni i klasyczni liberałowie. Dziś jest to nie wiadomo co, trockizm, nieco neoliberalizmu, lewicowego „likwidowania biedy”, nie do zrozumienia bież wodki, ale za to z widocznym dopieszczaniem skrajnej prawicy i elementami bolszewii, trockizmu (stąd wrażenie u nas, że wraca komuna). Tak samo jest w Rosji, tyle że tam przeciwstawiają się supremacji jedyne go mocarstwa, USA („my też pozostaniemy mocarstwem”), no i jednak nie głoszą supremacji białego Rosjanina. Jeśli nie mamy ani chadecji, ani lewicy, wpadamy w łapy trockistowskiego neokonserwatyizmu, z wszelką jego patologią i mieszaniną, ale nie jest to nasze. Amerykańscy neokonserwatyści rzucili się z nienawiścią „na wszystko, co było dotąd”. Nasi neokonserwatyści rzucili się z nienawiścią na swoje centrum, czyli na PO.

Tolo: Rośnie świadomość ludzka, bo nauka, bo wykopaliska, bo kosmos, bo nasze pochodzenie z Afryki, ale nacjonalista zatrzymał się w rozwoju. Poleci ginąć za innego nacjonalistę, bo ten upatrzył gorszy naród, któremu trzeba powybić cywili. Nacjonalista to nasze współczesne żywe wykopalisko. To niechlubne żywe wykopalisko. Rozumny człowiek zdaje sobie sprawę, że staje się obywatelem globu, że kolor skóry nie ma znaczenia, bo wszyscy pochodzimy od czarnej afrykańskiej matki, że mamy artystów sztuki ulicznej, podobnych, jakich mieli nasi praprzodkowie, malujący wspaniałe obrazki w jaskiniach i na skałach przed wielu, wielu wiekami. Trzydzieści tysięcy lat temu robili to samo, co my. A ty piszesz esej o patriotyzmie, biorąc węższą skalę. Tymczasem patriotyzm dotyczy już globu, całej naszej planety, a ona jest matką-Ziemią. Patriotyzmem staje się umiłowanie matki-Ziemi. To znaczy powinno tak się stawać. U rozumnych ludzi już tak jest. Wspólny patriotyzm wszystkich ludzi ziemi nie dokonuje się wszędzie na ziemi przez tych cholernych lokalnych nacjonalistów, ciągle organizujących polowanie na ludzi, durną przemoc, bałkanizację ziem wielonarodowych. W umiłowaniu matki-Ziemi widzę to, co naprawdę łączy ludzi tej matki.

Ja: Proponujesz matriotyzm?

Tolo: Niech będzie matriotyzm. Pięknie brzmi.

Ja: Powiedz mi jeszcze, czy brałbyś udział w Powstaniu Warszawskim?

Tolo: Brałbym.

Ja: Wiesz, że na tych naziolskich stronach mówi się o Powstaniu, że wywołali je Żydzi po to, aby zginął kwiat młodzieży polskiej? I że nawet Wojtyła to Żyd?

Tolo: I tak brałbym udział w tak pięknym Powstaniu przeciw hitlerowcom.

Ja: Mógłbyś zginąć.

Tolo: Trudno. Wojtyła według nazioli to Żyd? A co to mnie obchodzi!

Ja: Czesi wystosowali list do papieża, że im brunatniejsze Kościół katolicki. Brunatna fala rozlewa się po Europie i świecie, a my tu chcemy tworzyć piękny matriotyzm. A natchnieni bajkopisarze bredzą, że niebawem przeniesiemy się na Marsa, że wewnątrz księżycy żyje dwieście tysięcy homonidów. Oni nie szanują i nie kochają swojej planety. Najpierw zniszczyć, zatruć i porzucić – oto marzenie. A jak kochać ojczyznę w takiej sytuacji niszczenia Ziemi, przecież ona jest kawałkiem naszej planety? To co, dalej truć ten ojczysty kawałek Ziemi i kochać? Taki truciciel to zaprzeczenie miłości do ojczyzny. A na koniec jeszcze krzyknę: Boże, chroń nam białoruskość od zbrunatnowienia! Według „Radia Free Europa” Łukaszenka już krzyczy: „Wszyscy Żydzi Białorusi powinni być wzięci pod kontrolę”. No, no. Białoruscy narodowcy będą czuć się u siebie. Ojca narodu już mają.

Tekst i rysunki Tamara Bołdak-Janowska



Krzysztof Choiński

Wiosna 1915: spotkania

(fragment powieści „Polski los”)

...Zanim jeszcze ruszyła potworna machina wojny, Bronisławowi przydarzyło się kilka przypadków, które znowu przerwały codzienną szarą służbę, a zarazem w jakiś sposób wpłynęły na jego rozmyślanie i – w pewnej mierze – dalsze losy.

Wskutek jednego z tych epizodów powróciły dręczące go upiory. Szedł właśnie do punktu pocztowego, żeby wysłać kartkę do matki, przebijając się przez gęstwą przechodniów, potrącany i popychany. Ktoś wpakował mu łokieć w bok, jakiś rozlazły jegomość w kaszkiecie kopnął go w kostkę, ktoś inny jeszcze wałnął go po łydkach potężnym tobołem, wszystko to bez żadnego „przepraszam”. Doprowadzony – jak zawsze – do zimnej furii takim zachowaniem, Bronisław odwrócił się za ostatnim zawałidrogą i już miał go ofuknąć, gdy poczuł, że nogi wrastają mu w ziemię. Oto po drugiej stronie wąskiej ulicy dostrzegł lekko przygarbioną sylwetkę w brudnym prochowcu i jakże charakterystyczny profil z zadartym nosem. Wprawdzie podbródek ginął w gęstej brodzie, ale mimo wszystko trudno było nie rozpoznać tej gęby – wszak na sali sądowej wbijał ją sobie w pamięć i przysięgał, że to na całe życie! Bez namysłu roztrącił najbliższych przechodniów i puścił się biegiem przez jezdnię. Odniośł przy tym wrażenie, że ten człowiek na sekundę zwrócił głowę ku niemu. W tej samej chwili zasłoniła go grupka idących w przeciwnym kierunku cywilów, potem oddziałek austriackich piechurów. Bronisław przeklął w duchu swój wzrost i stanął na palcach, ale kołyszące się rytmicznie czapki i lufy karabinów stworzyły coś w rodzaju żaluzji, przez którą można było cokolwiek zobaczyć co dwie sekundy. Tamten mignął mu jeszcze raz, a kiedy sekcja przeszła, nie było go nigdzie.

Bronisław zaczął się miotać: przebiegł kilka kroków, zawrócił, żeby zajrzeć w jakieś podwórko, znowu ruszył biegiem w poprzednim kierunku, wreszcie wpadł do bramy piętrowej kamieniczki – wszystko na próżno.

Z tego wszystkiego zapomniał o kartce i postanowił pójść na posterunek żandarmerii, wstępując po drodze po Szretera. Zastał go pogrążonego w rozmowie z niepozornym, szarym facetem, z tych, co to nie zauważa się ich wcale, jakby byli otoczeni aureolą nicości.

– Przepraszam cię, ale mam pilną sprawę – wydyszał, opierając się o stół.

Zygmunt zmarszczył się z niezadowoleniem, ale spojrzawszy bacznie na kolegę, wstał i wyszedł za nim do sieni.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył.

– Prawie. Widziałem na ulicy Łączyńskiego – i na widok zdeorientowanej miny Szretera Bronisław dodał:

– Przecież on i w waszym procesie zeznawał! Zawdzięczasz mu wyrok śmierci!

– A, ten! – Zygmunt wreszcie pojął, o kogo chodzi. – Nie wiadomo zresztą, jak się naprawdę nazywa. Jesteś pewien?

– Tak! Idę na posterunek, niech go szukają! Chodź ze mną, bo pomyślą, że wariat!

Interwencja okazała się jednak nieskuteczna. Wprawdzie starszy wachmistrz o zakręconych do góry wąsach wysłał w końcu patrol, któremu towarzyszyli obaj, ale poszukiwany jakby zapadł się pod ziemię. Kiedy po powrocie na posterunek ochłonęli trochę i nabazgrali pospiesznie notatkę z rysopisem, popatrzyli na siebie ponuro.

– Jesteś absolutnie pewien? – spytał znowu Szreter.

– Teraz już nie – rzekł Bronisław, siadając ciężko na obdrapanej ławce dla interesantów. – Zresztą w tym tłumie...

– Jeżeli to on, to co tu robi? – wycodził Zdzych przez zęby. – Chcesz papierosa?

Pałac i milcząc, przychodzili do siebie. W końcu Korowski zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie uległ złudzeniu. Sprawa dręczyła go jednak przez dłuższy czas, zwłaszcza że wywoływała przykre wspomnienia. Widział tego człowieka przed barierką dla świadków, zeznałego z wolnej stopy i pogrążającego oskarżonych każdym zdaniem. Na twarzy prowokatora pojawiał się co pewien czas nikły uśmieszek, nie wiadomo czy dla przypodobania się prokuratorowi, czy w celu zgębienia ofiar. I pomyśleć, że ta szuja dwukrotnie wcisnęła się między towarzyszy, a nikomu nic nie nasunęło żadnych podejrzeń!

Tymczasem nadszedł czas burzy, która dawała znać o sobie głuchymi pomrukami za horyzontem. Można było wyczuć, mimo chwilowych czy dłuższych przerw, że zbliża się coś groźniejszego od zwykłej wymiany ognia.

I właśnie wtedy zdarzył się epizod chyba najważniejszy. O zachodzie słońca Bronisław wyszedł przed budynek kancelarii, żeby dać odpocząć

zmęczonym oczom, a także rozejrzeć się nieco w sytuacji. Codzienny tłok ludzi i wozów zmalował teraz, ale spiekota i brak jakiegokolwiek powiewu wiatru utrzymywały w powietrzu prawie nieruchomy obłok kurzu, nadający konturom domów, drzew, pojazdów charakter mglisty, rozmazany, jakby trochę senny. Wśród poskrzypywania kół, okrzyków wydawanych przez woźniców i powolnego stukotu kopyt odezwał się znienacka tętent jednego konia. Korowski przyłożył dłoń do czoła, żeby zobaczyć, kto nadjeżdża w oślepiającym blasku ostatnich promieni przedwieczornych. Sylwetka zarysowała się najpierw jako zwarta bryła, potem stopniowo można było zobaczyć głowę i ramiona, następnie koński łeb i wreszcie cały obraz nadjeżdżającego Centaura.

Przybysz ściągnął cugle. Koń stanął tuż przed Bronisławem, parskając głośno.

– Kancelaria batalionu zapasowego?! – krzyknął jeździec.

Korowski zobaczył nad sobą spaloną na czerwono twarz, ozdobioną pośrodku wydatnym nosem. Widok zwieńczała osadzona na bakier maciejówka.

– Tak jest, to tu – odrzekł salutując.

Ten człowiek wydawał mu się skądś znajomy.

– Macie jakiegoś gońca?

Bronisława zatkało. Od pół godziny był sam, resztę nielicznego personelu wymiotło w rozmaitych sprawach. Bezradnie rozłożył ręce.

– Melduję, obywatelu poruczniku, że w tej chwili nie ma żywego ducha.

Tamten niecierpliwym ruchem wyrwał z kieszeni na piersi złożoną ćwiartkę papieru.

– Słuchajcie, sierżancie, mam pilny meldunek. Trzeba go dostarczyć Komendantowi. Ja muszę w te pędy wracać do sztabu arcyksięcia, bo mi ważna sprawa ucieknie. Jak jej nie załatwię, Komendant urwie mi głowę. Może dacie radę zanieść to na miejsce postoju? Jak się nazywacie?

– Sierżant Bronisław Korowski.

Przybysz rozejrzał się. W zasięgu wzroku nie było nikogo poza woźnicami na furmankach. Machnął ręką i pochylił się w siodło.

– Weźcie to i lećcie jak najszybciej – rzekł, wciskając papier w dłoń rozmówcy. – Może z bieganiem u was nie najlepiej, ale przynajmniej idźcie prędko.

– Tak jest, obywatelu poruczniku! – Bronisław schował przesyłkę z uczuciem absurdu. On i bieganie! Swoją drogą gość ma dobre oko, skoro od razu ocenił jego możliwości.

Nastąpiła krótka instrukcja na temat trasy do przebycia, podanie hasła i na zakończenie uwaga:

– Powiedzcie, że to od porucznika Wieniawy. Komendantowi do rąk własnych. Ścisłe tajne!

Obrócił konia w miejscu, ścisnął go kolanami i po chwili rozpląnął się w duszącej kurzawie.

Bronisław przez chwilę nie mógł się pozbierać: kancelarię należało zamknąć, ale co zrobić z kluczem, skoro ktoś niebawem wróci? Kogo zawiadomić, że wychodzi na Bóg wie ile czasu? Zaklął pod nosem i to mu dobrze zrobiło. Pozamykał okna, przekręcił klucz w zamku, schował go do kieszeni i ruszył długimi krokami w stronę przedmieścia. Kiedy zostawił za sobą ostatnie pokraczne domki, wyboista droga poprowadziła go kręto wśród rachitycznych zagajników i krzyżujących się ścieżek. Minął dwa wozy jadące w przeciwnym kierunku, potem zobaczył kuchnię polową, pozbawioną jednego koła i przechyloną na bok. Kucharz i dwaj szeregowcy przy akompaniamencie przekleństw i zbiorowego sapania usiłovali założyć koło na oś. Zapytany o dalszą drogę, jeden z nich machnął ręką:

– Tam, na ukos, przez te chaszczce!

Po czym podjął żmudne działania, nie interesując się więcej przechodniem.

Następnie zatrzymał Bronisława patrol. Plutonowy z gębą przypominającą kalosz zażądał hasła, usłyszał odzew, nadal był podejrzliwy, ale na ofuknięcie, że to „od porucznika Wieniawy”, stulił uszy i kazał iść dalej. Wziąwszy przeszkody w postaci jednej i drugiej widety, Korowski znalazł się na polanie, na której widać było wejście do ziemianki. Miejsce postoju chronił pluton, rozstawiony i rozłożony dokoła w pozach pełnych czujności. Wezwany podporucznik chciał odebrać papier, ale na suche: „Do rąk własnych Komendanta, taki mam rozkaz”, spojrzał uważnie na przybysza i bez słowa poszedł przodem.

Wchodząc do ziemianki, trzeba było schylić głowę, żeby nie zawadzić o prowizoryczną futrynę. Wewnątrz panował półmrok, spowodowany po większej części przez chmurę dymu tytoniowego. Piłsudski stał pochylony nad rozłożoną na stoliku mapą i mówił coś do towarzyszącego mu oficera. Twarz miał ściągniętą, policzki zapadnięte. Na stuknięcie obcasami podniósł wzrok i spytał opryskliwie:

– A czego tam znowu?

Podporucznik podszedł i powiedział coś półgłosem. Piłsudski wyciągnął rękę, przerywając Bronisławowi meldowanie się:

– Dawajcie!

I zaczął czytać, podnosząc papier do oczu, w migotliwym świetle lartarki, ustawionej na dwóch skrzyniach. Wpatrywał się przez kilka sekund w tekst, jakby nie mógł uwierzyć w otrzymaną wiadomość, po czym rzekł do swojego towarzysza:

– Zobacz no.

Ten drugi, z naszywkami podpułkownika, zajrzał mu przez ramię. Potem spojrzeli na siebie.

– Znowu odmawiają – stwierdził podpułkownik.

Bronisław rozpoznał w nim Szefa.

Piłsudski jakby dopiero teraz przypomniał sobie o czekającym posłańcu.

– Dziękuję, sierżancie. Możecie odejść.

Zanim jednak Korowski zasalutował, zapytał:

– A wy skąd jesteście? To znaczy, jak trafiliście do szeregu?

– Melduję obywatelu komendancie, że prosto z więzienia.

– Warszawa?

– Nie, obywatelu komendancie. Radom. Ostrowiecka PPS.

– Pamiętam. Nie posłicie za mną. A potem proces, co? Dostaliście katorgę?

– Tak jest.

– A teraz jesteście znowu razem. Zmieniliście zdanie?

– Przejrzałem.

– To i dobrze. – Komendant zrobił nieoczekiwanie krok do przodu i wyciągnął rękę. – Żebyście wiedzieli, że ja do was żalu nie miałem, wybór był trudny. Mnie też ta robotnicza nędza na sercu leży. Ale obaj wiemy, że walczyć z nią skutecznie będziemy mogli tylko w Niepodległej.

Uścisnęli sobie dłonie, Bronisław zrobił w tył zwrot i wyszedł z ziemianki.

Cała ta scena zawróciła mu w głowie do tego stopnia, że w drodze powrotnej zwyczajnie zabłądził. Nie mógł przestać myśleć o tym człowieku, z którym już po raz drugi zetknął się tak blisko. On wyraźnie nie pamiętał krótkiego epizodu warszawskiego, kiedy to wszedł, zamienił parę słów z gospodarzem meliny i wyszedł. Czemu nie przypomniałem się, pomyślał Bronisław. Jakże? Spoufalać się z brygadierem, do tego jeszcze w takiej chwili, gdy jest zajęty i ma na głowie jakieś kłopoty? Ale szkoda...

Krzysztof Choiński

Jolanta Maria Cywińska

Trzy kroki od miłości, dwa kroki od śmierci

(fragmenty)

Pokój był mały, niewiele większy od celi, w oknie krata, za oknem zielone drzewo, które w tym pomieszczeniu rzucało jedynie ponury cień. Adam rozglądał się wokół i ciężko oddychał. Cały był obolały, widział tylko jednym okiem, co do drugiego, to nawet nie był pewien, czy jeszcze je ma, po razie, jaki dostał pół godziny temu. Z ran na twarzy cienkimi stróżkami spływała mu krew. Jego oprawca, siedząc za biurkiem, spokojnie zapalał papierosa. Wypuścił kłębek dymu, wbił w niego swoje stalowe, rozmyte błękitem oczy i wychrypiał:

– Gadaj, skurwielu, bo ci się mózg na ścianie rozprysnie. Jesteś mniej niż gówno, mniej niż śmieć. Dla kogo jeszcze szpiegowałeś? Ilu naszych towarzyszy zabiłeś?

Jego słowa odbijały się w głowie Adama dziwnym echem. Spojrzał na ścianę, gdzie widniały ślady świeżo zakrzepłej krwi – efekt poprzednich przesłuchań. Krew kolegów mieszała się tam z jego krwią, jakby w imię jedności, w walce o wspólny cel, o wolną Polskę, do której miłość wynieśli z domu. Teraz rozlicza ich z tego ta internacjonalistyczna zaraza, która nie ma swojej ziemi ani ojczyzny. Są jak psy, mają tylko pana, który prowadzi je, dokąd zechce, i rozkazuje kąsać wszystkich ideowo obcych. Zarzucają mu, że zdradził, że zabił... Dziwne, ale wojna, która zmiotła z powierzchni ziemi miliony ludzi, i jemu jakimś cudem zabijania nie oszczędziła. Był świadkiem śmierci i zamierzał zabijać. I jego zabijanie chyba dopełniło się. Działał na grząskim gruncie i liczył się ze swoją lub cudzą śmiercią.

Jednak los zakpił zarówno z jego bohaterstwa, jak i ciągotek do wyższych celów, które miały według niego zmienić losy wojny.

Mocne uderzenie w twarz wyrwało go z tych rozmyślań, ale mniej zabolalo, niż się spodziewał. Poczuł tylko wstrząs i to, że odlatuje gdzieś daleko, poza ten pokój, do swoich, do lasu. Miał wrażenie, że znowu wrócił i bierze udział w akcji przeciwko nękającym ich oddziałom bezpieki i radzieckich enkawudzistów. Mignęło mu przed oczyma tych kilku ludzi, których powalił swoim mauzerem, a może tylko ich ranił? Mauzer był kiepski

i często chybiał celu, a on był strzelcem w pośpiechu szkolonym. To wtedy nagle poczuł mocne pchnięcie i upadł na ziemię, dostał kulę w plecy. Rana boli, a on leży bezwładnie i widzi nad sobą twarz Ireny, sanitariuszki, piękną twarz. Ocknął się w swojej celi. Leżał na betonowej podłodze i patrzył tym jednym, widzącym okiem w sufit.

Jeszcze żyję – wyszeptał do siebie.

Sam nie wiedział, jak mógł wytrzymać tyle godzin przesłuchania. Stale, dzień i noc. Gdyby nie stracił przytomności, jeszcze by przesłuchiwali. Żeby już raz z tym skończyć. Dostać kulę w łeb jak koledzy i wyrwać się z rąk sadystów. Oddać w ich brudne, splamione krwią łapy ten kraj, który już właściwie zagarnęli. Jakże bezsensowna z tej perspektywy wydała mu się cała ta walka z Niemcami, bohaterstwo żołnierzy, śmierć przyjaciół.

Właściwie można powiedzieć, że był partyzantem powojennym, spóźnionym żołnierzem, który się ocknął i ruszył z bronią na wroga, innego niż się spodziewał, gdyż do lasu zwabił go dopiero niezadowolający politycznie koniec wojny. Tymczasem w Londynie maszerowała Parada Zwycięstwa bez udziału Polaków, których alianci nie zaprosili. Wystraszyli się Stalina, tak że zaproszenie wysłali do namaszczonych przez niego nowych władz w Warszawie oraz dowództwa Armii Ludowej. Rząd emigracyjny i żołnierzy Andersa pominęli.

Polska dla byłych sojuszników stała się już tylko sowiecką kolonią, z którą mieli kłopot. Ktoś musiał się nie bać, więc Adam chciał być jednym z niebojących. Dlatego przyszedł mu do głowy pomysł, żeby walczyć dalej. Matka była przeciwna, ale matka zawsze sprzeciwiała się, żeby ktokolwiek z rodziny nadstawiał karku, a po śmierci ojca zrobiła się jeszcze bardziej przewrażliwiona.

Ogarnęła go bezsilna złość i jednocześnie słabość. Tam, w lesie, pozbył się reszty złudzeń co do swojej przyszłości i już ostatecznie przestał być tym, kim był dotychczas, chociaż na jakiegokolwiek inny rodzaj bycia nie miał na razie pomysłu. Tymczasem jego niezmordowani koledzy spodziewali się kolejnej wojny, tym razem między Wschodem a Zachodem. Docierały wiadomości, że Anglicy i Amerykanie opracowują już jej plany, chcąc przykrócić stalinowską żądzę podboju świata.

Ale kto by chciał ciągłych wojen? Wymęczone europejskie narody? Jednak polskie podziemie trzymało się tej idei, jak ostatniej deski ratunku, ale wojna nie nadchodziła, a oni siedzieli w lesie, tracąc stopniowo ludzi i nadzieję. W kraju tymczasem sfałszowano referendum i wybory,

skrytobójczo mordowano działaczy peeselowskiej opozycji, likwidowano wszelkie przejawy wolności. Wprawdzie kilku likwidatorów udało im się zlikwidować, ale była to kropla w morzu. Ustroju w ten sposób nie zmienili. Pamiętał szczególnie pewnego młodego chłopaka, który już w 44 współpracował z NKWD i wspólnie z Sowietami wyłapywał po lasach polskich partyzantów. Kilku rozwalił sam, resztę wydał enkawudzistom. Wojna jeszcze trwała, ale on nie walczył z Niemcami, wołał zabijać swoich, a w ostatnich chwilach życia klękał przed nimi i w pańszczyźniany sposób buty im całował.

– Nawet umrzeć nie umiał z godnością – westchnął Adam.

Ostatnimi czasy Adam już nie chciał być bohaterem. Chciał po prostu być i żyć jak przyzwoity człowiek, ale i na pozycjach przyzwoitego człowieka niełatwo dało się utrzymać. Trzeba było zdradzić swoich, żeby żyć, a zdradzać wszystkich wokół, żeby się urządzić.

W amnestię nie wierzył. Komuniści nie przebaczą. Dobrze wiedział, co wyprawiali u siebie, a teraz tu przynieśli koszmar wypracowany w swoim wschodnim mateczniku. Mimo to zdecydował się ujawnić. Zamierzał spróbować żyć normalnie w otaczającej go nienormalnej rzeczywistości. Mógł wprawdzie walczyć dalej, ale musiałby jeszcze w coś wierzyć. On już zwątpił, zwątpił zupełnie, zwłaszcza w szybki wybuch kolejnej wojny. Już w 1944 roku przeczuwał, że świat, do którego przywykł, nigdy nie wróci. Domyślał się, że nie zobaczy swojego domu takim jak dawniej i ojca pracującego przy rzeźbionym biurku. Wszystkie te minione piękne dni stopniowo zblakną w jego pamięci, aż wreszcie wyidealizowane zamkną się w świat wspomnień.

Obolały rozejrzał się po celi. Jedynie małe, zakratowane okienko wpuszczało tu resztki gasnącego dnia. Coś chrobotało przy misce z jedzeniem. To szczur, który zawsze zjawiał się na wyżerkę. On jeden doceniał jakość podłego żarcia. Adam jadł tylko tyle, żeby przeżyć. Ból w głowie stawał się coraz bardziej nieznośny, wstrząsały nim dreszcze, czuł, że ma gorączkę, a całe jego ciało ogarniała słabość. Gdyby teraz po niego przyszli, nie mógłby się ruszyć, musieliby go nieść na przesłuchanie. Może choć ta noc będzie spokojna? Niczego się przecież nie dowiedzą, pytają o absurdy. Ja, agentem amerykańskiego wywiadu?! Kiepski dowcip. Chociaż miałbym coś do przekazania zachodnim aliantom. Na przykład to: Drodzy bracia, stało się coś co można było przewidzieć dużo wcześniej, bo właściwie już w chwili, kiedy uznaliście Stalina za kumpla niezbędnego w waszej układance, nazwaliście przymilnie Wujkiem Joe i tak ochoczo z nim

negocjowaliście. Te wasze negocjacje zabrały nam wolność, mimo ponie-sionych ofiar. Pozdrawiam. Wasz agent Adam, zdemaskowany!

Najbardziej jednak dokuczała mu świadomość, że mogło być zupeł-nie inaczej, bo gdyby na przykład chociaż trochę we wrześniu sojusznicy chcieli poumierać za Gdańsk, zamiast szukać pretekstu, jak tego nie zro-bić, gdyby Roosevelt mniej uprzejmy był wobec Stalina, gdyby Zachód nie uznał prosowieckiego rządu... Ale wszystko ułożyło się jak najgo-rzej. I ten wszechogarniający strach, sowiecka specjalność, nie mówiąc o donosicielstwie. Nienawiść narodowa, klasowa, sąsiedzka. Rozbudzone poczucie krzywdy. Ułaskawiano przestępców, nareszcie mogli kraść i mordować bez sankcji. Na ulicach rozrabiały zapijaczne bandy czerwonoarmistów. Nawet prosta, ludzka pomoc drugiemu niekiedy okazywała się przestępstwem. Przestępstwem było przyzwoite życie i to wszystko, co w człowieku jest ludzkiego. Szła rewolucja ze skrwawionym, czerwonym pyskiem, atakując w swym szaleństwie wszystko, co normalne i nie zdegenerowane. Mordercy, którzy nieśli ową wolność, mogli następ-nego dnia być zamordowani przez innych morderców. Nikt nigdy nie był niczego pewien, zwłaszcza życia i nie miał czasu, żeby być dobrym człowiekiem. Nie mógł ryzykować, bo jako wróg ludu stawał się natych-miast z żywego umarły albo znikał bez wieści, by po latach odnaleźć się w łagrach.

Rozprawa w komunistycznym sądzie stanowiła dla Adama uwię-nczenie oczyszczających procesów. Podczas procesu dowiedział się o sobie wielu rzeczy, o które nawet by siebie nie podejrzewał. Dlatego nabrał prze-konania, że czeka go kara śmierci, bo za tak wielkie szkody wyrządzone ludowej ojczyźnie nie mógł spodziewać się niczego innego. Codziennie wy-konywano wyroki, wiedział nawet gdzie. I codziennie słyszał krzyki prze-słuchiwanych.

Zimą dosłownie zamarzał w nieogrzewanej celi, a mimo to nie zacho-rował. Właściwie poza katarem trzymał się całkiem nieźle. Ostatecznie Adam został oskarżony o chęć obalenia władzy ludowej w państwie robot-ników i chłopów. Dorzucono mu również współpracę z okupantem i z ame-rykańskim wywiadem. Słuchając wyroku, miał wrażenie, że odgrywają przed nim jakąś komedię. Ale o związku z Mieczysławem nic nie wiedzieli.

Zmuszono go za to do przyznania się do rzeczy idiotycznych, w któ-rych nigdy nie brał ani nie mógł brać udziału. Za te swoje domniemane poczynania dostał karę piętnastu lat ciężkiego więzienia. Patrzył na sędziego, która odczytywała mu wyrok, i prawie poczuł ulgę. A więc tylko tym się

skończyło. Nie dostał najwyższego wymiaru kary. Jak powiedzieli, dali mu czas, żeby przemyślał swoją dotychczasową postawę i przeszedł resocjalizację, która pomoże mu poznać jego obywatelskie powinności. Sędzia miała ciemne, przyлизane włosy, bladą twarz i paskudny pieprzyk koło wargi. W jej oczach migotała złośliwość. Stał przed nią młody człowiek, doświadczony latami wojny, a ona skazywała go spokojnie na piętnaście długich lat więzienia za zbrodnie, których nie popełnił, o czym dobrze wiedziała.

Jolanta Maria Cywińska

Jolanta Cywińska
 Trzy kroki od miłości, dwa kroki od śmierci
 Wydawnictwo Naukowe ASKON
 Warszawa 2016
 ss. 235
 ISBN 978-83-7452-093-5



Rafał Lasota

Jeździec diabła

Część I

(fragment)

Świat to bardzo dziwny zbieg okoliczności.

Mają w nim miejsce historie, których wyjaśnienie, zrozumienie czy tak popularne dzisiaj „ogarnięcie” bywa po prostu niemożliwe. Taki wypadek zdarzył się w zwyczajne, czerwcowe popołudnie. Kiedy siedziałem w fotelu, wpatrując się w zachód słońca, do mojego „składu staroci” zwanego Domem Aukcyjnym „RAWICZ” przyszedł spóźniony klient. Mężczyzna nie należał do żadnej ze znanych mi kategorii petentów, które wymyślałem na własny użytek. Każdego dnia zjawiali się u mnie osobnicy ciągnący za sobą stęchły odór historii i niepranego odzienia. Tych nazywałem „naftalinowcami”. Osobnicy owi znosili stare książki, skrzypce, czasami biżuterię, zegary, sztuce... „Naftalinowcy” ściągali wszelkie, ich zdaniem, wartościowe artefakty, z którymi zapragnęli się rozstać. Ze spokojem tolerowałem ich mdlący zapach. „Naftalinowcy” najczęściej spotykali się z moją odmową. Z jękiem zawodu wychodzili wtedy, wlokąc Rembrandta czy Kossaka, który dla ścisłości nie był nawet Rembrandtowskim ani Kossakowskim, i znikali za rogiem. Jednak „naftalinowcy” zawsze wracali. Po kilku dniach przynosili kolejną fantastyczną ofertę, aby znowu odejść z kwitkiem.

Zjawiali się także inni dużo bardziej wymagający, których nazywałem klientami „specjalnymi” albo „specjalnej troski”. Specjalnymi z reguły bywały starsze małżeństwa, które dawno odchowwały przypadkowo spłodzone dzieci, a wnukami nie miały zamiaru i chęci się zająć. Dla specjalnych emerytura była czasem wypoczynku, okresem rozwijania własnych pasji, których za młodu nie zdążyli osiąść. Specjalni garściami ściągali na siebie wszelkie możliwe i niemożliwe zamięłowania z siłownią, salonem odnowy i skokami spadochronowymi łącznie. Na zachcianki wydawali fortuny. Specjalni z reguły szukali „czegoś specjalnego”, stąd też wzięła się ich nazwa.

W moje progi zaglądali także „przypadkowicze”. Ot, jeden z drugim przypadkowo wlaźł do wnętrza wypełnionego starymi gratami. Przypadkowicz

z reguły miał trochę kasy przy duszy i nieco czasu przed biznesowym spotkaniem. Zamiast szwendać się beczynnie po ulicy albo chleptać w kafejce szóstą kawę przypadkowicz postanawiał złapać trochę kontaktu ze sztuką i wchodził. Przypadkowicz sennie przemierzał pokoje galerii. Przypadkowicz wiedział, że takie same wazoniki, kryształ, obrazki czy rzeźby stoją we wszystkich muzeach na świecie z jedną różnicą, aby obejrzeć tamte trzeba zapłacić za wstęp. Przypadkowicze poruszali się niemrawo do chwili, kiedy pośród tysięcy bibelotów odnajdywali wspomnienie z dzieciństwa albo z innego życia. Wtedy działa się z nimi magia. Oczy przypadkowicza płonęły romantycznym żarem. Porywał ich do tańca wir poezji, wiedzeni dłonią anielskiej Terpsychory podchodzili do mnie i nabożnie wypowiadali dwa słowa: „To proszę”. Na przypadkowiczach zarobek był największy.

Byli wreszcie kolekcjonerzy – „zbieracze”, którzy wiedzę o sztuce czerpali od wujka Google lub z „Leksykonu malarstwa białego człowieka”. Zbieraczom zasobność portfela pozwala na unikanie śmieszności spowodowanej zakupem fałszyfikatów. Zbieraczami opiekowałem się osobiście. W końcu z kogoś żyć trzeba. Jak już wspomniałem tamtego popołudnia nie pojawił się u mnie żaden z przedstawicieli osobniczych gatunków, które tak obrazowo przedstawiłem.

Mężczyzna wszedł do salonu tuż przed godziną dziewiętnastą. Był wysokim postawnym facetem z mocno srebrzystymi włosami. Przez ramię przewieszony miał dwurzędowy szynel. Na nogach nosił długie, skórzane buty z wyraźnymi otarciami na pięcie. Te otarcia zwróciły moja uwagę, bowiem tak charakterystyczne ślady powstawały wyłącznie na skutek częstego przypinania ostróg.

„Kolejny dziwak na koniec dnia, ciekawe gdzie zaparkował rumaka” – pomyślałem i spojrzałem na faceta, który zbliżał się do mnie. Człowiek beznamietnie minął wiszącego na ścianie Aksentowicza i Boznańską, czym mnie znieścaczył. Pogardził Chełmońskim, czym mnie zasmucił, nie zaszczycił spojrzeniem fantastycznego płótna Leszka Piaseckiego, czym mnie wkurzył. Mężczyzna podszedł do mojego biurka i chrapliwym głosem powiedział:

– Chcę coś sprzedać. Teraz!

– Miło, że pan przyszedł, ale za chwilę zamykam. Wypisywanie kwitów zajmie kilkanaście minut, a na dodatek większość przynoszonych antyków biorę w komis. Rozumie pan, trudno zamrażać kapitał.

– Ale czasami robi pan wyjątki? – zapytał mężczyzna ochrypłym głosem.

– Zdarza się, że coś kupuję za gotówkę, ale bardzo rzadko.

Dopiero teraz srebrzystowłosy rozejrzał się po galerii. Jego przymrużone, niebieskie oczy zatrzymały się na wskazówkach wiktoriańskiego zegara, który z poziomu wiśniowej szyfoniery oznajmiał właśnie godzinę zamknięcia. Żałowałem, że mechaniczny zegarek zamiast zwykłych kurantów nie odzywa się donośnym głosem, wołając „Won do domu, zamykamy”.

Facet z siwymi włosami wyglądał na coraz bardziej zdesperowanego, co sprawiło, że poczułem się niekomfortowo. Co prawda miałem pozwolenie na broń i czasami nosiłem pod marynarką splotkę, ale przyznam, że nigdy z niej nie korzystałem. Raz czy dwa podczas próby kradzieży zamiast za pistolet chwytałem pierwszy lepszy pałasz z wystawy i rzucałem się na złodziei. Błędne oko, bojowy okrzyk i metrowa głównia miecza w dłoni wystarczała. Na taki widok każdy napastnik moczył skarpetki mimo ściśle zapiętych butów.

Teraz ukradkiem spojrzałem w stronę zaplecza, gdzie rankiem odłożyłem przyjęte do depozytu pałasze francuskiej kawalerii. Wołałem zawczasu przypomnieć sobie, z której strony leży zbawienne ostrze. Mój wzrok przechwycił srebrzystowłosy. Kiedy dostrzegł zestaw błyszczących szabel, uśmiechnął się kpiąco. Otrząsnął się jednak i nieco spokojniej powiedział:

– Mam mało czasu, gardłowa sprawa. Potrzebuję pieniędzy.

– Niech pan zadzwoni do banku, mają chwilówki – poradziłem nie bez złośliwości.

Facet zmierzył mnie lodowatym wzrokiem.

– Niech pan zrobi wyjątek. – To mówiąc, wyjął spod płaszcza półkolisty kawałek metalu. Wręczył mi go bez słowa.

Muszę przyznać, że to, co zobaczyłem, bardzo mnie zaskoczyło. Pierwszy raz w życiu trzymałem w rękach blachę czelną z czapki oficera Legii Nadwiślańskiej. Legia walczyła w składzie armii Napoleona na terenie Hiszpanii. Żołnierze z biało-czerwonym proporcem byli najbardziej znienawidzoną formacją armii cesarza Francuzów. Oglądałem kiedyś znakomity polski film „Popioły”. Główną rolę zagrał w nim Daniel Olbrychski, stając się Rafałem Olbromskim. Po premierze „Popiołów” namnożyło się w PRL-u Rafałów jak psów. Sam dostałem takie imię na chrzcie. Właśnie w „Popiołach” pierwszy raz zobaczyłem Polaków, mordujących hiszpańskich powstańców z okrzykiem „Nich żyje cesarz”. Polscy legionieści walczyli w Hiszpanii z Hiszpanami o niepodległość Polski. Z kolei Hiszpanie, walczyli o niepodległość swojego kraju, Hiszpanii, z Polakami. O ile pamiętam, Polska nigdy nie miała żadnych pretensji do Hiszpanii ani Hiszpania

do Polski. Całe to zmieszanie powstało za sprawą francuskiego kurdupla Napoleona Bonaparte, który zapragnął panować nad światem. O bestialstwach Legii Nadwiślańskiej głośno było podczas oblężenia Saragossy, walk na rzeką Aragon czy bitwy pod Mallen. Straszliwa sława Polaków sprawiła, że Hiszpanie szybko zaczęli nazywać legionistów „Jeźdźcami Diabła”.

– To niespotykana rzecz – powiedziałem – skąd pan to ma? Pamiątek po legii jest bardzo niewiele, zwłaszcza tak dobrze zachowanych. Blacha w kształcie promieni zachodzącego słońca. W owalu litera „N”, nad nią cesarska korona, złożony mosiądz. Wyróżnik należał do oficera. To rarytas nawet dla muzeum.

Odwrociłem blachę, aby zobaczyć drugą stronę. Jakież było moje zdziwienie, kiedy na rewersie zamiast czystej lśniącej powierzchni ujrzałem przyschnięte grudy brunatnej ziemi.

– A to co? – zapytałem.

– Przepraszam, nie miałem czasu wyczyścić, blaszka trochę przeleżała na polu. Wie pan, jak to jest na wojnie... – odparł srebrzystowłosey.

– No właśnie nie wiem, jak to jest na wojnie? – podchwyciłem.

– Niesympatycznie. Doczyści pan sobie to cacko albo proszę potrącić z należności. Niech się pan pośpieszy. Naprawdę nie mam czasu.

Raz jeszcze obejrzałem blachę. Nie miałem wątpliwości, była autentyczna. Nawet resztki mocowań, jakimi przytwierdzana była kilkaset lat temu do czaka lansjera, były autentyczne. Dziwiło mnie jedynie, że ponad dwustuletni obiekt jest tak doskonale zachowany. Zastanawiałem się chwilę, ale pokusa okazała się silniejsza.

– Dobrze, wezmę to. Myślę, że pięć tysięcy złotych będzie uczciwą ceną. Mężczyzna skinął głową wyraźnie rozluźniony.

– Poproszę o dowód osobisty. Muszę spisać umowę – powiedziałem.

– A nie można bez dowodu.

– Nie – opowiedziałem stanowczo.

Srebrnowłosey wyciągnął z kieszeni dokument.

– Wincenty Krasiński – odczytałem, wpisując nazwisko do formularza. – Adres?

– Warszawa, ulica Potockiego 6.

– Mieszka pan w Wilanowie? Ekskluzywna dzielnica.

– Nie zauważyłem.

– Widocznie słabo pan się rozgląda.

Chociaż facet był moim klientem, a jego antyk na pewno pozwoli mi zarobić parę złotych, czułem, że nawiązanie z nim dalszej rozmowy

było bezcelowe. Osobnik Wincenty był po prostu niesympatyczny, zimny i ostry. Patrzył z wyższością. Widać, że przywykł do wydawania rozkazów i nie znosił sprzeciwu. Nie miałem chęci kontynuować wymuszonej pogawędki. Dlatego wypłaciłem należność możliwie najszybciej i wróciłem do domu.

* * *

Samotność to bardzo wkurwiające zajęcie! W czasie erupcji samotności nudzi nawet aktywny rowerek na zapoconej siłowni, nudzą nieudolne wyjścia do klubu. Chociaż trudno w to uwierzyć w czasie erupcji samotności nawet wódka szkodzi. Jednak nic lepszego od samotności nie ma.

Życie samotnika coraz częściej nazywanego singlem to ciągle szukanie siebie w drugim pokoju. Zapewne szukający kiedyś sam się odnajdzie, lecz zastanawiam się, czy to doświadczenie nie będzie dla niego zbyt szokujące. Moje romantyczne uniesienia w stosunkach z płcią odmienną utonęły w życiowym doświadczeniu. Do dzisiaj mam w pamięci przepastne korytarze sądu okręgowego i cień byłej małżonki pożegnanej zupełnie bez żalu – za porozumieniem stron. Widmo tej baby do dzisiaj straszy mnie nocami, wyglądając zza niepranej kawalerskiej firanki. Stoi babsztyl za zasłoną i patrzy, i przygląda się, i mruży te swoje wąskie ślepia, ale przynajmniej się nie odzywa, a to już sukces.

W samotnych wieczorach bywa nudno, ale cieszę się, że jedyne ciepło, które wieczorami grzeje moje dłonie i serce, pochodzi z kubka gorącej herbaty, którą SAM sobie przygotowałem. W samotności dobrze jest znaleźć jakieś zajęcie, tak żeby nie zdziwaczeć do końca. Można pisać książki, chociaż właśnie to jest dziwaczne, można biegać na nartach, goniąc zajęce w śnieżycy – ma to zalety, po pierwsze tanio, po drugie zdrowo. Można też grzebać w starociach...

Przepelniony pogodnymi myślami na temat samotności, wsparty basowym dudnieniem przelatujących w oddali samolotów, wlałem do plastikowej miski gorącej wody. Podwinąłem rękawy odsłaniając przeguby dłoni. Wyciągnąłem z szafy długi wojskowy bagnet z lśniącą klingą. Po chwili obok noża położyłem pędzelek z naturalnego włosia. Z pewnością w tej chwili zawiodłem wszystkich, którzy oczyma wyobraźni widzieli w tej scenie wstęp do opisu samozagłady. Chciałem po prostu delikatnie oczyścić artefakt przyniesiony do mojego salonu przez srebrzystowłosego Wincenta. Ostrożnie zanurzyłem fragment kupionej blachy w wodzie. Ku mojemu

zdziwieniu pozornie skamieniała ziemia zaczęła podejrzanie szybko odpadać. Woda natychmiast zabarwiła się na brunatno-szary kolor. Znałem tę barwę bardzo dobrze. Przed laty, jako dzieciak, znalazłem w niedostępnej części półwyspu helskiego niemiecki hełm z drugiej wojny. Hełm na wysokości potylicy miał sporą przestrzelinę. Na wewnętrznej części blachy zebrała się twarda skorupa szaro-brunatnej ziemi. Podbiegłem nad morski brzeg i zacząłem myć blaszany czerep. Długo szorowałem pordzewiałą blachę kamieniem, zanim stwardniała gruda wreszcie odskoczyła. Woda z hełmu zabarwiła się na szaro brunatny kolor. Po chwili spomiędzy rozpadającej się ziemi wyłonił się niewielki odłamek przypominający drewniany wiór. Przyjrzałem się dokładniej, był to fragment kości potylicznej.

Na samo wspomnienie sprzed lat przerwałem przemywanie wodą i położyłem blachę z napoleońskiej czapy na stole. Włączyłem lampkę, wziąłem szkło powiększające. Pomagając sobie pędzelkiem, delikatnie zdejmowałem warstwy lekko rozmoczonej ziemi. Kolor brunatny wzrastał się coraz bardziej, aby wreszcie ujawnić sporą czerwoną skrzeplinę. Po chwili spomiędzy ziaren brunatnego piachu wyłonił się bielutki, świeży fragment ludzkiej czaszki.

Rafał Lasota

Magdalena Niedźwiedzka**Królowa Bona***(fragment powieści)***Rozdział dwudziesty pierwszy****Oblężenie Rovereto***Rovereto, rok 1509*

Georg von Polentz, szlachcic z Miśni, naprędce kończy modlitwę i wybiega z namiotu, poganiany przez starszego rangą zaciężnego żołnierza, krzyczącego bełkotliwie, na dokładkę w dialekcie niemieckiego, który w połączeniu z hałasem czynionym przez bombardy, mierzące w mury zamku w Rovereto, jest dla Georga niezrozumiały. Od tygodni wojska cesarza Maksymiliana, prowadzące wojnę z Wenecją, bezskutecznie oblegają Rovereto. Brud, wszy i spacerujące nocami po ciałach wycieńczonych wojaków szczury, głód, szerzące się w obozie choroby i mordercze niekończące się oczekiwanie dnia, gdy zamek wreszcie się podda, nie załamały Georga tak, jak niespodziewana choroba księcia Albrechta Hohenzollerna, z którym dzieli namiot. Albrecht jest jego ostoją i nadzieją, że oblężenie skończy się wreszcie sukcesem, żołnierze dostaną zaległy żołd i rozjadą się w poszukiwaniu sławy albo łupów wojennych. Sam Georg od lat nie wie, czego pragnie i jaki jest jego cel. Studiował we Włoszech, pracował dla papieża, wreszcie zaciągnął się do oddziałów niemieckich. Polubili się od pierwszej wymiany zdań. Na tym właśnie polega przyjaźń: człowiek wpada w nią niczym w lodowate wody rzeki przepływającej u podnóża zamku w Rovereto – ciężko, nieuchronnie i z gracją niedźwiedzia, myśli Georg ironicznie. Przyjaźń otwiera serca, jest jak kromka chleba i łyk wody, zwłaszcza kiedy źle się dzieje.

Georg bezmyślnie wykonuje rozkazy, biegnie w pyle, nie czując jesiennego chłodu ani rażącego porannego słońca, bo wciąż ma przed oczyma twarz rozpalonego Albrechta, jego spieczone wargi i błędny wzrok. Oblegającymi dowodzi Kazimierz, brat Albrechta, więc do księcia zagląda obozowy astrolog i medyk w jednej osobie. Przyjacielowi nie brak opieki, najwyraźniej jednak zaczyna mu brakować szczęścia. Georg boi się przyznać przed samym sobą, że Albrecht umiera.

– Chciałem służyć Bogu – przesładują go słowa księcia, widzi jego twarz na tle pochodni wetkniętej między głazy. – Pragnąłem tylko znaku... że jest przy mnie... że potrzebuje mojej służby, czy ty to rozumiesz?

– Kiedy byłem w kurii rzymskiej – odparł wtedy – wierzyłem, że oddając życie namiestnikowi Boga na ziemi, staję się kimś lepszym, służę wyższym celom; niestety, ludzie, których na co dzień spotykałem, byli cyniczni.

– Arcybiskup Herman godził służbę Bogu i sprawom ziemskim.

– Myślisz, że to możliwe? Godzenie wojny z modlitwą?

– Pokazał mi, co znaczy ręka Najwyższego... obrazy, szkice, muzyka... piękno wypielegnowanych ogrodów... marmur, w którym wyrzeźbiono Matkę Boską... piękniejszą od żyjących piękności. Znasz Albrechta Dürera? Jak bez Bożej pomocy namalowałby ogień? Albo pioruny?

Georg wciąż o tym myśli. Czy i jego Bóg uczyni wyjątkowym? Czy on także stanie się dla kogoś źródłem zachwyty? Albo inspiracji? Albrecht jest do niego podobny, lęka się jałowej egzystencji, cierpi przez to męki. Z zapalem rozprawia o przyszłości, wierzy, że wyniesie go ponad przeciętność. Kto wie? Hohenzollern jest księciem, jego wujowie są królami, babka była wnuczką cesarza.

Georg nawet nie zauważył, kiedy minął kolejny dzień oblężenia. Działał odruchowo, poszturchiwany przez innych żołnierzy, przeganiany z miejsca na miejsce. Szczerze powiedziałwszy, boi się powrotu do obozu. Słania się na nogach, nogawice wymagają reperacji, koszula przesiąkła potem i zapachem prochu, poranione stopy raz po raz ześlizgują się z lodowatych kamieni na dnie rzeki, którą znów przekracza, włosy lepią się do czoła i szyi. Zaszło słońce, więc jest zimno, wzmógł się wiatr i nasiliła złośliwość przełożonych, wszyscy są zmęczeni i wściekli, zwłaszcza że kolejny raz Rovereto dało im odpór. Georgowi przychodzi na myśl, że wojna z Wenecją jest równie bezsensowna jak jego wcześniejsza praca dla papieża. Zastanawia się, czy Bóg pozwala zwyciężać swoim wybrancom, czy już na dobre opuścił ludzi. Czuje bezsilność i wstyd mu, że pomyślał coś tak szkaradnego. Błuzni ze strachu, który go paraliżuje.

Sługa księcia w pośpiechu opuszcza namiot, a Georgowi serce skacze do gardła. Przed tygodniem uświadomił sobie, że prawa rządzące światem dotyczą także przyjaciela, a śmierć kosi nie tylko obcych mu współtowarzyszy, więc pewnego dnia może zajrzeć i do ich namiotu. Rankiem, gdy opuszczał Albrechta, w namiocie panowała cisza; chory nie rząził, nie było słychać jego niespokojnego oddechu. Twarzy nieprzytomnego nie

pokrywały też, jak zawsze ostatnio, krople potu. Czyżby nie żył? Georg siada ciężko na ubitej ziemi przed namiotem, nie zważając na poszturchiwania pędzących po pierwszy tego dnia przydział jedzenia. Tępy wzrokiem patrzy w falującą ścianę lasu po drugiej stronie rzeki. Zamek drwi z wojsk cesarza i spokojnie szykuje się do snu. Georg znów jest sam, jak przed tygodniami, kiedy nie znał jeszcze Albrechta Hohenzollerna; czuje się samotny i nikomu niepotrzebny, a co straszniejsze – przez nikogo nierozumiany. Przyjaźń otwiera serce. To nieprawda! Georg jest zły, że książę zawładnął jego myślami tylko po to, żeby go zostawić u stóp diabelskiego zbocza w Rovereto! Po co cesarzowi Maksymilianowi kolejny przeklęty zamek, zsyłający na nich wszelkie plagi i choroby? Co z nim zrobi jutro, kiedy już Georg zburzy mury, a nie ma wątpliwości, że to uczyni, bo jego gorycz i gniew są w stanie przepalić ziemię aż do samego piekła. Tak! Georg chce skonać w jego otchłani, nie ma sił do dalszej walki, siedzi oto niczym strzęp człowieka, z twarzą pooraną bruzdami i wyblakłymi oczyma wpatruje się w mrok, gdzie jeszcze niedawno widział meandrującą rzekę. Nienawidzi Włoch, Wenecji i papieża, ligi w Cambrai, Francuzów i Hiszpanów, nienawidzi wszystkiego i wszystkich. Słyszy rechot towarzyszy nawykłych do mizernych porcji jedzenia i lichego piwa, które na szczęście jest w stanie choć na moment zaćmić ich umysły. Gdzieś w oddali chichoczą dziwki i szczeka jakiś zagubiony pies, jakby kogoś rozpaczliwie nawoływał.

Georg wstaje i ślaniając się na nogach, wchodzi do namiotu. Powietrze wewnątrz jest tak stęchłe, że oddychając nim, odczuwa wstręt. Oczy wolno przyzwyczajają się do ciemności.

– Myślałem, że nigdy już nie wrócisz – słyszy szept i zalewa go fala gorąca.

– Napędziłeś mi strachu – odpowiada, starając się, żeby to zabrzmiało lekko, ale jego głos jest ochrypły i pełen zawstydzającej czułości.

Albrecht z trudem łapie powietrze pomiędzy krótkimi parsknięciami śmiechem. Próbuje usiąść, ale Georg powstrzymuje go stanowczo.

– Żyjesz, stary draniu? Co to było, do diaska? Co robiłeś przez ostatnie dni? Zachciało ci się odpoczynku?

– Miałem sen.

– Bredziłeś w gorączce.

– Miałem sen. Śniło mi się, że papież okrył mnie czerwonym płaszczem – szepce Albrecht.

– Wracaj do domu, to nie jest miejsce dla ciebie.

Książę czuje słabość, ale jest przytomny i powoli wszystko sobie przypomina – początek choroby, nagłe omdlenia i zawroty głowy. Minione dni są niczym sen. Gdzie był, gdy jego dusza opuściła ciało i wędrowała w odległych rejonach, rozmawiając z ludźmi, których nie zna i zapewne nigdy nie pozna?

– Pożycz pieniądze i jedź do Ansbach, druhu.

– Odwiedzisz mnie tam?

– Tak. – Georg uśmiecha się szeroko, wyobrażając sobie, jak bardzo smród jego ubrań musi drażnić powonienie chorego. Myśli, że Albrecht nie jest stworzony do wojaczki, choć tak marzy o wojennych sukcesach, a jego mocna postura zdaje się do nich stworzona. Potem kładzie się na swoim posłaniu i patrzy w górę. Przez małe rozdarcie materiału widać skrawek jasnego nieba. Jasność jest złudzeniem, bo przecież dawno zapadł zmrok. To tylko złudzenie... jak wszystko w ich bezsensownym życiu.

Magdalena Niedźwiedzka

Jacek Pankiewicz
Parę słów na temat
który jakby nikogo nie dotyczył

*Hej! kto pierwszą myślą, sercem kochał,
Gdy wartko śmiga miłość płocha,
Kto wybrał lot najśmielej –*

1

Oj, pisało się kiedyś, pisało; nie pisze się już teraz;
jak się rozejrzeć wokół – i po tym, co się pisze – –

Są dwa tematy jeszcze, które być może – może!! – uratowałyby poziom nastroju komuś.

Nastroju komuś... ach, cóż za troska? kto dzisiaj dba o nastrój kogoś? kiedy...

nasze postępowe, tfu, progresywne czasy, ponad wszelką wątpliwość dowiodły, że nie warto się już troszczyć o cudzy humor, a nastrój tym bardziej! trzeba tylko być kimś!! a przestać kim przestało warto być.

No, jeśli tylko artystą się jest! każdy dziś chce być artystą! kto może i nie może;

a jeśli już jest – to tylko artystą Niezależnym!

Niedawno, całkiem niedawno, zawiązało się nawet stowarzyszenie Artystów Niezależnych; zawiązało i szybko zamilkło.

Jeszcze bardziej niedawno oglądałem w naszych, niezależnych rzecz jasna mediach, występ Takiego, co pokazał w całej swej niedo-okazałości, jakim to niezależnym on jest,

a bo jakim?

no, Najważniejszym Z Wszystkich co tam byli! i stanął przed kamerą w stanie jaki sobie wybrał, a właściwie legł, naćpany, przy okazji chciał pobić swojego rozmówcę, by wykazać własne zdanie. Jako że od pewnego czasu żyjemy w Cywilizacji Przyjemności, on nawet i dyktaturę tej swojej przyjemności chciał wykazać – i nie powstrzymywał się od pokazania żadnej ze swych przewag, i może tylko nie pruknął, bo nie czuć było. On przecie jest nie byle jaki tam Pisorz! głosi swoje poglądy każdemu, kto chce i nie chce słuchać. On tu występuje jako zasłużony! Należność swą odbiera, bo Niezależnym Artystą chce być, i musi to udowodnić. Jak

ów ze starożytności, który pożar wywołał, by wyrwać się z lichej anonimowości, do sławy – –

Minął już tydzień od tamtego zdarzenia, a stacja nic, za gościa nikogo nie przeprosiła; zakłada, że z widzów nikt nie obraził się i na stację.

Bycie publicznie obrażanym to dziś norma; a prywatnie i tak nikt do niczego się nie przyzna, bo komu! nie cenią ludzie i tej resztki własnej ludzkości.

2

A ja sam – jak żyję? i jaki mam do tego stosunek?

Już urodziłem się w jak najgorszych latach. Gdy waliła się Polska... czwarty rozbiór, no i w rozbitej rodzinie! kto nie rozumie, co dla dziecka znaczy brak jakiegokolwiek płaszczyzny odniesienia, by wyrwać się z tego, choćby na chwilę, do względnej równowagi, ten o życiu nic nie wie; nie podejmuję się tego tłumaczyć. Wszystkie lata moje potem były tylko ugniataniem tej miazgi, z poczucia gwałtu, tej struktury bezsensu.

Dziś, po osiemdziesięciu latach – co spotykam? niby ktoś coś tam zaczyna... ale reakcji brak! wszyscy na to patrzą, bez współczucia, i bez chęci, by wejść z nim w kontakt! młodzież też w przytłaczającej większości ogranicza się do jednopłaszczyznowego dotyku świata, poprzez kciuk.

Obojętność! bez udziału rozumu i uczuć; a uczucia innych?

Cóż, ostatecznie pozostawałoby jeszcze odwołać się – do Boga.

Ale kto dziś wierzy?

W moim życiu różnie bywało z Bogiem.

Na początku wierzyłem ufnie.

Potem rzecz jasna rozczarowałem się, zwątpiłem przy konfesjonale. Trzeba było budować własną skalę potrzeb.

Jeden przykład.

Pamiętam jak w 44. zapragnąłem zdobyć wreszcie odpowiednią broń dla siebie, kiedy wszyscy coś mają... więc ja, dorosły już dziewięciolatek, miałem empi, ale było za ciężkie dla mnie; i tuż po przejściu frontu, gdy niebo jeszcze było od dymu tak czarne, że mogło osłonić i mój niecny zamiar, poszedłem, pod jego osłoną, do długiego na kilometr okopu, gdzie w ostatniej linii zmagania, w uścisku zwarcia trwali najeźdźcy ze Wschodu i Zachodu: z okopu nie wydostał się już żaden do biegu na Wschód lub na Zachód; więc teraz ja przychodzę, młody, prawie już dorosły chłopak dziewięcioletni, by zdobyć broń, bo tamtym niepotrzebna; a dla mnie – nie

by atakować kogoś, walczyć, ale żeby się bronić! no, bo czasy takie, musiałem mieć broń!

i idę, idę, nic odpowiedniego nie znajduję, a tu już coraz bardziej na niebie ciemno; pochowali sobie wszystko co lepsze czy jak?

tak idę już z pół kilometra – o! jest taki jeden, zamierzył się na Zachód i został, jego drużyna pewnie pobiegła, on nie zdążył wyskoczyć – został już tylko by wskazywać kierunek! i wisi nad nim ten pistolet w powietrzu, przedłuża dłoń!

więc jakby to nic, zachodzę z tyłu, będę niby też maszerował na Zachód! och, by mnie tylko nie ucałił za kark!

i szarpnię się, wykręcam mu dłoń, on puścić nie chce –
lecz w końcu i odezwał się:

– *Da słysz riebionok! tobie nie lzja! nie nada! idi at sjuda!*

co słyszę?! doradcą moim chce być! podnoszę ją głowę ku słońcu, całkiem gdzieś znikło! on doradcą moim chce być, a już tu ciemno jak mara! no i przestraszyłem się!

Cóż! warto przyjąć rozsądną radę choćby i od Najeżdźcy!

i uciekłem stamtąd; choć to była moja ziemia.

Bóg, okazuje się, mieszka nieraz blisko, najbliżej jak tylko można – w Drugim Człowieku.

Pytanie tylko – w którym!

jak było i w tej sytuacji.

Trzeba tylko, przedtem albo potem, umieć zmienić miejsce – szybko stamtąd uciec!

...I po przemyśleniach, czasem, znów wierzę.

A bo to wydaje ci się, że coś się dzieje z tobą tak – jakby to nie tylko od ciebie zależało.

3

Wśród dorosłych mówi się czasem, że Bóg jest miłością. Może i tak. Na pewno nie wiem.

A przede wszystkim tyle wiem, że miłości na świecie coraz mniej.

Szukałem jej, nawet dość natarczywie; a raz znalazłem niby inny sposób na miłość –

poprzez moją reakcję na innych;

oni już się niczego nie spodziewają, a ty jesteś obok...

i stajesz się niby owo czułe otoczenie! ach, cóż się dzieje?

zmieniasz nagle świat cały!
 najpierw tylko ze zdziwieniem pozerkują! zdziwieniem jak wielkim!
 a ty nic, nawet i nie patrzysz –
 kto wie, może wtedy i stajesz się dla nich miłością. Oną dla innych!
 Bo ludzie to są zwykle najpierw obojętne ślamazary, bez wysiłku zrozumienia żyją –
 jakby wciąż nie wiedzieli, na czym niby miałyby polegać to życie.

4

Długo i wciąż szukałem.
 Aż trafiłem w wasz świat.
 Z mojej durnej choć bujnej młodości jak śliwka w kompot wpadłem –
 w waszą szarość;
 w starzyznę coraz bardziej martwego spoglądu na innych; a ja tam
 przecie – niby bezrodna pestka, spadłem na bruk.
 Lecz dziś i moja Starość nie wyrzeka się tamtej drogi! wciąż jest porównywalna z innymi, jak tamta Młodość!
 naprzeciw niedojrzałości stoję – już coraz dalej od mojej młodości.

5

A bo i o młodości dzisiaj – kto by tam pisał jeszcze?
 „Gdy skroń siwizną będzie spowita, pisałem, pisało się,
 spotka cię młody człowiek (a on niby wierutnie niemy, on całkiem już
 stary),
 zechce o przeszłe życie zapytać: staremu – młody opowie! ”.

6

Pisanie to jeszcze wciąż mój kontakt! a kontakt to pierwszy etap czego?
 Potrzebuję pisać, jak jest!
 i także pisać – jak żyć należy!
 Młodość ze Starością, i Starość z Młodością, to niby Początek z Końcem,
 łączą się!
 Jeśli Początek odpowiedni, to i z Końcem, da Bóg, łatwiej przyjdzie dać radę.
 I z tym musisz sobie radzić sam. Odwołując się nieraz do! Do.

7

A dzisiaj wszyscy odwołują się – tylko do polityki!

Bo muszą od czegoś zależeć.

Nie należąc do siebie. Siebie im brakuje.

Jeszcze Cyncero, tam kiedyś, przemawiał, on orator:

Placet mihi patres conscripti, monumentum fieri quam amplissimum!

Wspaniały pomnik chciał stawiać. A komu?

A innym. Nie sobie przecie.

Trzeba umieć Innych podnieść na poziom taki, wyżej siebie! już wtedy
będzie nieźle!

Lecz kto dziś to jeszcze zrozumie?

Jacek Pankiewicz

18 lutego 2018

Jan Krzysztof Piasecki

Rwanie

W mojej zagubionej wśród Wzgórz bazy turystycznej drzewa i krzewy stały nagie, jedynie porzeczeki puszczały pierwsze maleńkie listki. Bocian przyleciał wczoraj; siedział na gnieździe koło domu i klekotał, zapraszał partnerkę i ogłaszał wiosnę. Wraz z boćkiem pojawili się pierwsi goście. Nad ranem jeden z nich zapukał do mojego pokoju.

– Bardzo boli mnie ząb, czy ma pan jakieś proszki?

Pogrzebałem w szufladach, znalazłem stosowny medykament i wręczyłem mu.

Wieczorem rozpakowałem twardą czekoladę, która podobno podnosi nastrój, i pogryzałem, gapiąc się w telewizor.

Trachch! – chrupnęło mi w szczękę. Ukruszyła się stara korona, a wraz z nią urwało się pół zęba. Macałem językiem miejsce złamania i natrafiałem na dwa kolce, które pozostały z mojej piątki.

– Przeszedł panu ból zęba? – zagadnąłem nazajutrz turystę.

– O tak, dał mi pan świetny lek – podziękował.

Wygląda na to, że odkupiłem jego ból; jakieś лихо przesunęło akcenty – pomyślałem.

Zatelefonowałem do kilku gabinetów dentystycznych. „Nie wrywam. Wrywam tylko odpłatnie” – słyszałem. Ale w końcu znalazłem – za darmo, w ramach państwowej opieki zdrowotnej. I termin był sensowny, kilka dni. Wyjaśniłem, co i jak i umówiłem się na wizytę.

Zaparkowałem auto na skraju blokowiska i łąziłem w poszukiwaniu przychodni. Znajdowałem się przy ważnej arterii Soki – po drugiej stronie stał duży zabytkowy kościół, w którym kilka lat temu zdarzył się cud i teraz przyjeżdżały tu pielgrzymki z całej Polski. Dlatego tuż za ulicą znajdował się ogromny parking na autokary i auta pielgrzymów, a dalej hotelik i restauracja.

Przychodnia dentystki mieściła się w bloku w mieszkanku na parterze, z widokiem na kościół. W korytarzu napotkałem asystentkę, która zaraz zaprowadziła mnie do gabinetu. Zastałem tam kobietę w średnim wieku, o zmęczonej twarzy. Prowadziła praktykę prywatną, a Państwo refundowało jej koszty leczenia ubezpieczonych pacjentów.

Zasiadłem na fotelu dentystycznym.

- Tu trzeba załatać siódmkę – puknęła w ząb zagiętym szpikulcem.
- Tak, ale najpierw ten do wyrwania.
- Widzę, widzę. Zrobimy znieczulenie.

Czekałem. Poszła do szafki, przyniosła strzykawkę z lignokainą i zrobiła mi dwa zastrzyki w dziąsło obok złamanego zęba.

- Trzeba trochę poczekać – powiedziała.

Czekałem.

Przyszła asystentka i powstało pewne zamieszanie.

- Ale ja nie mam szczypiec – zwróciła się do mnie dentystka.
- Jak to? Przecież przyszedłem na rwanie...
- Tak, ale to jest ząb u góry, a ja mam szczypce do dolnej szczęki.
- Gdy się zapisywałem, mówiłem, który to ząb...
- Dzisiaj przyszło dużo pacjentów i wszystkie szczypce do górnej szczęki użyłam do zabiegów. Mam szczypce do dolnej...

– Dała mi pani zastrzyk! – komicznie podniosłem głos, bo gęba już mi puchła od znieczulenia.

Dentystka podeszła do asystentki i coś jej szepnęła.

Stały przy oknie. Porównywałem je: asystentka była szczupła, ciemnowłosa, niespokojna, nieco młodsza od jasnowłosej, niewysokiej, ale mocno zbudowanej szefowej. Musi mieć dużo siły, żeby rwać i rwać cały dzień...

- Niech pan poczeka – powiedziała moja niedoszła oprawczyni.

Asystentka wyszła z gabinetu i za chwilę wróciła ze szczypcami.

- Mam od górnej szczęki – powiedziała.

- Jak to!? – zdumiałem się. – Przecież mówiła pani, że nie ma szczypiec.

- A jednak są – usłyszałem.

– Ale czy te szczypce są na pewno zdezynfekowane? Czy wygotowała je pani w autoklawie?

Nie doczekałem się odpowiedzi, zapytałem więc drugi raz.

Asystentka stała ze szczypcami w dłoni, kobiety patrzyły na siebie unikając mojego spojrzenia.

– Włożę te szczypce do autoklawu i wygotuję, niech pan pójdzie się przejść i wróci za półtorej godziny – odezwała się dentystka po chwili milczenia.

- Jak to, a zastrzyk, znieczulenie?

- Znieczulenie działa do ośmiu godzin – odparła.

Zawahałem się.

- Dobrze – powiedziałem w końcu. – Będę za godzinę.

Wstałem z fotela i wyszedłem z gabinetu.

W przedpokoju stał drobny, siwy mężczyzna. Był to Lubiuk, z którym poznała mnie kiedyś moja znajoma. Mieszkał w domu otoczonym polami tuż za Sokółką. Był kiedyś nauczycielem historii w szkole niedaleko Białegostoku. Ożenił się ze swoją piękną uczennicą młodszą o 20 lat. Lubiuk odszedł ze szkoły, kupił tę posiadłość i wybudował dla żony dom. Nie uczył już, uprawiał pola i hodował owce. Zagródki w jego owczarni były czyściutkie i regularne, jagniątka wychodziły od matek na korytarz przez niziutkie przejścia, jadły sianko i wracały do boksów. Gdy podrosły, Lubiuk sprzedawał je na rzeź do Włoch. Całe to jego owcze obejście przypominało malutki obóz koncentracyjny. W końcu przez nieuwagę puścił owce w seradelę, obzarły się, wzdęły i większość zdechła. Lecz wkrótce odbudował stado. Żona urodziła dwoje dzieci śliczne jak owieczki i przechadzała się po domu w szpilkach i kusym sweterku narzuconym na gołe ciało. Lubiuk prał ubranka, gotował dzieciom zupki. Wkrótce żona uciekła pozostawiając mu swój przychówek.

– Pan tutaj? Dzień dobry – powitałem Lubiuka.
 – Dzień dobry! – ucieszył się. – Dobrze pan trafił, to dobra dentystka!
 – Świetna – powiedziałem z przekąsem.
 – Sama tu się męczy, a pacjentów bez liku. Dzisiaj jakoś pusto?
 – Przez cały dzień byli podobno. No nic, śpieszę się – bąknąłem i wyszedłem z przychodni. Na parking pod kościołem po drugiej stronie ulicy podjeżdżał autokar. Gdyby któregoś z pielgrzymów rozboleł ząb, pomoc jest blisko!

Szczęka mi zdrętwiała, język miałem jak kołek. W tej chwili powinien o odbywać się rwanie, pomyślałem. Dotarłem do samochodu i siadłem za kierownicą. Co robić? Siedziałem długo w aucie, nie mogąc zebrać myśli.

Zatelefonuję do Gosi, postanowiłem. Może ona coś poradzi?

Gosia odebrała telefon i opowiedziałem jej historię z dentystką. Zaczęła się śmiać.

– Ale naprawdę! Czy to nie jest fragment jakiegoś twojego opowiadania?

– Naprawdę! Przecież słyszysz, że niewyraźnie mówię. Co robić?

– Trzeba było przyjechać do mnie do Jędrzejowa! Moja dentystka wyrwałaby ci ząb za sto złotych. Albo wtedy, kiedy u mnie byłeś...

– Byłem tylko trzy dni, a do tego wtedy ząbek miał jeszcze koronkę... I do ciebie jest tak daleko, pół Polski trzeba przejechać...

Znowu zaczęła się śmiać.

– Ale naprawdę, naprawdę? – upewniała się.

Byłem zdruzgotany. Chwilę siedziałem w bezruchu, znowu zbierałem myśli.

Zadzwoniłem do Karola i opowiedziałem mu, co mnie spotkało.

– Uciekaj stamtąd, uciekaj! – wrzasnął Karol. – Nie wracaj do gabinetu! Chcesz, żeby ci żółtaczkę baba wpuściła? Albo coś gorszego. Przecież to jest trzeci świat, ta prowincja. Uciekaj!

– Nie taki trzeci świat. Po prosu źle trafiłem...

– Jedź do domu – powtórzył Karol. – W Warszawie sobie wyrwiesz, dam ci dobry adres.

Posiedziałem jeszcze chwilę, poszedłem do przychodni, uchyliłem drzwi gabinetu. Dentystka stała obok usadzonej na fotelu pacjentki i grzebała jej w zębach.

– Rozmyśliłem się. Szczypce były brudne! – wykrztusiłem.

Kobieta patrzyła na mnie pustym wzrokiem. Wydawała się bardzo zmęczona. Chciała coś powiedzieć, ale ubiegłem ją – odwróciłem się i szybko wyszedłem.

Znieczulenie przeszło, a minęła dopiero godzina. Skierowałem się do pobliskiego sklepiu spożywczego. Przy ladzie stał Lubiuk i kończył robić zakupy. Wydawał się zadowolony.

– Znowu się spotykamy – powiedziałem. – Już panu wyleczyła zęby?

– A tak, wyrwałem sobie u niej czwórkę, bo już była do niczego – powiedział.

– Górną czy dolną? – spytałem.

– Górną – odpowiedział. – A co?

– A nic – odparłem.

– Bocian przyleciał? – zmieniłem temat.

U Lubiuka, tak jak u mnie, gniazdo było na słupie niedaleko domu.

– Przyleciał kilka dni temu, ma już partnerkę!

Kupiłem trochę jedzenia, wróciłem do auta i ruszyłem do mojej samotni na Wzgórzach. Cóż, trzeba będzie wyrwać ząbek w Warszawie, pomyślałem. A może do Gosi pojechać, połączyć konieczne z przyjemnym? Tak, w przyszłym tygodniu wybiorę się do Gosi.

Jan Krzysztof Piasecki

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Letni flirt

– To nie do zniesienia! – czuł złość i upokorzenie. Paradoksalnie, im mniej cenna rzecz ginęła, tym większą czuł irytację. Obszedł działkę dookoła, wzdłuż ogrodzenia. Starał się oddychać równo, miarowo. – Jeszcze by za wału dostać przez takie gówno! Gumiaki, kurtka od deszczu i wiadro. – Stanisław już od dawna głośno wypowiadał swoje myśli. Kiedyś robił to tylko w domu, aby nie wydać się dziwakiem, teraz, na emeryturze, przestało go obchodzić, co ludzie o nim pomyślą.

Kradzieże powtarzały się od paru tygodni. Początkowo z domku na działce ginęły rzeczy na tyle cenne, by można je było odsprzedać. Uparcie zgłaszał to policji, chociaż nie oczekiwał efektu. Wartościowe rzeczy zastąpił starymi. Sądził, że nikt się na nie nie skusi. Był w błędzie. Przepadło stare radio i szlauch, dziurawe leżaki, miski, ręczniki, koce, a nawet poplamiona ścierka. Im bardziej był przekonany, że tego to już na pewno nie ukradną, tym większe przeżywał rozczarowanie, gdy ginęło. W końcu postanowił obejść się bez rzeczy. Przyjeżdżał na krótko. Przywoził niezbędne przedmioty, a odjeżdżając, zabierał. Było to uciążliwe, ale dawało poczucie przewagi nad złodziejami.

Spokój nie trwał długo. Radość z delectowania się smakiem wczesnych truskawek zmąciły nowe kradzieże. Ginęły warzywa i owoce, stopniowo, w miarę dojrzewania.

– Nie tylko u mnie kradną – pocieszał się. Mimo to dławilo go upokorzenie.

Ostatnim razem nawet się nie rozpakował. Krążył wzdłuż płotu jak zwierzę w klatce. Nagle zawrócił na pięcie i pewnym krokiem wszedł do domku. Jednym szarpnięciem wydarł z notesu kartkę i pokrył papier zamasztyrzymi zawijasami:

Ty sukinsynu! Parszywy złodzieju! Żeby ci ręka uschła! Żebyś jutra nie doczekał! Moją działkę okradałeś już z dziesięć razy! Czego tu jeszcze szukasz?!

Zostawił kartkę w domku na stole. Zamknął drzwi i poczuł ulgę. Całą irytację wchłonął mały skrawek papieru. Kiedy po tygodniu wrócił, nie pamiętał o kartce, chociaż wciąż odczuwał satysfakcję, jaką dało mu napisanie kilku krótkich zdań.

Z daleka dostrzegł czerwień napęczniałych pomidorów w maleńkiej szklarni.

– Stoją w szeregu, jakby na mnie czekały. A drzewa! Te to dopiero szaleją! – Pogłaskał kwieciste ramię małej wisienki. Długo krzątał się wśród grządek, zanim wszedł do domku. Na stole leżała kartka. – A, to... – przypomniał sobie. Roześmiał się z własnej naiwności. Wyjął z koszyka kanapki, termos... jakaś wymięta ta kartka... nóż, rzucił okiem... złudzenie... ułożył wszystko na stole i dopiero wtedy wziął kartkę do ręki.

– Czego tu jeszcze szukasz?! – odczytał własne pismo.

Jedzenia i snu – dopisał ktoś krzywymi literami. – Jedzenia i snu? – powtórzył z niedowierzaniem.

Nie oczekiwał odpowiedzi. Nie przyszło mu do głowy, że parszywy złodziej posłużył się literami. – Chce mnie wprawić w zakłopotanie. Żebym się, kurna, winny poczuł! – Rzucił kartkę w kąt. Wypakował resztę rzeczy i wyszedł na dwór. Aż do południa krzątał się wśród zapachów skoszonej trawy i dojrzewających owoców.

– Może spalić tę kartkę – powiedział, gdy słońce stanęło w zenicie.

Włożył zwitek do popielniczki. Ogień zliżał litery. Wkrótce obce słowa były równie spopielone jak jego własne.

– Dziecinada – mruknął. – List do złodzieja. Równie dobrze mógłbym napisać do babci nieboszczki. Piramidalna głupota!

Na pół godziny przed odjazdem autobusu zaczął się pakować. Puste naczynia, ścierka, ręcznik, trochę owoców z działki. Została kanapka. Chwilę przekładał ją z ręki do ręki. – Przecież się zepsuje – rzekł w odpowiedzi na myśl, która nie zdążyła się ujawnić. – Ale konserwa... – Uważnie obejrzał puszkę. Odczytał datę ważności. – Całe osiem miesięcy.

Położył puszkę na stole i szybko wyszedł.

Przyjechał po trzech dniach. Nasiliły się upały, ziemia uschła na pieprz. Wszedł prosto do domku. Na stole leżała nietknięta konserwa. Poczul rozczarowanie i złość.

– Też pomysł! – warknął. Jednak gdy wychodził wieczorem, nie zabrał puszki ze stołu.

Wrócił po paru dniach ulewy. Na stole leżała zmięta kartka z zeszytu w kratkę. Konserwa zniknęła.

Obejrzał kartkę z obu stron.

– Pusta – zdziwił się, chociaż nie oczekiwał, że zobaczy jakieś: dziękuję. Odwrócił się, żeby wyrzucić kartkę i zamarł niczym mim w geście zaskoczenia. Na starym polowym łóżku leżały rozłożone gazety. Pokrywały

je grubą warstwą jak jakieś prześcieradło albo koc. Znow poczuł irytację. Zmiał gazety i z pasją wepchnął je do kosza. Ślady obecności obcej osoby drażniły go, ale gdyby ich nie było, czułby się rozczarowany – i to najbardziej złościło Stanisława.

Tym razem spędził noc na działce. Spał źle, prawie nie zmrużył oka. Świadomość, że w każdej chwili może ktoś wejść, uwierała bardziej niż niewygodne łóżko.

– Śpij wreszcie – mruknął.

Ciemności umykały przed barwami świtu.

Spał do południa, za długo. Pakował się w pośpiechu. Kosz wypełniony owocami nie zmieścił wszystkiego.

– Jeszcze konserwa rybna i pasztet... nie, zgniotą truskawki – rzekł, odkładając puszki na stół. Nim wyszedł, rzucił na łóżko stary koc.

Wrócił tego samego dnia. Przywiózł kalendarz ścienny. Powiesił go na wprost drzwi. Zielonym mazakiem podkreślił cztery daty – piątek, sobota, niedziela, poniedziałek – te dni zamierzał spędzić na działce.

Przyjechał w piątek po południu. Wyraźnie czuł zaciekawienie. Otworzył drzwi.

– Koc... złożony w kostkę... konserwy? ... nie ma. Etui na okulary... Nie moje! – energicznym ruchem wrzucił je do kosza. Nie życzył sobie śladów obcej prywatności. – Ja tu dyktuję warunki – burknął, zmywając z rąk dotyk futerału.

Jeszcze kartka w kratkę. Wciąż leżała na stole. Obejrzał.

– Nadal pusta – mruknął.

Postawił na niej termos, ale ilekroć wchodził do domku, wciąż wracał do niej wzrokiem. Drażniło go to jak cholera. Bezradny poszarzały papier cierpliwie czekał na czyjeś słowa.

– Moje?! – zawołał, nie panując nad sobą. Wszystko, co miał do powiedzenia złodziejowi, zostało już napisane.

Powiódł wzrokiem za bzykającą muchą. Usiadła na kalendarzu. – Skąd to się wzięło? – Widok czerwonych kólek wokół kilku dat wprowadził go w osłupienie. – To nie moje – upewnił siebie naiwnie.

– Pewnie, że nie moje! – zachnął się. – Znaczyłem zielonym mazakiem. O tu! Tu! Tu i tu! – Uderzył palcem w kalendarz.

Czerwonych zakreśleń było pięć, do końca miesiąca. – Uprzedził mnie – mruknął Stanisław. – Zazaczyłem parę dni, a on rozpanoszył się aż... – odchylił karty kalendarza – aż do późnej jesieni. Ha! No, proszę! Rezerwacja! – warknął.

Wziął zielony mazak i podkreślił wszystkie nieoznaczone czerwonym kółkiem daty.

A jeśli on chce, żebyśmy się spotkali? – na tę myśl Stanisław wzruszył ramionami. – Niby po co? – mruknął.

Do zmroku pielęgnował rośliny. Spał dobrze. Dzięki znaczkom w kalendarzu wiedział, że złodziej nie przyjdzie. – Właściwie jak go zwać? – zastanawiał się. Od kiedy dopuścił do jego obecności, nic z działki nie zginęło. No, z wyjątkiem konserw, ale te i tak przeznaczył na zmarnowanie.

Spędził cztery spokojne dni. Na kartce, którą zostawił „ten drugi”, tak go teraz zwał, narysował pole do gry w kółko i krzyżyk i postawił zielony krzyżyk w jednej z kratki.

Wrócił po pięciu dniach. Przywiózł wiele rzeczy. Miskę, ręcznik, mydło, jeszcze jeden koc, golarkę, grzebień i lusterko. Właściwie nie wiedział, co może być potrzebne komuś, kogo nawet nie starał się wyobrazić. Zastał podlane grządki. Jedzenie, pozostawione na stole, zniknęło. Na kartce zaś obok krzyżyka pojawiło się czerwone kółko. – Aha, takiś ty! – Stanisław postawił krzyżyk w sąsiedniej kratce.

Po chwili chodził już między grządkami. – Zruszona ziemia? Wyrwane zielsko? Hm. Panoszy się – zauważył, ale bez irytacji.

W kółko i krzyżyk zwykle wygrywał „ten drugi”. Stanisław przywiózł szachy.

– Zobaczymy.

Uważał się za mistrza, ale przegrał z kretešem. – Patrz pan, takie nic! – wyrwało się Stanisławowi. Czuł się niemile zaskoczony i zaintrygowany. Nigdy nie działał impulsywnie, jednak tym razem prawie pobiegł na przystanek. Pół godziny później był już na dworcu kolejowym. Rozglądał się za bezdomnymi.

Siedzieli na ławce wsparci o siebie plecami. Dwaj mężczyźni odcięci od świata warstwą cuchnącej samotności. Mimo upału ubrani w kilka bluzek? koszul? bluz? Obszarpani i brudni.

– Szmacciarze. – Stanisław wzdrygnął się i wyszedł.

Miał pretensję do siebie, że naraził się na taki widok. Na działce rozpałił ognisko. Wrzucił w ogień oba koce, ręczniki i ścierki. Wyrzucił wszystkie drobne przedmioty, które mogły być używane przez „tego drugiego”. Wyszorował blat stołu, metalowe pręty łóżka, nawet figury szachowe oczyścił z dotyku rąk. Resztę dnia zajęły mu zakupy. Wkrótce na łóżku leżały nowe koce, nowe naczynia rozświećlały małe wnętrza domku, nowy grzebień przeglądał się w lśniącej lusterku.

Oczekiwał od siebie zadowolenia, ale blask nowych rzeczy go rozjuszył. Nie rozumiał dlaczego.

Splunął.

Ustawił figury na szachownicy, zrobił pierwszy ruch i wyjechał. Po paru dniach przywiózł mały telewizor kupiony od sąsiada. W domku nie było śladu pobytu nieznanego. Zajrzał do kalendarza. – Spokojnie. To nie jego dni – zauważył. Zaparzył kawę i rozłożył książkę na stole. Niby czytał, ale niepokorne oczy rejestrowały wbrew woli: nowy grzebień bez śladów dotyku, nieprzyzwoicie puszyste koce, miski bez jednego zadrapania; niegościnne. Najchętniej wyjąłby ze śmietnika to, co wcześniej wyrzucił.

– Idź! Grzeb w śmieciach! – warknął.

Przez następne dni pracował na działce, drzemał w cieniu jabłoni, spacerował wśród drzew. Do domku wchodził rzadko. Wciąż żałował wyprawy na dworzec. Była niepotrzebna. Postawiła mu przed oczy postać „tego drugiego”. Bez twarzy, ale jednak niechlujnie ludzkiego.

Odjeżdżając, położył na stole konserwy i owoce. Tym razem nie zostawił ich ot tak, bez określenia dla kogo, tym razem zostawił je dla „niego”. – Wystarczy mu na cztery dni – rzekł, patrząc na czerwone kółka w kalendarzu.

Bardzo dłużyły mu się te dni. Wreszcie wszedł do domku. Zgniłe owoce obsiadł rój muszek, konserwy pokrył kurz, ale partia szachów została rozegrana.

Wyrzucił owoce. Podlał spragnione warzywa. I wyjechał.

Wracał wielokrotnie, żeby stwierdzić, że tylko kurz korzysta z jego nieobecności.

Chłodne noce i deszczowe dni wkroczyły w jesienny świat na dobre. Rozmyły grządki, wdarły się z kałużami aż pod sam próg domku. Stanisław przywiózł śpiwór, butlę gazową, palnik.

Czego jeszcze chcesz? – napisał któregoś dnia na papierze listowym.

Daty obrysowane czerwonym mazakiem wypędzały go z działki, a gdy wracał, wszystko leżało tak, jak zostawił – nietknięte. Tylko kolejna partia szachów zmierzała ku finiszowi.

– Podrzucałeś mu te konserwy, jak jakieś żarcie dla psa! – wykrzyczał w końcu to, co kotłowało się w nim już od dawna.

– Nieprawda. Musiało spotkać go coś niedobrego – bronił się, i chciał w to wierzyć. – Dosyć tej bezczynności – zdecydował. Wyjął telefon i zadzwonił na posterunek. – Zgłaszam zaginięcie człowieka. Nie ma go już od miesiąca.

– Pana personalia, proszę – usłyszał kobiecy głos.

Podał swoje dane.

– Nazwisko i imię zaginionego?

– Nazwisko? – zaskoczyło go to pytanie. Gorączkowo szukał w głowie tego, czego tam nie było.

– Dane zaginionego? Halo!

Nie odpowiedział.

– Halo! Proszę podać, kto zaginął!

– Kto? ...Zostawiałem mu konserwy i owoce. Spał w moim domku na działce. Nie przeszkadzał – wyliczał Stanisław.

Kobieta była dociekliwa. – Zgłasza pan zaginięcie UFO? – spytała zgryźliwie. Nie przypuszczała, jak boleśnie ukuła go tą drwiną.

– Ma pani rację. Przepraszam – z trudem przełknął ślinę. – Chodziło mi o jednego człowieka... ale nie wiem... on może tylko gdzieś poszedł.

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Adriana Szymańska

Życie na gałązce¹

Opowieść o nieutraconej wolności

dla Profesora Tomasza Pasierskiego

Jesteśmy tylko liściem i łupiną.

Ta wielka śmierć, co każdy ma ją w sobie,

To owoc, co wszystkiego jest przyczyną.

Rainer Maria Rilke: „Księga godzin”

(1)

– Pani doktor, proszę mnie leczyć!

To nawoływanie pięcioletniej dziewczynki, rozbrzmiewające od rana do wieczora w szpitalnej sali, musiało wnikać w stare mury na zawsze. Niemożliwe, żeby żarliwa pasja pięcioletniego dziecka, jego pragnienie życia, pokonania choroby, wygnania jej z obolałego ciała, nie zostało utrwalone przynajmniej tak: w głębi zasłuchanych w ten krzyk kamieni.

Dziewczynka wyobrażała sobie, że szpital to miejsce, gdzie chorego otacza się nieustanną opieką, pociesza, udziela pomocy, a lekarz to czarodziej, który przepędza chorobę za góry, za lasy. A dyżurująca tu lekarka zaglądała do niej tylko na chwilę i zapisywała coś na kartce. Ktoś mierzył jej też temperaturę, podawał jedzenie i picie. Były to jedyne zabiegi wokół niej, dlatego tak uporczywie upominała się o więcej.

Przyjmijmy, że tą wołającą o pomoc dziewczynką byłam ja, znaczy pisząca te słowa. Mógłby to przecież być ktoś inny: wśród milionów ludzi na świecie znalazłby się z pewnością niejeden mały człowiek, który doświadczał podobnych cierpień, przeżywał nie mniej bolesne przygody ciała i ducha. Dla tych „innych” więc, którzy nie potrafili podzielić się ze światem swoim bólem, swoją rozpaczą, jest ta opowieść. A także dla tych, którzy w podobnych okolicznościach doznali jednak serdecznej uwagi i duchowego wsparcia. Tego bowiem doczekała się też owa dziewczynka, jednak później, już po wyjściu ze szpitala.

¹ Z cyklu: *Spotkania, rozstania, powroty*

Dziewczynka, na którą w domu mówiło się – Adi, wreszcie i tu otrzymała pomoc, zaczęto podawać jej leki. Okazało się, że obezwładniający jej ruchy ból, najsilniejszy w kolanach i biodrach, spowodowany został przez infekcję reumatyczną – gościec stawowy, a nie – jak podejrzewali lekarze – gruźlicę kości czy chorobę Heinego i Medina. Adi leżała na sali w toruńskim szpitalu z dziewięcioletnim chłopcem chorym na nerki. Całe ciało miał opuchnięte, z trudem się poruszał. To działo się parę lat po Wielkiej Wojnie, nie robiło się wówczas dializ ani przeszczepów. Chłopiec skazany więc był na powolne umieranie.

Przez większą część dnia dzieci przebywały same, zabawiały się więc rozmowami na temat własnego zdrowia.

– Nikt mnie tu nie leczy – skarżyła się Adi. – A ja chcę iść do domu. Niedługo urodzi mi się braciszek. On będzie bardziej mój niż mamy. Będzie n a j b a r d z i e j mój. Tak chcę i mama musi się zgodzić.

– Co ty gadasz! – odpowiadał chłopiec. – To mama go urodzi i to będzie j e j synek.

– Nieprawda, on będzie m ó j. I muszę szybko wyzdrowieć. A tak mnie nogi bołą. Nie mogę chodzić. Nie dam rady stąd uciec.

– Phi. Ja i tak jestem bardziej chory od ciebie. I szybciej umrę. Pewnie już niedługo.

– Mów sobie, co chcesz. Ja nie mogę umrzeć, bo nie dostanę braciszka. Chcę go mieć i już.

W przerwach między rozmowami Adi patrzyła w sufit, gdzie widziała krąg tańczących tygrysów z ulubionej bajki, z lekarką, która nie chciała jej leczyć, pośrodku nich. To ją trochę pocieszało. Ostatecznie została wyleczona na tyle, że mogła chodzić na sztywnych wciąż nogach, choć już bez strasznego bólu w stawach. Zanim wypuszczono ją do domu, lekarka kierująca jej leczeniem zwróciła się do jej mamy z oburzeniem i pretensją:

– To dziecko jest nad wiek rozwinięte! Nie do wiary: ona wciąż wołała, żeby ją leczyć. Pani szykuje sobie bicz na własną głowę. Oj, będą z nią kłopoty...

Matka Adi wysłuchiwała spokojnie oskarżeń lekarki, bo taki miała charakter. Nie wdawała się w bezpośrednie potyczki słowne. Za to później, podczas spotkań z rodziną i znajomymi, przez długi czas wykorzystywała tę scenę do szykanowania owej pani doktor; nie darowała jej ataków na swoje ukochane dziecko. Nie miała za złe Adi jej dociekliwości i niezależności, jedynie upór córki i wola stawiania na swoim w każdej sytuacji, trochę ją niepokoiły. Adi miała w naturze jakiś nieujarzmiony, irracjonalny

często bunt przeciwko wszystkiemu, co stanowiło przeszkodę w jej postanowieniach i projektach.

W dniu, w którym urodził się jej braciszek, przeżyła rozczarowanie: mała nieporadna istotka, pomarszczona i czerwona na buzi, ciągle wrzeszcząca i zajmująca całą uwagę mamy, szybko przestała być przedmiotem jej pożądań. Pozwoliła mamie mieć brata „bardziej”. Na szczęście ojciec woził ją w tym czasie często – rowerem albo motocyklem – na swoją rodzinną wieś, Małe Czyste, niedaleko Torunia i wtajemniczał w życie zwierząt, roślin, całej podwórkowej, polnej i łąkowej przyrody, z nieskończoną przestrzenią nieba nad horyzontem, ze słońcem, w które wpatrywała się aż do oślepienia. Kochała te wyprawy: były to powroty w miejsce, gdzie spędziła pierwsze lata życia. Przyjaźniła się tu z psami, drzewami, przydrożną trawą, z tatarakiem nad jeziorem. Czuła już wtedy w tym wszystkim wszechmoc Najwyższego.

Istnienie brata Adi doceniła dopiero wtedy, gdy oboje przestali być dziećmi: miał wielki muzyczny talent i piękny głos, którym czarował słuchaczy podczas śpiewu. Także ona wybrała muzykę na pierwszą przewodniczkę po labiryncie własnych tęsknot. Już jako czterolatka marzyła o tym, żeby grać na skrzypcach, za sprawą rodzinnych koncertów, odbywających się w domu jej dziadków. I babcia, i jej rodzeństwo – siostra i brat – grali na fortepianie i na skrzypcach, babcia, a także mama, śpiewały kołysanki Schumana i inne romantyczne pieśni. Dla małej Adi te spotkania z muzyką stały się bramą do świata artystycznych uniesień. Skrzypiec rodzice nie mogli jej kupić w czasach stalinowskiej biedy, od dziesiątego roku życia rozpoczęła więc naukę gry na pianinie. Uwielbiała grać zwłaszcza proste kompozycje Bacha. Słyszała w brzmieniu, w niepowtarzalności harmonicznej tej muzyki coś, co odpowiadało jej wrażliwości estetycznej i strukturze jej duszy. Temu wewnętrznemu głosowi, który nadawał sens wszelkim jej twórczym inwencjom.

Przestała grać na pianinie tuż przed maturą. Jako nastolatka pisała wiersze, proste rymowanki naśladujące mistrzów poezji, co później przerodziło się w potrzebę oryginalnego poezjowania. Gdy na serio zajęła się pisaniem wierszy, pojęła, że muzykę można tworzyć również słowami. Przed napisaniem każdego utworu słyszała w głębi siebie jego rytm i melodię i dopasowywała poszczególne frazy do tego wewnętrznego wzoru.

Stan jej serca pogarszały choroby, atakujące ją w młodości. Po pierwszym rzucie gościa stawowego we wczesnym dzieciństwie, nastąpił drugi, gdy miała lat dwanaście, a gdy skończyła siedemnaście, zachorowała

na dyfteryt. W szpitalu, dokąd dotarła z wysoką gorączką i obolałym gardłem, powiedziano jej matce, że Adi może nie przeżyć tej choroby z powodu powikłań kardiologicznych. Ona sama przestraszyła się, gdy, idąc w nocy po jakiś napój do dyżurki pielęgniarek, straciła na chwilę przytomność i upadła z hukiem na kamienną posadzkę korytarza. Bała się potem, że znów jej się to przytrafi.

Dyfteryt przeżyła, ale nadwątlone chorobą siły osłabiły także jej psychikę: przygotowując się do matury, nie była pewna, czy uda jej się pomyślnie przebrnąć przez egzamin dojrzałości. Maturę i egzamin wstępny na studia zdała jednak całkiem dobrze. Zdecydowała się na polonistykę, rezygnując ze studiów medycznych. Przez wiele lat zamierzała zostać lekarzem. Po złych i dobrych doświadczeniach szpitalnych, chciała sama leczyć chorych, pomagać im jako lekarz. Wyperswadowała sobie jednak te plany, bo przerażała ją widok krwi: prędzej czy później musiałyby rozstać się z tą pracą.

Powoli z dziewczyny stawała się kobietą. Lubiana za wdzięk i żywy temperament, uchodziła jednocześnie wśród znajomych za wyniosłą i nieprzystępną. Ta sprzeczność miała pewnie organiczne zakorzenienie w jej naturze: temperament odziedziczyła po ojcu, pewien rodzaj dystynkcji – po matce. Pierwszy mąż zdobył jej względy niewielkim nakładem starań, choć przeczuwała, że ten związek nie będzie trwał z powodu różnic charakterów: rozstali się po paru latach wzajemnej szamotaniny. To stało się definitywnie w dniu, w którym poznała swojego drugiego i ostatniego męża. Od pierwszego wejrzenia oczarował ją swoim miłosnym kunsztem. Cud zdarzał się w jej życiu zawsze w chwili, kiedy klęska zdawała się nieunikniona, kiedy cały dotychczasowy mozół istnienia i zgromadzone plony obracały się wniwecz. Wyjechała z ukochanym do Warszawy i powoli zapominała o dotychczasowych utrapieniach. W tym okresie nie zwracała uwagi na swoje niesprawne serce. Żyła pełnią życia, radując się przyznaniem jej kartetem na szczęście. Odcinała kupony, nie myśląc o tym, że czas może okazać się dla niej okrutny. Robiła to, co chciała: chodziła po górach, jeździła na nartach, trenowała jazdę konną, odbywała wielokilometrowe spacerzy z psami, uprawiała wiejską działkę, podróżowała po świecie, realizowała się w twórczym trudzie. Angażowała się też w akcje patriotyczne: należała do „Solidarności”, prowadziła działalność opozycyjną.

W buńczucznej naturze Adi wciąż dominował wyraźny rys szaleństwa. Jakaś samonapędzająca się brawura, egzystencjalny dynamizm kierowały ją w stronę coraz do nowych poszukiwań poznawczych i nadawały tempo codziennym poczynaniom. Owo „szaleństwo” nie wpływało jednak na jej

powinności życiowe: starała się być dobrą córką, odpowiedzialną żoną i matką, czuła opiekunką całego żywego świata. Nagrodę za bycie sobą stanowiły dla niej opinie czytelników o jej pisarstwie. To w wierszach utrzymywała przecież własne przeżycia i pragnienia. Cieszyły ją zwłaszcza te wypowiedzi znawców literatury, w których jest mowa o krzepiącym działaniu jej poezji, o tym, że w kreowanym przez nią świecie chce się być, chce się korzystać z jej przychylności dla wszelkich istot, z jej optymizmu, wiary i nadziei. Czasami myślała jednak, że jej miłosny zapal w stosunku do świata jest daremny, że nie można pokonać chaosu w istnieniowym kłębku przeciwności, wprowadzić ładu w to, co splątane, obolałe, skażone śmiercią. Chciała uwolnić się od nadmiernej troski, spowodowanej wszechobecnym cierpieniem, jednak dzieląc siebie na życie i sztukę, czuła się zagubiona. Dopiero zestrojenie obu tych żywiołów pozwalało jej przezwyciężać bezradność. Dopiero pisząc, brała na barki i ciężar świata, i jego czar.

A szaleństwo Adi nie dotyczyło w gruncie rzeczy jej powiązań ze światem, ale najgłębszej warstwy jej samej, tego jądra osobowości, w którym znajduje się tajemniczy kod istnienia, wszystko to, co kształtuje podstawowe prawa i funkcje życia. Adi zastanawiała się często nad swoim straszącym, atawistycznym, zapisanym z pewnością w genach, lękiem przed jakimkolwiek atakiem na jej ciało, przed fizycznym zranieniem. Ten lęk ujawnił się już w dzieciństwie. Każde, nawet małe skaleczenie, było dla niej wielkim przeżyciem, nikomu nie pozwalała dotykać krwawiących miejsc. Tak było, gdy jako sześciolatka uderzyła głową o kant oparcia krzesła i zraniła się w skroń tuż przy oku albo, gdy w wieku lat dziesięciu przewróciła się na zwirowanej alejce, jeżdżąc pod ramą na wielkim męskim rowerze ojca i do krwi zdarła sobie skórę na kolanie. Ziarenka piasku wżarte w skórę nogi zostały tam na zawsze. Adi uśmiechała się do tej blizny podczas każdej kąpieli, rozpamiętując swój upór.

Im była starsza, tym częściej zastanawiała się nad zależnością między ciałem i duszą: czy raniąc ciało, rani się też duszę? Dusza musi brać udział w walce o nienaruszalność ciała, inaczej ta walka nie byłaby aż tak zażarta. Czy trzeba chronić każdą cząstkę siebie, żeby trwać jako całość? Czym jest ta całość? Mandalą krążącą po orbicie własnej duchowości? Chodzi o ten ruch duszy z głębi na powierzchnię, o wydostawanie się jej z tajemnicznej skrytki w ciele ku nieskończoności obcowania z wszechbytem? Krew byłaby więc atrybutem duszy? Pośrednikiem między stworzeniem a Bogiem? W wielu religiach, także w chrześcijaństwie, przelewana krew ma magiczne, oczyszczające, nawet zbawcze znaczenie.

Myśląc niekiedy o własnej nieustępliwej niegotowości na wszelkie wobec niej chirurgiczne zapędy, o tym sprzeciwie równoznacznym z walką o życie, zgadywała, że tę jej przypadłość spowodował któryś z jej przodków, kto dotkliwie kiedyś kogoś skrzywdził, poranił boleśnie, może nawet śmiertelnie i ona, swoim lękiem przed zranieniem, musi teraz płacić za tamto zło. Było to myślenie magiczne, pozbawione logicznych podstaw, jednak i takie sposoby interpretacji własnych zachowań dopuszcza nasz umysł. Carl Gustaw Jung tak mówi o psychologicznym „źródle życia”: „żadna świadoma wola nie zastąpi na dłuższą metę instynktu życia, który pojawia się w nas od środka jako obowiązek, wola czy rozkaz...”. Adi traktowała tę prawdę jak swoją własną.

Wyobrażała sobie ludzką egzystencję w postaci ogromnego drzewa, sięgającego nieba, z milionami żywych istot na gałęziach. Było to przeniesienie obecnego w wielu kulturach mitu o drzewie życia, wypełnionym boską energią trwania. Widziała siebie na jednej z najwyższych gałązek, drżącej w blasku słońca albo szarpanej wicherem tak, że wlatywała we wszystkie strony, a ona, dotykając nieba w bojaźni, że za chwilę odpadnie od niepewnego gruntu pod stopami i polecą w niezbadaną przestrzeń wszechświata, modliła się o powrót spokojnej aury. Zdawało jej się wtedy, że jakaś miłosierna dłoń wysuwa się zza rozpędzonych wiatrem obłoków i pomaga jej zachować równowagę na wątej gałązce.

Wysoka pozycja w koronie drzewa wynikała zapewne w jej wizji z potrzeby wolności, z pragnienia obcowania ze światem poza wszelkimi rygorami i ograniczeniami doczesnymi, w bliskości odwiecznego Absolutu. Taką wolność trudno zdobyć, każdy akt uczestnictwa w istnieniu wiąże się przecież z uzależnieniem od miejsc, przedmiotów, ludzi, od myślenia o nich. Adi potrafiła jednak wywalczyć sobie tę upragnioną przestrzeń wolności w każdej dziedzinie: w małżeństwie, w macierzyństwie, w pracy, w powiązaniu z religią i przyrodą. Stosowanie własnych miar do życiowych misji pozwalało jej być niezależną od powszechnie obowiązujących konwencji. A w sferze sacrum znajdowała ujście dla swoich mistycznych powołań: modlitwa pozwalała jej na duchowy kontakt ze Stwórcą. W jednym z wierszy postawiła pytanie: „Czyżby Bóg był tak intymną częścią nas, że wystarczy oddech, żeby buchnął blask?”. Nikomu nie zdradziła tajemnicy swojej samotności, tej kapliczki ustawionej w sercu dla Kogoś nieobecnego, a wciąż oczekiwanego. Czy jednak owa idea, że „sam głód starczy, żeby stał się chleb”, jak napisała w innym wierszu, nie była zbyt szalona?

Adi знаła ten stan nienasyceńia w miłości między kochającymi się ludźmi: im miłość intensywniejsza, tym ów niedosyt, głód zjednania większy. Dlatego szukamy ocalenia w Bogu? Bo On tylko obiecuje spełnienie, pojednanie na wieczność? To Blaise Pascal, przejrzał tę grę Boga z człowiekiem i zabezpieczył się swoim „zakładem”. Jednak, jak uczy Biblia, wolność jest darem Boga, a On nie kontroluje, jaki robimy z niej użytek. Do czasu? Adi wiedziała, że nie ma odpowiedzi na wszystkie niewiadome, dotyczące spraw wiary, ale śledziła wypowiedzi mądrzejszych od niej na ten temat.

Miała dwa życiowe motta. Pierwsze zaczerpnęła z *Wyznań* św. Augustyna: „Będziemy więc szukać tak, jakbyśmy mogli znaleźć, lecz nie znajdziemy nigdy tak, żebyśmy mogli przestać szukać”. Ta myśl była wsparciem dla jej niespokojnej, poszukującej wciąż nowych wyzwań duszy. Drugie motto pochodziło z *Twierdzy* Antoine’a de Saint-Exupéry’ego: „Albowiem powiadam ci, że człowiek nie szczęścia szuka, ale siebie takiego, który jest najbardziej sobą”. Ta maksyma utwierdzała ją w przekonaniu, że wszystko, cokolwiek udało jej się w życiu zrobić dobrego, dokonała właśnie dzięki wierności sobie, dzięki tej cudownej sile, która pozwalała jej odnajdować w sobie siebie samą. Jedyną i niepowtarzalną w swoim uporze, w swoich decyzjach i wyborach.

(2)

Porównanie do życia na gałązce, czyli w niepewności, w przypadku Adi było przede wszystkim wynikiem zagrożenia ze strony jej serca, ciągłego lęku o stan tego głównego życiowego napędu. Czując, że prędzej czy później będzie musiała zacząć żyć na zwolnionych obrotach, wykorzystywała swoją potrzebę aktywności także jako matka. Mimo poważnych komplikacji przed porodem, urodziła córkę bez interwencji chirurga, wspomagana przez młodego lekarza, który stał nad nią, trzymał ją za ręce i zmuszał do maksymalnego wysiłku. Starszy lekarz czekał po przeciwnej stronie łóżka na efekt tego współdziałania. Dziecko wyskoczyło z niej wreszcie jak z katapulty; położnik złapał je tuż nad ziemią.

– Jest! Córeczka! Zupełnie do pani podobna, tylko bez okularów! – zdobył się na żart po ich wspólnych wielogodzinnych zmaganiach z potęgą narodzin.

Adi wciąż jednak pamięta przede wszystkim tamtego młodego lekarza, dzięki któremu cała ta akcja zakończyła się sukcesem. Ciemnowłosy,

w okularach z grubą oprawką, z czarnymi wąsami i brodą, zakrywającą pół twarzy, wyglądał jak wschodni mag, dokonujący obrzędu religijnej inicjacji. Bo też był czarodziejem. Kolejnym w jej życiu i nie ostatnim.

Był jeszcze neurolog, doktor C., nazwany tak przez nią w jednym z wierszy. Na imię miał Piotr, a poznała go podczas kontrolnej wizyty w przychodni rejonowej. Zgłosiła się tam po wyjściu z kliniki neurochirurgicznej, gdzie przebywała z powodu urazu mózgu. Ponieważ krwiał w oponach mózgowych wchłoniął się samoistnie, bo Adi nie dopuściła do otwarcia czaszki, okresowe kontrole u neurologa sama uznała za wskazane. Piotr C. był uroczym lekarzem, pogodnym i serdecznym dla pacjentów. Okazało się, że jest wielbicielem poezji i po trosze poetą, mieli więc temat do rozmowy. Umiał ją zaintrygować i rozbawić. Gdy opowiedziała mu pomyślnie zakończony przebieg swojej choroby, zawołał w uniesieniu:

– Niebysza! Pani wyleczyła sobie krwaka w mózgu siłą woli!

Zaprzyjaźniła się z nim, spotykali się i prywatnie, i podczas jej wieczorów autorskich.

Największy lekarz-czarodziej miał pojawić się w jej życiu w bardzo dramatycznym momencie, tuż po śmierci męża. Krótco przed jego śmiercią zdarzył się ów wypadek, który spowodował pewne zwolnienie tempa jej życia, uruchomił rezerwy rozsądku tkwiące w jej psychice. Pewnego dnia jeździła na koniu w studenckim klubie sportowym przy Akademii Rolniczej na Ursynowie: uprawiała rekreacyjną jazdę konną, nie powinna więc była wsiadać na konia przeznaczonego do wyczynów sportowych. Wychodząc z domu z plecakiem pełnym hipicznych akcesoriów, spotkała przy windzie córkę, wracającą ze szkoły. Na wieść o planach Adi jej oczy zrobiły się ogromne ze strachu. Powiedziała błagalnym tonem:

– Mamo, nie rób tego!

Adi nie posłuchała tej prośby. Przeczucia córki okazały się prorocze: koń się znarowił, poniósł ją i zrzucił tak niefortunnie, że zgubiła toczek i z impetem uderzyła głową o drewnianą barierkę ogrodzenia na padoku. Krwiał w oponach mózgowych wymagał według neurochirurgów natychmiastowej operacji. Uznali, że bez operacji czeka ją śmierć. Lecz ona wiedziała, że to błędna diagnoza, że operacja byłaby dla niej czymś znacznie gorszym niż niepoddanie się jej. Była pisarką, nie mogła dopuścić do tego, że jej mózg, jej potencjał umysłowy zostanie narażony na szwank przez kogoś, kto bezkarnie grzebie jej w głowie.

Walka o zachowanie własnego sposobu leczenia, opartego na intuicji, na jungowskim „instynkcie życia” wiele ją kosztowała. Przez kilka tygodni

samotnie borykała się z lamentującymi nad nią przyjaciółmi, rodziną, z napastującymi ją lekarzami. Ucisk na mózg powodował silne bóle głowy, zaburzenia ruchu, wzroku, słuchu, ale opór Adi była niezłomny. Znalazła oparcie jedynie w szefie kliniki, profesorze Jerzym B., u którego wyblagała zaufanie do własnej koncepcji pokonania krwiaka. Nazywała go Dobrym Duchem, Posłańcem Bożym; jej myśli, uczucia i wyobraźnię roziskrzała wtedy świadomość, że to opiekuńcza ręka Boga ją przez tę udrękę prowadzi. Udokumentowała to w poświęconej tej historii książce: *Ta inna ja*.

Cierpienie związane z odejściem męża pozbawiło ją na pewien czas życiowego rozpędu, nie pozwoliła sobie jednak na długą żalobę. Wiedziała, że przede wszystkim jemu, zmarłemu, winna jest zachowanie pogody ducha. Kiedy żył, mówił w chwilach jej kryzysów:

– Ty nigdy nie będziesz stara! – I tym zaklęciem zaprogramował ją na kolejne lata. Nadal czuła się kochana przez niego w ten jedyny, tylko jemu znany sposób, gdy wspominała dotyk jego dłoni na swoim karku i ten czuły gest głowy, przytulonej do jej ramienia. Wciąż odwiedzał jej sny, odpowiadał na pytania, których nie miała odwagi postawić na jawie.

Postanowiła częściej kontrolować stan swego serca. Dowiedziała się, że w przychodni przy Emilii Plater świetny kardiolog wykonuje „echo” serca, wybrała się więc do niego.

Od razu doceniła nie tylko jego profesjonalizm, ale i jego urok. Był wówczas około czterdziestoletni, a wyglądał bardzo młodo: drobny, szczupły, ruchliwy, miał ujmujący uśmiech i uważną troskę w spojrzeniu, świadczącą o empatii, o tym, że sprawy innych nie są mu obojętne. Szczęśliwym zrządzeniem losu znalazła się w zasięgu jego uwagi. Przypuszczała, że pojawił się w jej życiu specjalnie po to, by zapełnić lukę emocjonalną, jaka otwarła się w niej po śmierci męża i strzec ją przed niekompetencją innych lekarzy. Zaglądał w jej psychikę, odkrywał, czego najbardziej w danej chwili potrzebuje. A ona potrzebowała takiej właśnie uważności, takiej czulej współpracy z własnymi rozwibrowanymi emocjami.

Doktor Tomasz P. był to najprawdziwszy, najskuteczniejszy czarodziej wśród lekarzy, których poznała w swoim naznaczonym chorobami życiu. Nie tylko ją leczył, uspokajał, dodawał otuchy, ale też przewidywał, odczytywał z niezrozumiałych dla niej znaków, jakimi zapisane były wyniki jej badań, potencjalny rozwój choroby, kierunek, w którym mogą podążać ewentualne zmiany w jej sercu. Jego dar wnikania w istotę zdrowotnego problemu pacjenta, a także wybór sposobu leczenia budziły jej uznanie i podziw. Jego umiejętność rozpoznawania rzeczywistych oczekiwań

chorych, umożliwiała im świadomy udział w terapii, co dla niej oznaczało obronę przed interwencją kardiochirurgiczną. Był to – tak czuła – podstawowy warunek jej ocalenia. Na długo.

Pierwszy echokardiogram w jego wykonaniu spowodował przełom w jej chorobie. Gdy odłączył ją od aparatury rejestrującej rytm serca, zre-lacionował to, co odczytał z ekranu. Wyjaśnił na czym polega niewydolność jej układu krążenia, niczego przed nią nie ukrywał, ale dla niej samo badanie miało moc uzdrawiającą. Na tym polegała jego magia – rezultat zawodowej nieomyślności i autentycznej mądrości. Przywracał jej życie rozmach, rozniecał energię, opromieniał światłem swojej troski. Jego empatyczna maestria nie miała granic.

Przyniosła na to pierwsze spotkanie swój kolejny, akurat wydany zbiór wierszy, który przyjął z otwartością humanisty. Rozmowa z nim podczas pierwszego spotkania i wszystkich następnych zawsze miała na Adi balsamiczny wpływ. Jej rozedrgany system nerwowy, jej spontaniczność i nadpobudliwość zyskiwały w tych rozmowach status normalności. Lekarz rozumiał ją i akceptował jej osobowość. Była pewna, że może być z nim do końca sobą, a on, ani się nie bulwersuje, ani jej nie ocenia krytycznie. Też jest sobą. A jej niesprawne serce traktuje wręcz z rozczuleniem.

Gdy już jako profesor nauk medycznych przyjmował ją w szpitalu, w którym pełnił funkcję ordynatora oddziału kardiologii, zdarzało się, że podczas obchodów lekarskich zatrzymywał się przy jej łóżku z grupą młodych lekarzy i studentów. Przykładali stetoskopy do jej żeber, a on mówił:

– Słuchajcie uważnie. Kiedyś było wiele takich poreumatycznych, mitralnych wad serca. Infekcja, która je wywoływała, atakowała dzieci tuż po wojnie. Teraz jest coraz mniej osób z tą wadą, powoli umierają. Może to ostatnia okazja, żebyście posłuchali tego rytmu...

I naśladował głosem nierówny stukot w jej piersi.

Po latach obcowania z nim mogła przeczytać w podręczniku dla studentów medycyny, napisanym przez niego razem z Pawłem Łukowem – *Etyka lekarska z elementami filozofii* – o obowiązku respektowania indywidualności każdego pacjenta, o godności i prawie do właściwego leczenia. O szacunku należnym wszystkim chorym, także tym, skazanym na bliską śmierć. Pojęcie „etyka troski” ma tam wielorakie objaśnienia, także takie, że lekarz, który chce pomóc choremu, zaspokoić jego potrzeby, nawiązuje z nim bardzo bliski kontakt, „wkracza w często intymne szczegóły życia pacjenta, którego początkowe zawstydzenie ustępuje dzięki rodzącemu się zaufaniu w następstwie troski lekarza o los pacjenta”. Adi czerpała z tej

lektury nie tylko otuchę i wiarę w słuszność postawy swojego lekarza, ale i przekonanie, że jest on lekarzem wzorowym, może nawet wzorcowym. Postępował bowiem według podstawowej zasady Hipokratesa: „przede wszystkim nie szkodzić”. A także według cudownej maksymy Petroniusza: „lekarz nie jest niczym innym jak pocieszeniem duszy”.

Spotykała się z doktorem Tomaszem P. regularnie przez wiele lat podczas okresowych badań w warszawskich szpitalach, gdzie pracował jako kardiolog i dokąd zapraszał ją na badania. Czasami zapominała, że przyszła już pora na kolejną wizytę. O tym, że jest niezwykle jako lekarz i jako człowiek, utwierdziła się w momencie, gdy leczona przez niego jej literacka koleżanka przekazała jej telefonicznie taką informację:

– Doktor prosił, żebym zadzwoniła do ciebie i zapytała, dlaczego do niego nie przychodzisz. Czy zapomniałaś, że masz poważną wadę serca?

Po tym zdarzeniu nie mogła już traktować go jak jednego z wielu terapeutów, którzy ją tylko badają, stawiają diagnozę i zapisują leki. Zrozumiała, że jest z nim związana jakimś tajemniczym, metafizycznym łączem i musi się go trzymać, żeby ocalić to, co jest w niej godne ocalenia: jej niepodrabialna tożsamość, jej pisarstwo, tęsknota za wolnością, wszystkie te wartości, dzięki którym dotrwa przy nim do doczesnego kresu. Czymkolwiek ów kres będzie: porazi ją czy uleczy na wieczność.

Wybrała się do niego wkrótce po tym telefonie i starała się potem pamiętać o terminach badań. Kiedy został szefem oddziału kardiologii w jednym z warszawskich szpitali, sam wyznaczał jej tam kontrolne pobyty. W przerwach między badaniami, spotykała się z nim w jego gabinecie. Wciąż był świetnym rozmówcą: błyskotliwym, dowcipnym, dyskretnym. Zdecydowanie introwertyczny, gdy koncentrował uwagę na innych, potrafił w skupieniu, bez zniecierpliwienia wysłuchiwać ich najbardziej osobistych wynurzeń. Czasami, gdy zamykał się na chwilę w sobie, wyczuwała w nim jakąś tajemniczą sferę niepokojenia z samym sobą? z losem? Robił wrażenie spełnionego w pracy, która była jego powołaniem, ale jakiś podskórny niepokój, jakiś subtelny brak kładł się cieniem smutku na jego psychice. Nie umiała precyzyjnie nazwać tych odczuć. Tłumaczyła sobie, że pewnie każdy czarodziej, który ma do czynienia z ludzkim cierpieniem i nie zawsze może skutecznie pomóc, musi być trochę smutny... I cieszyła się z każdego spotkania z nim, może najbardziej z jego obecności na swoich wieczorach literackich, bo i w ten sposób, podobnie jak doktor Piotr C., ją wyróżniał. Był zawsze niecierpliwie wypatrywanym przez nią gościem. Zadeedykowała mu parę swoich wierszy, co niewątpliwie docenił.

Jego diagnostyczna przenikliwość najbardziej uwidoczniła się w stosunku do zamiarów operowania jej serca, które powracały co pewien czas w kontaktach Adi z przypadkowymi lekarzami. Zdarzyło się parę razy, że – ulegając namowom przyjaciół – spotkała się z polecanymi przez nich specjalistami. Miała nawet wyznaczony termin wymiany zastawki mitralnej w Instytucie Kardiologii w Aninie. Nie poddałaby się operacji, ale sam fakt kierowania jej do Instytutu w takim celu, trochę ją niepokoił. Pytała samą siebie, czy jest to konieczne. Gdy kierowano ją na ów zabieg, była już stałą pacjentką Profesora i wysłuchiwała jego opinii po kolejnych szczegółowych badaniach na jego oddziale.

– Operacja w twoim przypadku daje dziesięć procent szansy na poprawę pracy serca. Nie widzę więc sensu, żeby to robić.

Czy mogła nie być w euforii wobec takiej jego decyzji?! Wcześniej ujawniła mu swoje obawy przed wszelką chirurgiczną inwazją. Jej serce było w tym kontekście najmniej właściwym organem do ruszenia. Zapamiętała tamtą rozmowę i opinię, zgodną z jej najgłębszymi oczekiwaniami, jako jedno z najradośniejszych wydarzeń w swoim życiu. Bo jego decyzja pozostawiała ją w poczuciu niezagrożenia na zawsze. Nadal mogła cieszyć się pracą twórczą i uczestniczyć w życiu najbliższych. Cieszyło ją zwłaszcza to, że jej serce jest wciąż wolne, zdolne do miłości, wciąż bije dla wszystkich, których kocha. Także dla tych, których już nie ma: ludzi, zwierząt, drzew, zgasłych gwiazd i tych rodzących się dopiero. I dla dziecka jej dziecka, które spełnia jej dziecięce marzenia, grając z pasją i na pianinie, i na skrzypkach. Chciała, żeby jej wnuczka pozostała wolna podobnie jak ona, żeby jej uzdolnienia i dokonania wzbogacały pięknem świat wokół niej. Żeby umiała traktować życie jak dar.

Dzięki przyjaźni z Profesorem mogła spędzić najbliższe lata bez niepotrzebnych stresów, związanych z własnym zdrowiem. Wystarczyło regulowanie rytmu jej serca lekami. Obydwoje z Profesorem wiedzieli, że jest chora, że musi uważać, oszczędzać się. Ale spokój ducha, jaki dzięki niemu wciąż zyskiwał w niej prolongatę, był bezcenny.

Obiecał, że będzie przy jej umieraniu, że przeprowadzi ją przez bramę z tego do Tamtego świata.

– Powiesz mi, że przyszła pora i przyjdę – mówił podczas ich ostatniego prywatnego spotkania, na które umówił się z nią, żeby przejrzeć najnowsze wyniki jej badań.

Przestał być kierownikiem oddziału kardiologii, gdzie przepracował kilkanaście lat, ale skierował ją raz jeszcze do tego szpitala, musiała więc

podzielić się z nim wrażeniami na temat bałaganu, jaki zapanował tam po jego odejściu. Z najbardziej szokująca była dla niej informacja, przekazana jej przez lekarkę podczas wręczania szpitalnego wypisu:

– Wypisujemy panią na jej własną prośbę, ale chcielibyśmy panią zatrzymać, zrobić koronarografię i skierować jak najszybciej na operację serca. – Terminy były z góry ustalone.

Musiała więc koniecznie zobaczyć się z Profesorem, poskarżyć mu się i wysłuchać jego kolejnych, pocieszających słów. Porównał wyniki aktualnych badań z poprzednimi, czego nie zrobiono w szpitalu, i powtórzył to, co mówił jej już parokrotnie:

– To się mija z celem, zwłaszcza wobec twojego lęku przed operacją. Może, gdyby wymiany zastawki dokonało się dużo wcześniej, wspomogłoby to jakoś twoje serce. Ale mogłabyś też nie przeżyć operacji. A wyniki ostatnich badań są nawet lepsze od poprzednich.

I wyjaśnił jej, na ile mogła to pojąć, na czym polega korzystna zmiana.

Tak więc po serdecznej rozmowie wyszła od niego znowu radosna i pełna wiary we własne, co prawda niezbyt wielkie siły. I z tym trwającym od dwóch dziesięcioleci podziwem dla wyjątkowości Profesora, który doskonale rozumiał, że jej niesłabnący z biegiem czasu lęk przed zranieniem to głęboka, sięgająca niezbadanych obszarów psychiki, trauma.

Czas mijał, wiedziała jednak, że nic gorszego, znaczy całkiem nieprzewidywalnego, nie powinno już się jej przydarzyć. Jej, czyli jej ciała. Bo, co będzie z duszą – jeden Bóg wie. W tej chwili wystarczała jej gwarancja bezpiecznego doniesienia siebie do ostatecznego celu. Bezpiecznego, czyli zgodnego z jej pojmowaniem własnej osobistej niezależności, własnej integralności. Walka o nietykalność ciała była jej finalną batalią o prawo do totalnej wolności. Wierzyła, że gałązka jej życia nie złamie się, dopóki podtrzymywać ją będzie uważna troska Profesora. Kogoś niezawodnego, komu w pełni ufa.

Adriana Szymańska

Październik – grudzień 2017

Grzegorz Walczak

Sąd Ozyrysa

(fragment powieści „Oaza”)

Zastukał w okno. Miał łeb szakala. W pysku trzymał gałązkę mirtu. A ja wciąż jeszcze myślałem o Fergusonie. I przypominała mi się w związku z nim nauka Amenemhata, króla z okresu Średniego Państwa: „Nikt nie ma sprzymierzeńców w dniu nieszczęścia”.

Miał głowę szakala, ale był w czerwonej szacie, którą noszą tylko bogowie i faraoni. Kiedy otworzyłem okno, odurzył mnie zapach mirry i cedru. Wyjąłem mu z pyska gałązkę mirtu, a on powiedział: – Jestem sprzedawcą Ksiąg Śmierci.

Domyśliłem się, że to sam Anubis, i przeszedł mi mrówki po krzyżu.

Szedłem za nim pokornie ulicami śpiącego Kairu, patrzyłem nabożnie w sadzawkę nieba, z której Horus mrugał do mnie złowieszczo srebrnym okiem nocy. Pośpiesznie usiłowałem sobie odtworzyć nauki moralne starożytnego Egiptu, bo już nie wątpiłem, że nadzwyczaj mi będą przydatne, ale wszystko mi się pomieszało, zalecenia etyczne z różnych okresów były całkiem sprzeczne, a wciąż jeszcze nie byłem pewien, kto mnie będzie sądzić.

„Jeżeli jesteś wśród ludzi – nauczał Ptahotep – zjednaj sobie wiernych przyjaciół, bo wiernemu się wiedzie ze względu na jego imię, gdy zaś kto nie ma wiernego serca, to wałęsa się i burczy mu w brzuchu”.

Z tego wynikało, że wiedzie się wiernemu, który zjedna sobie wiernych przyjaciół, ale co będzie z wiernym, który zjedna sobie przyjaciół niewiernych? Będzie łazić po całym świecie daremnie, szukać sensu w przypadkach, wróżyć z chmur lub z owczej wątroby, odgrywać Ulissesa, czekać na Godota. I co z tego? Oho, już słyszę, jak mi burczy w brzuchu.

– „Tak więc czekając na dzień nasz ostatni...”.

– O, samotny ślepiec! – dzień dobry ci, Edypie – „nie nazywajmy szczęśliwą istoty, która nie przekroczy progu swego życia”. – Co robisz o tej porze? – Chciałem mu dać bakszysz, ale zamachnął się na mnie laską, odskoczyłem w ostatniej chwili, a Anubis go obszczekał.

Już dawno opuściliśmy dzielnicę bogaczy i teraz oczom naszym ukazywały się zarysy domów o płaskich dachach, domów z niewypalanej gliny.

Czasem wyrastał przede mną Murzyn, którego białka oczu błyskały jak ukryty nóż, a w spojrzeniu był skowyt. Anubis przynaglał. Nie pozwolił mi zatrzymać się przy wchodzącej do miasta, zmęczonej drogą, niewielkiej karawanie.

Ale do czego się miałem spieszyć? Już dobrze wiedziałem, co się święci.

Opodal Gandhi siedział w kucki na ziemi, kopcił starą faję i zapraszał mnie gościnnym gestem do zajęcia miejsca obok niego.

– Mohandas Mahatma – zwróciłem się do niego przyjaźnie – jestem Polakiem.

– A, to dobrze – odpowiedział. – „Żaden naród nie wycierpiał w Europie tyle, co Polacy, i żaden tak nie przebaczył. Jeśli wybacza bezsilny, jest to bez znaczenia”.

Trochę mnie to zakłopotало. Ale Gandhi w tym momencie pokazał mi niebywale długi język i zabeczał jak baran.

Gleba się poprawiła. Zaczęły się pola obsiane tamaryszkami, a potem wśród kukurydzy wstąpiliśmy między wały i nasypy, co się ciągnęły wzdłuż pól od rzeki. Wsiadliśmy do płytkiej łodzi, których było kilka wśród rzecznych szuwarów. I wrzasnęło dzikie ptactwo, bo budził się świt.

Z przeciwległego brzegu dochodziły dźwięki nieznanego mi instrumentu, w swej słodczy przypominającej flet.

Gdy dopłynęliśmy bliżej, na niewielkim wzgórzu, co górowało nad smrodliwym mułem i błotnistymi kałużami, leżała naga młoda kobieta, a nad nią stał z gładkim, pięknie wyprężonym fallusem młodzieniec, może jakiś bóg, a obok siedział siwy pasterz i przygrywał dawno zapomnianą przez świat melodię. Zrozumiałem, że na drugim brzegu zaczyna się Starożytny Egipt, a scena, którą na własne oczy dojrzałem, to staroegipski, dawno już zaniechany sposób leczenia bezpłodności za pomocą muzyki. Nie wiem tylko, po co młodzieniec ów lub bóg w pewnym momencie pochylił się nad leżącą i wprowadził jej tego fallusa głęboko między uda. Bardzo mnie to zaintrygowało i przystanąłem, by się temu rzadkiemu już dziś zjawisku poprzyglądać, ale niecierpliwy Anubis znów mnie trącił w bok tym obrzydliwym pyskiem szakala. A spojrzał na mnie przy tym tak wymownie, że mi się trochę zrobiło wstyd i ruszyliśmy co prędzej w dalszą drogę. Dalej rozciągały się już tylko nekropole, na samo ich wspomnienie znów mi chodzą ciarki po krzyżu.

Na rogatce, gdzie się spotykają pokolenia i wiary, i światy geograficznie odległe, zatrzymał się mój przewodnik, niecierpliwy a smutny Anubis. Dziwne światło pokrywało tę mroczną krainę.

Po kiego licha ja się tak wałęsam po tym wściekłym, upalnym Wschodzie i burczy mi w brzuchu? Cel wędrówki człowieka jest zawsze taki sam – wrócić do siebie i rozpoznać siebie.

A ja? Ja miałem nadzieję, że ten gbur doprowadzi mnie wreszcie do Krainy na Zachodzie, gdzie w ostatecznym uspokojeniu spoczywa moja zaginiona Maria. Na wszelki wypadek zacząłem się więc modlić do mego przyjaciela Amona-Re, będącego „potęgą głosu, którego się nie słyszy”. Dotarliśmy do Leptis Magna. Towarzysz mój był całkiem dostojny i milczący, kiedy wprowadzał mnie na plac wykładany marmurem. Tam moim oczom ukazał się wykuty w kamieniu triumfalny łuk sedesowy. Jeden z cudów świata – marmurowe sedesy ułożone w kształcie podkowy – dla elity miasta.

Tu za czasów rzymskich w trakcie bardzo ludzkich wysiłków zapadały najbardziej ważne decyzje. To ci był sejm! I oto w owej plenarnej sali sedesowej zasiadł teraz trybunał najpotężniejszy – staroegipski sąd ostateczny: Ozyrys i czterdzieści pawianów. Stał przed nimi pewien grzesznik, zdaje się nieelichy cwaniak, co się obkuł mądrości Ksiąg Umarłych i stosował chwyt „spowiedzi negatywnej”. Z miną przypochlebną i fałszywą recytował: „nie zniewalałem żadnej kobiety... nie przesuwalem granic rolnych; nie powiększałem ciężarków wagi...”.

Ale Ozyrys właśnie to uczynił i szala z wydartym z piersi „dobrym” sercem oskarżonego została przeważona przez szalę grzechów wraz z oszukańczymi odważnikami. Ozyrys machnął biczem na znak skończonego sądu, z ukontentowaniem wypowiedział starosyryjską maksymę: „Człowiek jest po to, żeby go oszukiwać”, i przyszedł na ten znak Pożerca, i pożarł *ba*, plugawą duszę mego poprzednika. Struchlałem więc, bo zobaczyłem, że żarty się skończyły i teraz moja kolej, i naprawdę trzeba będzie za wszystko zapłacić.

Zanim mnie oficjalnie zawezwano do Sali Obu Prawd, żarliwie wyznałem, że mi odpowiada myśl filozoficzna i etyka Starego Państwa, nie będę więc łgał, przyznaję się do wszystkiego – do radości, użycia, wszelkiej niecnej ohotki, bowiem przeniknięty jestem mądrym nakazem nauk Ptahotepa: „bądź szczęśliwy przez całe życie, nie czyni nic ponad to, co należy uczynić, nie skracaj czasu przeznaczonego na radość, bo oburzającą jest rzeczą marnować czas przeznaczony na przyjemności”. Wtedy Gloria wybuchnęła śmiechem. Podniosłem wzrok na dostojny areopag. Na pierwszym planie, w zakolu podkowy sedesowej siedział mój dobry znajomy – bóg główny – Amon, po jego prawicy Gloria w paprycznokutaśnym

wieńcu, po lewicy nieustający weteran wojen ojczyźnianych – Borowik. Widzę ich wszystkich. Hodża odpędza natrętną muchę, która mu przysiadła na łysinie. Ferguson ma wzrok wbity w sklepienie niebieskie, starszek neurolog chichocze złowieszczo i pokrzykuje znieacka: – Znów ten Polak! Mój partyjny przyjaciel zasłania się lewantyńskim wachlarzem, cały pąsowy ze wstydu, że mu przyszło zasiadać w tak nieodpowiedzialnym klasowo towarzystwie. Stoję jak wryty, jestem przerażony. Anubis biega między sedesami, roznosi kawę i szczeka. Gloria bezwstydnie uwydatnia dekolt. Amon się przeistacza w barana, baran w jaszczurkę, jaszczurka w Ozyrysa. Amon – faraon bogów – porodził Ozyrysa, a ten zaraz chwyta wagę z szalami, a szale się chwieją jak wahadło zegara. Jakiś półnagi półbóg z długą i chudą ręką podchodzi do mnie i nieoczekiwanie pakuje mi tę rękę do gardła, i nagle słyszę kruchy trzask, jak przy wyrywaniu zęba ze znieczuleniem, po czym ów sługus boskiego obrządku wydobywa mi przez gardło serce wyrwane z piersi, a ja dalej sobie stoję, pewnie z dość głupią miną, i patrzę, jak to moje serce czerwone i plugawe rzucają na jedną z szal, a druga, choć pusta, wcale nie zostaje przeważona. Wszyscy patrzą na mnie niechętnie, bo już wyraźnie widać, jak moje serce jest lekkie, nawet mnie to zawstydzia.

– Ale czemu właśnie ja?

– Jesteś z kraju, w którym się widzi różne cuda, to i bez zdziwienia możesz oglądać Amona. Mówiono mi, że potraficie widzieć coś, chociaż tego nie ma, słyszeć głos, chociaż nic nie słysząc. To przecież do ciebie pasuje.

– Tak, nam wystarczy tylko powiedzieć, że nadszedł czas, że będzie znak, że przyjedzie ktoś na białym koniu...

Wtem jak wyrzut sumienia wchodzi Maria w szacie białej, lecz skrważonej niby symbol ojczyzny niegodziwie zapomnianej przeze mnie. Moje serce na szali wagi Ozyrysa podryguje, podryguje jak mizerna, niedobita ryba. Druga szala pusta, dręcząca znaczeniem. Maria pełna westchnienia, zabłąkana, ni to żywa, ni umarła, przepływa obok mnie. Chcę ku niej wyciągnąć rękę, pochwycić ją, nawet robię jakiś nieokreślony znak, łapy mam sztywne, zsobaczone, wstyd mi nawet tych rąk, pod paznokciami kwitnie mi smutek i smród babskiego piżma. Wstyd. Wstyd. Wstyd. Jestem jak duże dziecko, głupi wyrośnięty chłopak. Infantylnie to, wiecznie niedojrzałe. Widocznie źle sobie przyswoilem Gombrowicza, może mi w gardle stanął i się utrwał niedomyślanym zakalcem. Jaki więc jestem, proszę wysokiego sądu? Nie wiem. I przyjaciel nie wie, i żona nie wie. Bo ci, którzy najlepiej nas znają, nie znają nas najlepiej.

Wszyscy patrzą na mnie ze współczuciem i rezygnacją. Tak, tak, tego się nie da uratować. Odruch Babińskiego. – Spróbujcie – zmienię wiarę! Ale na jaką? Na jaką?! W co można wierzyć? – Ktoś mnie drapie łyżeczką w stopę. Oczywiście, duży palec do góry. Odruch Babińskiego. Mogłem się domyślić, że to się tak skończy.

Drżenie rąk. Parkinsonizm, mimika zaburzona. Wszystko zaburzone.

– Chorzy na zapalenie opon mózgowych mają specyficzne spojrzenie na świat.

– Przepraszam, miałem już to przedtem.

Chce ze mną rozmawiać Mahomet.

W czwartki nie przyjmuję. Ilu jeszcze proroków będzie mnie nagabywać.

Ciężko jest żyć, ale umierać to dopiero sztuka. Spróbuj to ładnie zrobić. Stoję przed nimi, całą czeredą tych boskich baranów, i się pocę – ze strachu i z przesilenia. Leję po nogach. Twarz porasta woskiem. Nie, nie zmienię upodobań! Nie zmienię wiary! Za żadne skarby, za żadne życie! Nie straszcie mnie śmiercią. Nie zmienię wiary, chociaż nie mam żadnej wiary. No, to nie zmienię swojej niewiary. Odwalcie się ode mnie! Amonie, mój obłudny przyjacielu, wyrzekam się ciebie. Słyszysz? Wyrzekam się ciebie. Możesz mnie całkiem sparkinsować, oślepić, zrosolinić, usztywnić, wygładzić, uczynić ze mnie jedną wielką mozaikę neurologiczną, a ja ci i tak powiem: – Nie! Nie! Nie!

– Włóżcie mu jaki knebel, bo się nadzwyczaj rozgadał. – Amon mieni się wszystkimi piórami i wszystkimi bogami. Macha tymi piórami i tymi bogami. – Znudziła mi się przyjaźń z tobą – mówi. – Jeśli w twoim kraju wszyscy są tobie podobni, to współczuję twojemu krajowi, władcom twojego kraju i bogom twojego kraju, bo przecież chyba jakichś macie. Nie wiem, dlaczego sobie ciebie wybrałem. Jesteś wyraźnie chory na głowę. I nie dla samej kary, lecz dla próby uleczenia skazuję cię na otwarciu czaszki. Polak powinien mieć otwartą głowę.

Wyrывam się. Fartuchowi wykręcają mi ręce. Wiążą mi je z tyłu.

Jedyną formą egzystencji autentycznej jest niewolnictwo.

Ptah jako ptak nawalił kupę na pulpit przed Amonem, z lotu ptaka. Ptah się sfajdał na wszystko. Może ma rację. A ja się tylko wypinałem. Czy jeszcze bardziej się można wypinać? I co z tego? Czuję do siebie obrzydzenie. Niech już tną. Spoglądam Amonowi w szmaragdowe oczy. Głosem spokojnym i rzeczowym ogłasza wyrok.

– Trepanatorze, czynź swoją powinność. – Fartuchowi zacieśniają uchwyt. Wciskają mnie w metalowe imadło. Niewolnictwo jest jedyną autentyczną formą...

Staruszek przytyka mi do ciemienia płaski, ostry klin. Wznosi srebrzysty młotek. Zaraz łupnie. Robi mi się olśniewająco białe. Jasność. Koniec. Umieram cicho, niemal bezszelestnie. Moje *ba* unosi się nieśmiało i trochę niemrawe krąży pod wiekuistą kopułą wszechrzeczy.

Grzegorz Walczak

Z przekładów Danuty Cirlić-Straszyńskiej

Bora Ćosić

Nimb

Ta garść powietrza
wyciśnięta
z szybko zamkniętej książki
kłąb pary przepędzonej
z ciemnych zarośli składu
unoszą się nad naszymi głowami
jak duch, nimb, obłok
oby wylał choć kroplę
nad pustą pustynią
nieczytania

Przekład

Amerykańska taksówka
którą jechał
nowojorski poeta Charles Simic
nie jest taka sama
w przekładzie Enzensbergera
różnica wynika
z przepisów ruchu ulicznego
z szerokości ulic
i z gramatyki
potem pojawia się prowadnica
jak kiedy statek zmienia tor
znajduje nowy wyraz
swoją nową prozodję
za pomocą dźwigni
i innych mądrych urządzeń

dlatego każdy pojazd
który przemierzy Ocean języka
przywozi nowego pasażera
z ideami dotąd niewidzianymi

Dunaj

dla Claudia Magrisa

Gdyby
chwytając każdy najmniejszy dopływ
nie budował pracowicie swego wykształcenia
płynącego
po uniwersyteckich łakach
bawarskich górnoaustriackich
bez strachu przed cudzą historią i doświadczeniem
zostałby Dunaj
skromnym potoczkiem
schwarzwaldzkim
byle jaką rzeczką prowincjonalną
nieznaną na świecie

Istryjski kraj

dla Severina Majkusa

Istryjski kraj
budując własny los
wciąga swój relief zapyloną drogą
piętrzy nagłe wzniesienia
aby z wyżynności
przyjrzeć się temu, co się dzieje

na dole w czerwonym mięsie ziemi

podziemny ruch smardzów
wykuwa cierpki spisek
światową sławę grzybiarską
a tu pośrodku
spokojny człowiek svetvincencki
fajkę pali
wielkie rogi białego wołu
rozgarniają obłoki
i czego jeszcze trzeba

Vita nuova

Znowu te rzeczy
pozbierane przymusem
koszule książki
nożyczki do paznokci
wyrwane
z gwarantowanego bezpieczeństwa
z wolności swego rozrzucenia
kiedyś szeroko rozprzestrzenionej
na kontynencie całego domu
teraz wciśnięte w getto walizki
w niepewnej podróży
przez komunikację historii
przez deklaracje celne
nie wchodzę w to
co jeszcze przecierpią
aż do dnia zwycięstwa
z Amerykanami z oddziałem Armii Czerwonej
choćby miały wyrwać zamek
wychodząc na wolność
tam zacznie się *vita nuova*
moich uwięzionych rzeczy
z wielu ciężkimi wspomnieniami

Ojcowie i dzieci

Mądre dzieci archeologii
 prowadzą swoją grę
 składania
 dawno rozbitego dzbana
 na pewnej greckiej wyspie
 gdy ich śmiertelnie poważni ojcowie
 dzielni silni mężczyźni
 w swojej głupiej dorosłości
 patrzą jak tu zburzyć
 ostatnią świątynię w Aleppo

Bora Ćosić (1932), autor niemal pięćdziesięciu książek – powieści, które sam nazywa quasi-eseistycznymi – w latach pięćdziesiątych za *Rolę mojej rodziny w światowej rewolucji* (1956) otrzymał zaszczytną nagrodę NIN-u, po czym powieść ta została zakazana (podobnie jak w Polsce w 1972 roku). W tym czasie zajmował się również tłumaczeniem Majakowskiego, Chlebnikowa i innych futurystów, a pod ich wpływem zaczął pisać wiersze. Dopiero jednak po pięćdziesięciu latach, przebywając na dobrowolnej emigracji w Niemczech, opublikował pierwszy swój tomik *Mrtvi* („Martwi”, 2001, wydanie w wersji niemieckiej), a potem drugi *Irenina soba* („Pokój Ireny”, wydawnictwo Meandar 2002), trzeci *Zapisi iz mrtvog doma* („Wspomnienia z domu umarłych”, Durieux 2013), czwarty: *Razboj kraljičinog gardiste* („Rozbój gwardzysty królowej”, h.d.p, 2015) – z tego tomu pochodzą zamieszczone wiersze. Ćosić, ciesząc się na Zachodzie sławą wielkiego europejskiego prozaika, zgodnie ze swą przekorną naturą, odwrócił bieg rzeczy i wiersze pisuje pod koniec, a nie na początku biografii twórczej.

Przełożyła i notą opatrzyła Danuta Cirlić-Straszyńska

Z przekładów Joanny Jagiełło

Rose Milligan

Dust If You Must

Dust if you must, but wouldn't it be better
To paint a picture, or write a letter,
Bake a cake, or plant a seed;
Ponder the difference between want and need?

Dust if you must, but there's not much time,
With rivers to swim, and mountains to climb;
Music to hear, and books to read;
Friends to cherish, and life to lead.

Dust if you must, but the world's out there
With the sun in your eyes, and the wind in your hair;
A flutter of snow, a shower of rain,
This day will not come around again.

Dust if you must, but bear in mind,
Old age will come and it's not kind.
And when you go (and go you must)
You, yourself, will make more dust.

O **Rose Milligan** wiadomo tylko tyle, że pochodzi z Lancaster w hrabstwie Lancashire na północnym zachodzie Anglii. Wiersz *Dust If You Must* został opublikowany 15 września 1998 w 21 numerze najstarszego brytyjskiego tygodnika kobiecego „The Lady”, wydawanego w Londynie od 1885. Rose Milligan jest znana tylko z tego tekstu, niezwykle popularnego. W świadomości czytelników funkcjonuje on jako rodzaj „słusznych przykazań”. Zachwycają się nim kobiety

Odkurzaj jeśli trzeba

Odkurzaj, jeśli trzeba, lecz czy myśl to niedobra,
by zamiast tego list napisać, namalować obraz,
ciasto upiec, posadzić jakieś nowe drzewa?
Porozmyślać, jaka różnica między „chcę” a „trzeba”?

Odkurzaj, jeśli trzeba, choć czasu zbyt mało,
żeby się te książki przeczytać, tych płyt wysłuchać dało,
by wspiąć się na te góry, przepłynąć te rzeki,
z przyjaciółmi przyjaźnić i żyć jak najlepiej.

Odkurzaj, jeśli trzeba, choć dzień na ciebie czeka
z wiatrem w twoich włosach, słońcem pod powieką,
nagłą ulewą i płatkami śniegu w białym pędzie.
Tego dnia kiedyś, jeszcze raz nie będzie.

Odkurzaj, jeśli trzeba, lecz o tym pamiętaj,
że starość jednak przyjdzie, nie będzie przyjemna,
a gdy (bo tak trzeba) odejdiesz na dłużej,
też staniesz się pyłkiem, też staniesz się kurzem.

młode i stare, matki, żony i samotniczki, ale także mężczyźni. Zwłaszcza ci ostatni chętnie zamieszczają w Internecie swoje – z zasady amatorskie – analizy utworu. W zdecydowanej mniejszości są przeciwnicy, którzy nie rozumieją funkcji wiersza i uważają, że autorka megalomańsko zwraca się do nieznanych sobie osób z pouczeniami, do których, ich zdaniem, nie jest uprawniona.

(pmn)

Z przekładów Krystyny Rodowskiej

Pierre Nepveu

Scena

autostrada przecina
pejzaż stawia opór
z całą mocą swych gór
zrytych przez tłumy
drapieżniki czyhają
w ostatniej dzikiej dolinie

w pobliżu jeziora za zakrętem
dzieci się obrzucają
puszkami po piwie
na plaży skazanej na śmierć

pędzimy do utraty tchu
gdzieś między czasami

Odnowa

Wszystkiego od nowa się uczyć. Zawsze.
Ziemia którą skopałeś
w głębi siebie znów staje się błotem
i deszczem, a twój oddech dobyty
z gardła i z gąszczu drzew
świszczy z siłą wiatru: przemijać, zapomnieć
Zabrakło kartek, słów nie ma
by wyrzucić na brzeg milczenia
twoje najbardziej radykalne zdania.
I wciąż ten klekot przysłówków,
biżuteria zużytych epitetów.
Zaczynasz od nowa w trawie,
układasz się do snu w jej szeleście
wśród pracowitych mrówek,
wśród jej brzęczenia, przebudzeń

mówisz: trawa jest dreszczem,
 myślisz o ziemi
 w której wnętrzu uwijają się korzenie,
 a ty im zazdrościsz.

Podziemny Śpiew

Nic nie zastąpi powrotu do zdrowia,
 nawet uśmiech człowieka,
 gdy odzyska siły i swoje pole,
 nawet wzruszenie, które w nim budzi równina,
 ostrzegająca go przed porywem wiatru,
 gdy ten nadciąga z oddali, gdzie wioski mają duszę,
 nawet las, nabrzmiały od mikroklimatów,
 co uśmierza w swym wilgotnym uścisku ludzką rozpacz;
 nic nie zastąpi powrotu,
 wszystko jest dziwne, jakby to było wczoraj,
 a do Pana tych miejsc
 pod niebem rześkim, obmytym przez burzę,
 dochodzi tylko łkanie podziemnego źródła.

Duchy

Lotnisko opustoszało, podmuchy powietrza
 umykają przed szperaniem w bagażach a Panu Granic
 śnią się rzędy wybebeszonych walizek
 i mózgów z których parują toksyny.
 Czasem pod wieczór przetoczy się jeszcze
 ukryta kamera, fantom bez papierów
 oddali się, gwiżdżąc nieznaną melodię,
 przez świetlik wychodzący na gwiazdy
 ujrzę korowód duchów (jeśli otrzymam
 dar widzenia) niczym lot wśród nocy,
 zawieszony między północą a południem,
 i moje własne myśli dochrapiają się nieba,
 by doczekać świtu.

Ziemianin

Nie doświadczyłem zaprzyszłych żywotów,
 lecz wyobrażam sobie wieśniaka,
 pochylonego nad ziemią w chwili, gdy z niej odczytuje
 mity tego świata, sam na sam
 z wiatrem i własną encyklopedią
 ptaków i kwiatów,
 niosącego w sobie powieść kryminalną
 o zmarłej żonie i synu,
 przybitym do krzyża w pełnym blasku
 swojej miejskiej pasji, czyżby
 ten mężczyzna w kombinezonie, gdzieś w kwietniu,
 idący niepewnie w ciepełko próchnicy,
 przeczuwający woń siana
 i lucerny przy szemrzącym strumieniu,
 który zadaje kłam wszelkim nieszczęściom,
 był mną?

Ślady

Linie – gdy znika samolot – są mało czytelne
 na niebie, żyjemy uczepleni podłoża,
 tam, gdzie dusza oddaje głos ciału
 i nawet ziemia staje się przyjaciółką
 zdradliwą, po której stąpamy niepewnie,
 ale raptem wszystko się otwiera,
 gdy przez okno wpada rześkie powietrze,
 widziadło świata owiewa oddechem
 stół nagle rozległy jak równina,
 ostatni mieszkańcy opuścili domy,
 a wtedy niebo sprane ustępuje miejsca
 naszym śladom jeszcze wciąż niewyraźnym,
 jakby wyzutym z wszelkiej ubocznej myśli
 i to już byłoby coś na kształt lotu, gdyby
 na drodze nam nie stanęło drzewo
 co zasłania horyzont ulica co więzi
 i złe psy które ujadają na umór

Pierre Nepveu (ur. 1946 w Montrealu), Poeta, eseista, powieściopisarz quebecki, emerytowany wykładowca na wydziale literatur frankofońskich na Uniwersytecie w Montrealu. Jest autorem wielu książek eseistycznych na temat literatury quebeckiej, takich jak *Słowa na podsłuchu* (1979, drugie wydanie w 2004), *Ekologia rzeczywistości* (1988), *Interiory Nowego Świata. Eseje o literaturze Quebecu i obu Ameryk* (1998) i innych. Jest także współautorem obszernej antologii *Poezja quebecka: od narodzin do współczesności*, której najnowsze wydanie ukazało się w r. 2007. Od kilku lat pracuje nad wydaniem utworów rozproszonych najwybitniejszego poety quebeckiego XX wieku Gastona Miron (tłumaczonego i publikowanego także w Polsce, na łamach „Twórczości” i „Literatury na świecie”), przygotowuje także biografię tego poety i wydawcy, zmarłego w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Jako poeta, laureat wielu prestiżowych nagród, m.in. Głównej Nagrody na Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Trois-Rivieres w r. 2003 i Nagrody Generalnego Gubernatora Kanady, opublikował kilkanaście zbiorów wierszy. Jego poezje zebrane *Le sens du soleil* ukazały się w r. 2006. W twórczości poetyckiej, zwłaszcza tej z ostatnich zbiorów, dominuje krytyczna refleksja nad cywilizacją i jej degradującym wpływem na środowisko naturalne i samego człowieka, który z podmiotu i projektodawcy ekspansji techniki staje się jej przedmiotem i zatracą pamięć o własnych korzeniach. W ostatnim tomie *Linie lotnicze* – z którego pochodzą wiersze *Podziemny śpiew*, *Duchy*, *Ziemianin* i *Ślady* – poeta przywołuje wspomnienie konkretnego wydarzenia: budowę – w latach siedemdziesiątych – gigantycznego lotniska Mirabel, która spowodowała wywłaszczenie tysięcy farmerów z uprawianych przez nich od stuleci urodzajnych ziem, uwiecznioną równie gigantycznym niewypałem: od 2002 r. nierentowne lotnisko opustoszało, zapowiedziano powrót wszystkich lotów na stare, Dorval, na przedmieściu Montrealu. Nepveu podnosi tę historię cywilizacyjnego absurdu do rangi symptomu gorączki, wyniszczającej życie współczesnego człowieka, zanurzając swoją refleksję poetycką w osobistych wspomnieniach rodzinnych. U quebeckiego poety uniwersalne łączy się wiarygodnie z najgłębiej osobistym.

Przełożyła i notą opatrzyła Krystyna Rodowska

Vilmos Gál

Nasz Polak

Rozmowa z Konradem Sutarskim

Konrad Sutarski jest polskim poetą, tłumaczem, publicystą i historykiem. W tym roku (2018 – *przyp. red.*) kończy 84 lata. Nie wygląda nawet na siedemdziesiąt, kiedy podchodzi do mnie, wijącą się na Górze Zamkowej ulicą, gdzie mieszka. Wysoki, szczupły, o białych włosach, ale koloru oczu, niestety, nie przypominam sobie. Osiem lat znam Konrada, i obraz, który we mnie żyje o nim, jest niezmienny: uprzejmy, dobrze ubrany mężczyzna, o spojrzeniu spokojnym, jak gdyby promieniował mądrą pogodą. Jak gdyby uśmiechał się zawsze.

Vilmos Gál – W 1965 roku przybyłeś z żoną – Węgierką – na Węgry. Co zabrałeś ze sobą na drogę, kiedy ruszałeś, by zacząć nowe życie?

Konrad Sutarski – Spory bagaż wzięłem ze sobą: okropności katyńskiego lasu, stłumione Powstanie Poznańskie, solidarność z Węgrami i smak wolności oraz nadziei, którą przepojona została polska kultura od 1956 roku.

Porozmawiajmy najpierw o Katyniu.

Katyni towarzyszył mi od dzieciństwa. Ojciec mój służył jako oficer rezerwy, wziął udział w kampanii wrześniowej na początku II wojny światowej, był jednym z owych dwudziestu dwóch tysięcy oficerów polskich, ofiar sowieckiego ludobójstwa znanego jako „sprawa katyńska”. Przez cały czas wojny i również potem czekaliśmy z matką, nie wiedzieliśmy, że ojciec został zamordowany. W początkach 1940 roku jeszcze otrzymaliśmy list od niego, z niewoli, ze Starobielska na Ukrainie, później jednak, wiosną, listy przestały przychodzić. Jeden z moich pierwszych wierszy, z 1956 roku, o Starobielsku, poświęcony był właśnie ojcu.

Jak mówiłeś mi, ten temat absorbuje cię do dnia dzisiejszego. Czy Katyni, poza owym wierszem, pojawiał się w Twoich pracach pisarskich?

W 1988 roku razem z moim drugim kатыńskim wierszem ukazał się w „Życiu Literackim” w Krakowie, prawdopodobnie jako pierwsze

w Polsce oficjalne teksty na ten temat. W 1990 roku przywiozłem z Krakowa wystawę, mówiącą o katyńskim okrucieństwie, pokazaliśmy ją w Budapeszteńskim Muzeum Historycznym, akurat wtedy, kiedy rosyjskie radio TASS podało wiadomość, że zbrodni dokonali nie Niemcy, ale NKWD. Potem, w latach dziewięćdziesiątych pracowałem w satelitarnej telewizji „Duna”, tam w pierwszym rządzie zajmowałem się tematyką polską. Wtedy otrzymałem możliwość wyreżyserowania średniometrażowego filmu dokumentalnego o masowym mordzie katyńskim. Film ten powstał w 1993 roku pt. *Nieludzka ziemia*. W 2010 roku po katastrofie smoleńskiej napisałem dwujęzyczną książkę (po polsku i w przekładzie na język węgierski) *Mój Katyń*, której ciąg dalszy znalazł się w następnym tomie – tylko węgierskojęzycznym *Közös fényeink* ('Wspólne blaski'), w którym Smoleńsk widzę już nie jako możliwość zbliżenia Polski oraz Rosji, ale jako kwestię, która poróżniła dwa te kraje, a także i polskie społeczeństwo, w której odeszliśmy od prawdy na rzecz nieetycznej polityki.

Wspomniałeś jeszcze dwa ważne wydarzenia z okresu polskiej młodości.

Urodziłem się w Poznaniu, do trzydziestego roku życia tam mieszkalem – z wyjątkiem okresu wojny, kiedy Niemcy wysiedlili matkę i mnie, wojnę spędziliśmy we wsi pod Częstochową. W Poznaniu ukończyłem Politechnikę, Wydział Mechanizacji Rolnictwa. W czerwcu 1956 roku ja też – jako student – byłem w tłumie, podczas powstania. Co prawda nie walczyłem, nie strzelałem, jednak Powstanie było nadzwyczajnym przeżyciem. Najbardziej charakterystycznym momentem stał się obraz banku z narożnika ulic Dąbrowskiego i Kochanowskiego, kiedy stamtąd zrzucano z dachu urządzenie zagłuszające radio „Wolna Europa”. Był to pierwszy powiew wolności.

A jaki był twój stosunek do Powstania Węgierskiego? Jak przypominasz sobie owe dni?

Kiedy dowiedzieliśmy się, że walki zbrojne wybuchły w Budapeszcie, wszyscy byliśmy zaskoczeni, jednocześnie rozentuzjasmowani i solidarni. Pisaliśmy i drukowano nam wiersze prowęgierskie. Zaczęła się akcja krwiodawcza dla Węgrów, to było masowe, jeden człowiek dopingował drugiego, rzecz została świetnie zorganizowana, chyba przy pomocy Czerwonego Krzyża. Była to akcja ogólnopolska, również i w Poznaniu, ja też oddałem krew. Teraz już wiemy, że pierwsze transporty krwi i plazmy odbyły się samolotami wojskowymi, a więc za zezwoleniem najwyższych władz państwowych i partyjnych, gdy

Gomułka stał jeszcze po stronie Imrego Nagya. Kiedy pracowałem dla telewizji „Duna”, zrobiłem film i o tym, o polskiej pomocy Węgrom, pierwszej i największej wtedy, póki nie została oficjalnie zatrzymana.

W bagażu Twoim przywiezionym na Węgry znajdowała się również pamięć wolności, która opanowała polską kulturę. Jak mógł powstać ten oddech wolności w kraju socjalistycznym?

W Polsce w przeciwieństwie do politycznego odwrotu, spowodowanego zdławieniem Powstania Węgierskiego, życie kulturalne rozwinęło się z taką siłą, że komuniści nie byli w stanie temu przeciwdziałać, zamknęto tylko kilka pism, warszawskie „Po prostu”, w Poznaniu nasze „Wyboje”, jednak rozpoczętej rewolucji duchowej władza nie mogła zatrzymać. W filmie czy w teatrach, w literaturze i sztukach plastycznych zaistniał tak silny ruch odnowy, szczególnie ze strony młodego pokolenia, że tego nie można było już zdławić, Polska stała się oknem na cały świat kultury Zachodu.

Czy poetą zostałeś na skutek owego poczucia wolności?

Tak. Pierwsze moje wiersze mogły ukazać się w 1956 roku, wtedy też utworzyliśmy w Poznaniu – jeszcze przed październikiem – grupę literacką „Wierzbak”. Sześciu nas było – z Marianem Grześczakiem i Józefem Ratajczakiem (potem ośmiu). W roku następnym powołaliśmy w Poznaniu do życia Ogólnokrajowe Festiwale Poetyckie. Organizowaliśmy je do 1961 roku. Dzięki temu staliśmy się grupą znaną w całym kraju, konkurowaliśmy z warszawską „Współczesnością”, przyjaźniliśmy się z krakowską „Muszyną” – Tadeusza Nowaka, Tadeusza Śliwiaka i Jerzego Harasymowicza, byliśmy zapraszani do innych miast. Tworzyliśmy „Pokolenie 56”.

Jak związałeś się z Węgrami? Jak stałeś się pół-Węgrem?

W 1960 roku pojechałem na Węgry po raz pierwszy. Był to wyjazd zawodowy. Wtedy poznałem swoją przyszłą żonę, Györgyi, studentkę pianistyki. Dwa lata później pobraliśmy się i po krótkim epizodzie poznańskim, następnie warszawskim, ponieważ zaproponowano mi pracę w moim zawodzie, przenieśliśmy się w 1965 roku do Budapesztu, gdzie w Instytucie Rozwoju Maszyn Rolniczych przyjąłem stanowisko konstruktora maszyn do zbioru warzyw.

Jakie przeżycie było najważniejsze w trakcie Twojego przebywania na Węgrzech?

Co mnie najbardziej zaabsorbowało, poruszyło, to to, na ile z innych źródeł czerpie węgierska kultura, aniżeli polska. Myślę tutaj o źródłach,

o tradycjach azjatyckich. Węgrzy przed przybyciem do Europy w końcu IX wieku byli azjatyckim narodem jeździeckim – nie koczowniczym – o znacznie wyższej kulturze, mającym na przykład swoje pismo (żłobkowane).

Muszę poza tym wspomnieć o pracy inżynierskiej. Na Węgrzech w owym czasie uprawa warzyw oraz owoców stała na bardzo wysokim poziomie i chlubiła się znaczącą przeszłością. Ja wyspecjalizowałem się w badaniach i rozwoju maszyn do zbioru właśnie warzyw i odnosiłem sukcesy. Konstruowane przez mój zespół kombajny (do zbioru fasoli strączkowej, papryki, pomidorów) zostały wprowadzone do produkcji seryjnej, jeden z nich zdobył jedną z głównych nagród Międzynarodowych Targów Budapeszteńskich. Miałem też opatentowane wynalazki, które przynosiły pieniądze.

Trzecią ważną sprawą było włączenie się, wkrótce po przybyciu na Węgry, do nurtu węgierskiego życia literackiego, a zarazem i ponownie do polskiego.

Jak to się stało?

Jeszcze w Poznaniu, a potem w Warszawie oddaliłem się od działalności literackiej, ponieważ praca zawodowa pochłaniała sporą część mojej energii. Przed przybyciem na Węgry uzgodniłem jednak z kilkoma pismami kulturalnymi (z poznańskim „Nurtem”, wychodzącą w Warszawie „Poezją” oraz z krakowskim „Życiem Literackim”), że będę im wysyłał materiały o życiu kulturalnym, literackim Węgier. Dzięki temu zacząłem znów więcej pisać, wróciłem do wierszy własnych, ukazał się w Krakowie mój drugi tomik wierszy (w 1975, pierwszy jeszcze w Poznaniu w 1960 roku). Zacząłem przekładać. Zetknąłem się na skutek tego z wieloma węgierskimi poetami, bo i oni tłumaczyli moje wiersze (Csoóri Sándor, Weöres Sándor, Tornai József, Fodor András i inni). W wyniku tego wydano mi wiersze i na Węgrzech, *Sutarski Konrad versei*, w serii prezentującej światową lirykę. Uzyskałem bardzo pochlebne recenzje, echo tego dotarło do Polski.

Którzy z nich mieli na Ciebie najsilniejszy wpływ?

Bezpośredni żaden. Zbyt różniła się poezja polska i moja od węgierskiej. Mimo to bardzo ceniłem Weöresa i Csoórego. Weöres był lirykiem uniwersalnym, umiejącym pisać w każdym stylu, tworzył świetne wiersze, przełożone później na język polski przez Węgierkę Kerényi Gracię oraz Mirona Białoszewskiego, pisałem o tym na Węgrzech, w stulecie urodzin tego poety, w pracy pt. *Moje spotkania z Weöresem*.

Csoóri był z kolei poetą opozycyjnym, niezgadającym się z socjalistyczną władzą, dyskutującym z nią. Był też entuzjastą Polski i polskich przemian kulturalnych, często pozbawianym możliwości publikacyjnych. Był on niejako węgierskim odpowiednikiem Zbigniewa Herberta, jako poeta-polityk, sumienie narodu. Napisałem o nim pośmiertne wspomnienia w 2017 roku.

Wiem, że zajmowałeś się także przekładami węgierskiej poezji spoza granic kraju.

Najpierw jednak ukazał się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie w moim wyborze i częściowym przekładzie wybór współczesnej węgierskiej poezji krajowej *Przepowiednia czasu twego* – w 1985 roku. Z posłowania usunięto mi wtedy akapit, w którym podawałem, jak świetna i wielobarwna jest poezja w całej Niece Karpackiej, ale poza granicami Węgier. Cenzura wydawnicza usunęła owe zdania, „aby nie drażnić naszych sąsiadów”. Zbulwersowało mnie to, zacząłem przekładać tych poetów i napisałem cały wstęp o tej liryce, a także o poezji emigracyjnej. Niestety, nie zdołałem wydać tomu w latach osiemdziesiątych, ani drukować w „Piśmie Literacko-Artystycznym” w Krakowie, ani w „Poezji”, pomimo zapowiedzi zawsze na drodze stała cenzura. Dopiero w 1991 roku ukazał się tomik *Jak daleko, jak blisko* w Krakowie i dzięki temu owe wiersze ujrzaly światło dzienne. W wydaniu poszerzonym ukazały się pod tytułem *Jak blisko* w Budapeszcie (2007).

Po zmianie ustroju zostałeś powołany na stanowisko dyrektora Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej (poprzednika Instytutu Polskiego), pracowałeś dla telewizji „Duna”, byłeś trzykrotnie wybrany na przewodniczącego Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej i jak się dowiedziałem, doprowadziłeś do założenia w Budapeszcie Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii, zostałeś potem dyrektorem tej placówki, która do dziś jest ośrodkiem badawczym tysiącletnich kontaktów polsko-węgierskich. Samo wyszczególnienie tego wszystkiego pokazuje, jakże to wiele. Wymagało ogromnego zaangażowania. Tymczasem Twój zapał do pracy do dnia dzisiejszego nie ulega zmniejszeniu. Nad czym pracujesz obecnie?

Obecnie zajmuję się czymś zupełnie innym – historią. Już od paru lat to robię, nie zaniedbując oczywiście poezji, działalności pisarskiej. W 2014 roku Polska Ogólnokrajowa Szkoła tu, na Węgrzech, zwróciła się do mnie, bym napisał – po polsku – historię Polski, do której

wplecione będą wątki historii Węgier tam, gdzie łączą się z polskimi. Książka ta stała się już oficjalnym, zatwierdzonym przez Ministerstwo podręcznikiem szkolnym. Uzupełniłem ją i pogłębiłem, wydawca sam zwrócił się do mnie, że wyda ją ponownie po polsku i w przekładzie – w dużej mierze mojego syna, Szabolcsa, będącego tłumaczem szeregu moich książek prozatorskich – na język węgierski (ponieważ wszystko piszę w języku polskim). Książka ta właśnie pojawiła się na rynku księgarskim pt. *Zarys historii Polski z powiązaniami węgierskimi*.

Czytając Twoje prace publicystyczne z ostatnich lat, zauważam, że coraz bardziej absorbuje Cię rozprzestrzenianie się globalizmu i islamu oraz związanych z tym zadań oraz odpowiedzialności poety.

Tak, to są najbardziej palące zagadnienia. Złożyłem tom wierszy, w którym opowiadałem się przeciw szerzeniu się globalizmu oraz islamu, przeciw niszczeniu świata chrześcijańskiego. Nadałem mu tytuł *Stacje ludzkiego sprzeciwu*. Ten tom uzupełniłem dwoma esejami. Napisałem również szereg artykułów, studiów, zgromadzonych w tomie *Europa i Polska*, przygotowywanym do druku też w dwóch językach. Europa i nasza cywilizacja są zagrożone, staram się dzisiejsze problemy analizować i niebezpieczeństwa wskazywać innym ludziom. A co jest zadaniem poety dziś? Uwagę społeczną uczulam na to. Wszak walka poety o polepszenie świata toczyła się nie tylko w XIX wieku, w epoce romantyzmu, poeta i obecnie powinien stać na czele szeregu, bo jego słowa mają siłę dynamitu, a nasza kultura, nasz byt są zagrożone bardziej, niż kiedykolwiek w przeszłości.

Jaka jest dziś odpowiedzialność poety, czym się objawia?

Do tego potrzebne jest myślenie makrohistoryczne. Ten typ myślenia odkryłem, studiując historię Polski oraz Węgier na tle dziejów Europy, pisząc studium *Polska i Węgrzy w obronie chrześcijańskiej Europy, w wiekach dawnych i dziś* (1915) i *Zarys historii Polski z powiązaniami węgierskimi*, o których już wspominałem. W XIX wieku, w czasach narodowego liberalizmu poeci tacy jak Byron, Petőfi albo Mickiewicz walczyli o wolność narodów, odgrywali olbrzymią rolę w kształtowaniu opinii publicznej. Zwracano na nich o wiele większą uwagę aniżeli w czasach późniejszych. Poeta był przywódcą narodu, był wizjonerem, wskazującym kierunek. Dziś jest inaczej, warstwa intelektualna społeczeństw wyraźnie uległa poszerzeniu. Rola poety w XX wieku, szczególnie w demokracjach zachodnich, uległa zmianie, straciła ostrze polityczne, które miała w Europie Wschodniej jeszcze w czasach komunistycznych,

że wymienię w Rosji Borysa Pasternaka, w Czechach Wacława Havla, na Węgrzech Sándora Csoóriego, a w Polsce Zbigniewa Herberta. W okresie zmiany ustroju myślałem, że i u nas rola poety ulegnie zmianie, podobnie jak na Zachodzie. Widoczne były gospodarcze zalety Unii Europejskiej, społeczny model Europejskiej Wspólnoty, oparty na socjalnych, opiekuńczych tradycjach państw chrześcijańskich – wypracowany w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia przez takich polityków-myślicieli, jak Robert Schuman i Konrad Adenauer. Wydawało się, że nastaje czas szczęśliwości. Tymczasem odmieniło się wszystko. Poeta znów ma zadanie, znów musi walczyć o polepszenie świata.

Czy potrafisz uzmysłowić sobie, kiedy zauważyłeś owo niebezpieczeństwo i zacząłeś reagować na nie?

Było to po zaistnieniu gospodarczego kryzysu w 2008 roku, kiedy to globalistyczna elita pokazała swoją prawdziwą twarz, jakkolwiek już i wcześniej były znaki, jednak nie tak widoczne jak obecnie. Przecież już wtedy działało Porozumienie Waszyngtońskie z 1989 roku, które prowadziło do przepływu kapitału z krajów rozwijających się do zaможnych. Zastanawiające jest, czego oczekiwały nasze społeczeństwa od Unii Europejskiej w okresie przystępowania do niej (2004) – szybkiego wzrostu gospodarczego całych narodów, które wydostały się spod jarzma Związku Radzieckiego, stabilizacji politycznej pod skrzydłami NATO. Tymczasem struktury Brukselskie – i za nimi stojące gigantyczne fortuny, politycy, media i destrukcyjne organizacje pozarządowe (NGO) – dążące do połączenia Europy w jedną, federalną całość, ze zmieszaną etnicznie i religijnie, wielokulturową ludnością, bez swej historii, bez korzeni, którymi jest tradycja. Europa Zachodnia islamizuje się i bardzo możliwe, że już jest za późno na odwrót, na jej odrodzenie. Tamtejsze społeczeństwa zsekularyzowały się, są to już narody postchrześcijańskie. Pustka jest w ich duszach, społeczeństwa te są chore. To już nie jest Europa dwóch szybkości gospodarczych, a kontynent znów rozpada się na część wschodnią i zachodnią. Europa Środkowa, kraje V4 – pod przewodnictwem Węgier i Polski – znowu pełnią rolę przedmurza chrześcijaństwa, jak w wiekach dawnych, kiedy broniły Europy przed najazdami Tatarów i Państwem Osmańskim. Formuje się przy tym blok jeszcze większy – Porozumienie Trzech Granic (sprzymierzenie krajów, które kiedyś znajdowały się w strefie

komunistycznej) – ponieważ dla przeciwstawienia się globalizmowi potrzebna jest większa masa krytyczna państw i ich gospodarek. Może dlatego właśnie jestem nadal tak aktywny, dlatego piszę i podnoszę głos jako poeta oraz historyk w owych sprawach najwyższej wagi, ponieważ pomimo ciężkich chmur, zbierających się nad nami, pragnę pomóc temu, co się w ubiegłych latach, w Polsce i na Węgrzech, działo, dzieje. Jakie to fantastyczne uczucie, że teraz, kiedy jestem w podeszłym wieku, po politycznie i gospodarczo przygnębiającym okresie, poczynając od roku 2010-2015 moje odczucia, obraz świata spotkały się z polityczną wizją przywódców kraju. Jest tak zarówno w odniesieniu do przybranej, jak i rodzonej ojczyzny. I to napawa mnie nadzieją, jeśli chodzi o przyszłość tego regionu.

Rozmawiał
Vilmos Gál (1972),
budapeszteński historyk, muzeolog i pisarz

BIESIADY LITERACKIE

W KAŻDY OSTATNI WTOREK MIESIĄCA O GODZ. 18.30

Prowadzą:

Wacław Holewiński
Piotr Müldner-Nieckowski
Małgorzata Karolina Piekarska

Goście, z którymi rozmawiamy:

**pisarze, wydawcy, redaktorzy, reżyserzy, językoznawcy
muzycy, plastycy, historycy – twórcy i krzewiciele kultury**

Stały felieton:

Piotr Wojciechowski

Zawsze rekomendacje trzech ważnych książek. Trzy ważne wiersze ważnego poety

DOM LITERATURY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

Wejście obok schodów ruchomych przy Placu Zamkowym. Piętro I

STAJNIA LITERACKA

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w ramach **Warszawskiej Szkoły Pisania** zaprasza wszystkich poetów, prozaików, dramatopisarzy, którzy zaczynają swoją przygodę z literaturą, a przede wszystkim członków **Stajni Literackiej**, na

comiesięczne, wtorkowe spotkania warsztatowe.

Godzina 16.

Członkiem Stajni Literackiej SPP może zostać każdy, kto przyjdzie na spotkanie, zgłosi akces i poda swoje dane personalne wraz z adresem e-mail.

Opiekun Stajni: *Piotr Müldner-Nieckowski*
www.spp.warszawa.pl, stajnia@spp.warszawa.pl



Co jest pisane.
Druga antologia
Stajni Literackiej SPP.
Oddział Warszawski SPP,
Warszawa 2016
W planach: *Antologia 2018*



Rys. Tamara Bołdak-Janowska